

*RUTH LANGAN*

Mroczna tajemnica  
Blackthorne

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Kornwalia, rok 1662*

Wieczne cienie kładły się na falistych wzgórzach i soczystej zieleni łąk, na których gdzieniegdzie pały się owce. Dzierżawcy folwarków, utrudzeni po całym dniu w polu, zatrzymywali się za pędzonymi stadami, by przyrzec się eleganckiej karecie, która zmierzała ku rysującej się w oddali rezydencji.

- A więc wróciło to diabelskie nasienie. - Starzec oparł się na kij i odwrócił do syna. - Zamordował młodą żonę i zrzucił brata ze skały, czyniąc z niego niemego inwalidę, po czym uciekł z Anglii i pędził zbrodnicze życie na morzach, zostawiając wszystko na głowie starego pana. A teraz wydaje mu się, że przyjaźń z królem daje mu prawo, by wrócić i zażądać odziedziczonego majątku, jakby nic się nie stało.

- A kto go powstrzyma? - rzucił przez zęby młodszy mężczyzna.

- Właśnie, kto? Bogacze rządzą się swoimi prawami.  
- Oczywiście zwięzły się, gdy ujrzał, że karoca zatrzyma-

ła się na odległym dziedzińcu. - Wystarczy, że żyje z naszego potu i krwi. Gorszy los mają ci, którzy muszą mieszkać pod jego dachem w Blackthorne.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Jaśnie pan przyjechał. - Pani Thornton, gospodyni w Blackthorne, majątku lorda Quentona Stamforda, klasnęła w ręce, by zwrócić uwagę wszystkich, po czym swym wysokim, skrzekliwym głosem zaczęła wzywać służących. - Edlyn, ty leniwa flądra! Tylko ci figle w głowie! Przestać kręcić tyłkiem i dołącz do reszty.

Gdy służba rozsypała się przed głównym wejściem i utworzyła długą kolumnę na dziedzińcu, gospodyni wraz z panem Pembroke'em, kamerdynerem, wystąpili naprzód. Tworzyli komiczną parę. Pani Thornton była równie okragła jak wysoka, przybrudzony fartuch miała krzywo zawiązany na wydatnym brzuchu, a pognieciony czepek ledwo się trzymał na siwych, zmierzwionych lokach. Pembroke natomiast, wysoki i chudy jak tyka, miał starannie zaczesany każdy ciemny włossek, a ubranie nienagannie zaprasowane. Ona skrzypiała niczym zardzewiałe koła; on mówił dystyngowanym głosem potomka królewskiego rodu.

Woźnica zatrzymał zaprzęg, po czym zeskoczył z kozła i otworzył drzwi powozu. Wysiadł zeń mężczyzna okryty płaszczem, ledwie rzucając okiem na zgromadzonych domowników.

- Witamy w domu, wasza lordowska mość - powiedział Pembroke, uprzednio głośno odchrząknąwszy.

- Mam nadzieję, że podróż przebiegła gładko - dodała gospodyni.

- Jaśnie pan pozwoli, że przedstawię panu służbę. - Pembroke odwrócił się, by sprawdzić, czy pokojówki kłaniają się jak należy i czy wszyscy parobcy zdjęli czapki z głów.

Lord Stamford skwitował tę prezentację krótkim skinieniem głowy, po czym odwrócił się, gdy z powozu wysiadł mały chłopiec.

Pembroke nadał stał wyprostowany, jakby kij połknał, nie okazując najmniejszego zdziwienia, lecz obrzucił szybkim spojrzeniem opaloną skórę malca, kruczoczarne włosy i szeroko rozwarte, ciemne oczy.

Chłopiec z oszołomieniem przyglądał się imponującej budowli, połaciom starannie wypielęgnowanego trawnika i wieżom, chronionym wieżyczkami strzelniczymi, które chwytały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Kolacja gotowa, milordzie - rzekła pani Thornton.

- Nie. Nic nie będę jadł.

Gdy postać okryta płaszczem oddalała się, gospodyni zawołała w kierunku jej pleców:

- Milordzie, na pańskie przybycie przygotowaliśmy pokój pańskiego dziadka.

Zatrzymał się.

- Wolę zamieszkać w moich dawnych pokojach, pani Thornton - powiedział lord Stamford, nie odwracając się.

- Pańskich dawnych...? Ależ, za pozwoleniem, są trochę za małe dla takiego... teraz, skoro jaśnie pan jest panem całego majątku.

Quenton odwrócił się z tak gniewną miną, że gospodyni cofnęła się ze strachu.

- W tej chwili. Sama wszystkiego dopilnuję - powiedziała.

Kiwnął głową i zwrócił się do kamerdynera:

- Pembroke, chcę odwiedzić grób dziadka.

- Słucham, milordzie. Jutro z rana?

- Teraz.

Pembroke poruszył grdyką.

- Tak, milordzie. Sam pana tam zaprowadzę. Ale może najpierw zechciałby pan zobaczyć się z bratem. Na wieść o pańskim powrocie bardzo się... ożywił.

Quenton uniósł wzrok. W górnym oknie majaczyła twarz mężczyzny. W odblasku ognia z kominka wydawała się upiornie blada.

Westchnął głośno, co stanowiło jedyną oznakę jakichkolwiek uczuć.

- No dobrze. Pójdę do niego.

Pani Thornton, zebrawszy się na odwagę, zapytała:

- A co z chłopcem, milordzie? Gdzie go ulokujemy?

Wzruszył lekceważąco ramionami.

- Chyba we wschodnim skrzydle.

Pulchna gospodyni zerknęła na chłopca, który nadal stał obok powozu.

- Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Wszedł z nią do imponującego holu. Pani Thornton zauważyła, że błyszczące kandelabry, płonące światłem setek świec, zrobiły na nim należyte wrażenie, a gdy zaczęli

wstępować po szerokich schodach, bardzo zaciekały go kolorowe gobeliny, które wisiały na ścianach.

- Jesteś głodny, chłopcze? - Nie wiedziała, jak się do niego zwracać, gdyż jaśnie pan nie zadał sobie trudu, by go przedstawić, a sam chłopak w ogóle się nie odzywał.

Skinął potwierdzająco głową.

- W takim razie najpierw wskażę ci twój pokój, a potem przypilnuję, żeby przysłał ci smaczny posiłek. - Gdy doszli do wschodniego skrzydła, otworzyła podwójne drzwi, a potem zaprowadziła go do apartamentu, w którym znajdował się salon i sypialnia.

- To Edlyn.

Nachmurzona dziewczka służebna, która podsycala ogień na kominku, podniosła się, otrzepując spódnice.

- Ta niezdarna dziewczucha, która ma same kiełbse we łbie, pomoże ci się rozpakować i dopilnuje, żeby ci było wygodnie.

Chłopiec zachichotał, niezbyt pewien znaczenia poszczególnych słów.

- A jak paniczowi na imię? - spytała Edlyn,

- Liat - powiedział śpiewnie, wyraźnie oddzielając obie samogłoski. Wyszedł na balkon, gdzie wspiał się na gzyms, by podziwiać rozciągające się przed nim faliste zielone pola.

- Liat? A cóż to za prostackie, pogańskie imię? - wymruczała pod nosem gospodyni. Przeżegnała się i odwróciła z westchnieniem. - Każę mu przysłać kolację na tacy.

Gdy pospiesznie odchodziła, głowę miała zaprzątniętą kłopotliwymi myślami. Zbyt wiele się zdarzyło w zbyt

krótkim czasie. Stary hrabia, tak kochany, zmarł niespodziewanie. Powszechnie było wiadomo, że jego wnuk niechętnie porzucił morze, by przejąć majątek. A do tego przywiózł ze sobą chłopca niewiadomej proweniencji. Nie miała pojęcia, czego jeszcze można się spodziewać. Jedno wiedziała na pewno: życie w Blackthorne nigdy już nie będzie takie samo jak dawniej.

### *Oxford, 1662*

Cmentarz był ponurym, smagany wicherami kawałkiem zbrocza obok wiejskiej kaplicy. Przez zasłone mgły można było dojrzeć szczyty dachów budynków uniwersyteckich oraz malownicze domy, wtulone w rozciągającą się niżej zieloną dolinę.

Wikary, zgarbione straszycło, recytował słowa, mające przynieść pociechę osieroconej rodzinie. Ale wersy, które powtarzał już chyba setki razy, niewiele znaczyły dla Olivii St. John, stojącej obok niego z pochyloną głową i twarzą zalaną łzami.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Mama i tata spadli i zabili się podczas jednej z codziennych wspinaczek. Jeszcze młodzi, energiczni, pełni życia i miłości. A teraz odeszli. Została sama. Sama. Słowo to bezustannie do niej wracało, za każdym razem bardziej złowieszcze. Bez rodziców, dziadków, rodzeństwa. Sama, nie licząc wuja i ciotki, których zupełnie nie znała.

Zerknęła na siostrę matki, Agatę, lady Lindsey, która

stała obok swego męża, Roberta, mężczyzny o surowych rysach. Gdy dwie proste, drewniane trumny zagłębiły się w dołach, mąż i żona odwrócili się i pospieszyli ku czekającemu na nich powozowi, chcąc zdążyć przed burzą. Jakby na zawołanie, niebiosa pociemniały i lunął deszcz.

Olivia stała samotnie, nie bacząc na strugi zimnej wody, która przemoczyła jej ubranie, a otwarty grób zmieniała w błotniste bajoro. Ulewa podkreślała jeszcze smutek tej uroczystości. „Aniołki w niebie płaczą” - mówiła mama o częstych angielskich deszczach.

Nie mogła oderwać wzroku od dwóch trumien, które grabarz powoli zasypywał ziemią. Nawet gdy już wykonał swe zadanie, stała nadal, czując tak rozdzierający smutek, jakby miało pęknąć jej serce.

- Chodźże, dziewczyno. Twoja ciotka się zaziębi. - Wuj szorstko schwycił ją za nadgarstek. Kiedy tylko wsiadła do powozu, woźnica strzelił z bata i konie ruszyły.

W pewnym momencie słowa ciotki, wypowiedane przez zaciśnięte zęby, dotarły do zrozpaczonej Olivii:

- Mówiłam Margaret, że wychodzi za mąż poniżej swej pozycji, ale nie chciała słuchać. Jej spadkiem bardzo źle zarządzano.

- Spadkiem...?

- Niestety niewiele z tego zostało. Praktycznie nie masz nic.

- Zawsze żyliśmy bardzo skromnie, ciociu Agato. Ma-



ma mówiła, że jej pieniądze są w Londynie i ty nimi zarządzasz. Ty i wuj Robert.

Usta wuja zacisnęły się w wąską linię.

- Powinnaś być nam za to wdzięczna, młoda damo. Gdyby nasz syn Wyatt nie pilnował tak starannie twoich interesów, ten twój ojciec, z nosem w starych, zakurzonych księgach, kompletnie oderwany od życia, już dawno roztrwoniłby majątek żony.

- Ojciec nie interesował się pieniędzmi matki.

- To było widać na pierwszy rzut oka - zauważyła sarkastycznie ciotka. - Dzięki temu ledwo co zostało na twoje utrzymanie, choć przypuszczam, że dostaniesz coś za sprzedaż domku.

- Z tego również nie będzie złamanego szeląga, bo twoja siostrzenica postanowiła go oddać.

- Oddać...?

Gdy ciotka zaczęła protestować, Olivia z trudem pohamowała narastający w niej gniew.

- Ofiarowałam go wdowie Dillingham, która była przyjaciółką rodziców. Od czasu śmierci jej syna nikt się z nią nie widuje. Wiem, że mama i tata chcieliby podzielić się z nią nawet tymi niewieloma rzeczami, które mieli na własność.

- To nie ma znaczenia - powiedział wuj z lekceważącym machnięciem dłoni. - I tak niewiele będzie z tego miała, bo to właściwie rudera.

Okrutne słowa. Olivia poczuła kolejne ukłucie w sercu.

- To jedyny dom, jaki miałam.

- A teraz nie masz żadnego - rzekła Agata niecierpliwie. - Chyba ze względu na szacunek należny pamięci mojej siostry powinnam zabrać cię ze sobą do Londynu.

- To nie jest konieczne. Sama mogę o siebie zadbać tu, w Oksfordzie. Nie chcę być ciężarem, ciotko Agato.

- Do tego nie dopuszczę. - We wzroku lady Lindsey błyszczała przebiegłość. Zauważyła niegustowną, bezkształtną suknię, zniszczone, tandetne buty, wytarty płaszcz podróżny. Postać, którą okrywał ten nieefektywny strój, prezentowała się równie mało atrakcyjnie. Mała i chuda nie miała kusząco zaokrąglonych kształtów. Ciemne, wilgotne włosy były wciśnięte pod nędzny kapurek. Jeżeli ta dziewczyna odziedziczyła uderzającą urodę matki, musi ją dobrze ukrywać.

Jakże ten kopciuszek wyglądałby na tle bogatych, utytułowanych londyńskich dam? Agata pomyślała o własnych dzieciach, o córce Catherine, zaręczonej z hrabią Gathwick, i synu Wyatcie, który podzielał jej upodobanie do pieniędzy. Tak umiejętnie zarządzał ich posiadłościami, że obecnie stali się jedną z najzamożniejszych rodzin w Anglii, a nawet otrzymali zaproszenie na obiad do króla. To było jedno z najpiękniejszych przeżyć lady Lindsey.

- Przynajmniej możesz zarobić na swoje utrzymanie. Wikary powiedział nam, że jesteś inteligentna, a ojciec dbał o twoje wykształcenie. Mam nadzieję, że znajdę ci posadę w którejś z zamożniejszych londyńskich rodzin.

Londyn. Olivia przypomniała sobie, jakie wrażenie odniosła podczas jedynej wizyty w tym mieście przed paro-

małaty. Rzędy kamienic. Stukot powozów na wąskich, brudnych ulicach. Handlarze, tłumy ludzi, parki wypełnione nianiami z dziećmi. Po powrocie do swego cichego, wiejskiego domku odetchnęła z ulgą.

- Nie chcę jechać do Londynu. Wolę tu zostać.

- To wykluczone. Jako jedyna krewna twojej matki nie mam wyboru. Muszę zabrać cię ze sobą.

Powóz zatrzymał się przed skromnym domkiem.

- Pakuj swoje rzeczy, dziewczyno - rzekła ostro Agata.

- Teraz?

- Oczywiście - warknęła. - Myślisz, że wyruszałibyśmy w jeszcze jedną podróż tylko po to, żeby cię tu przywieźć?

- Czy mogę was zaprosić do środka? - Olivia starała się pamiętać o dobrych manierach. - Może napijecie się herbaty, kiedy będę się pakowała?

- Nie będziemy nic pili - ucięła krótko Agata. Skrzyżowała ramiona na bujnym biuście. - Śpieszy nam się do Londynu. Dość już znieśliśmy niewygód.

Olivia z ulgą przyjęła odmowę ciotki. Rozpaczliwie chciała być sama, żeby zebrać myśli i nacieszyć się po raz ostatni zapachami, widokami i dźwiękami rodzinnego domu, pozwolić sobie na chwilę żałoby.

Gdy zamknęła drzwi i oparła się o nie, jej oczy na nowo wypełniły się łzami. Jakże kochała te skromne cztery ściany! Odkąd pamięta, był to jej dom. Przyjazny, pełen miłości azyl.

Dotknęła półki, na której leżały cenne rękopisy rodziców. Poleciała wikaremu, by przekazano je uniwersytetowi.

Być może w oczach innych St. Johnowie sprawiali wrażenie oryginałów. Bezustannie krążyli po okolicy, szkicując dzikie zwierzęta i zapisując swoje spostrzeżenia w dzienniku. Ale uczeni bardzo cenili ich oboje. Olivia uwielbiała rodziców i najbardziej lubiła spędzać czas w ich towarzystwie.

Słyszając niecierpliwie tupanie koni, pospieszyła do swego pokoju i zaczęła się pakować. Niewiele jej strojów nadawało się do zabrania do Londynu. Dwie suknie, które od biedy ują, jedna szara, druga niebieska. Szal, kapturek, parasolka. Wiedziała, że resztę wdowa Dillingham rozda biednym w parafii.

Pod wpływem nagłego impulsu weszła do pokoju rodziców i starannie zwinęła małą, haftowaną narzutę, leżącą w nogach łóżka. Matka zrobiła ją przed ślubem. Olivia przytuliła ją do twarzy, wdychając zapach, który zachował się w fałdach materiału.

- Spakowałaś się już, dziewczyno? - doszedł ją od progu poirytowany głos wuja.

Pobiegła do swego pokoju i wzięła kuferek. Rozejrzała się po małym domku ze ściśniętym gardłem. Jak może porzucić wszystko, co jest jej tak drogie? Jak może tak po prostu odejść od swych wspomnień, dzieciństwa, swego życia?

Spojrzała na dwa bujane krzesła, które ojciec osobiście wyciosał, ustawione obok siebie przed kominkiem. W du-

szy usłyszała głos matki: „Umysł to cudowny dar, Livvy. Niesiemy w nim wszystkie skarby życia. Każdy uśmiech i całą miłość. I póki są bezpiecznie schowane w naszych głowach, zawsze możemy po nie sięgnąć, gdy ich potrzebujemy, by je sobie przypomnieć, rozkoszować się nimi...”

- Ruszże się, dziewczyno! - zawołał ostro wuj.

Wyżej uniosła podbródek i pewnym krokiem podeszła do czekającego na nią powozu. Woźnica pomógł jej wsiąść i schował kuferek. Ruszyli, gdy tylko wuj usadowił się obok żony.

Olivia obejrzała się, chłonąc ostatnim spojrzeniem widok ukochanego domu. Kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła głowę i spostrzegła świdrujące, nieprzychylnie spojrzenie ciotki. Przygryzła drżącą wargę aż do krwi. Przymknęła oczy, udając, że drzemie, i zaczęła wspominać cudowne chwile, jakie spędziła z ukochanymi rodzicami. Pocieszała się, że nie odeszli, bo zawsze będą żyli w jej pamięci.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Za pozwoleniem, milordzie... - Pani Thornton musiała dwukrotnie chrząknąć, zanim lord Stamford uniósł wzrok znad ksiąg.

- Co się stało?

- Chodzi o chłopca.

- A co się z nim dzieje?

Gospodyni wzruszyła ramionami. Przepowiadała sobie tę kwestię od paru dni. Teraz, gdy czuła na sobie to ciemne, przenikliwe spojrzenie, słowa uwięzły jej w gardle.

- No więc? - Był wyraźnie zirytowany. - Czy jest chory?

- Nie, milordzie. Ale... nie ma nikogo, kto by się o niego zatroszczył - wybąkała wreszcie.

- Niech pani każe jakiemuś służącemu, żeby się nim zajął.

- Już to zrobiłam. - Ujrzała, że znowu ujął pióro i zaczęła mówić szybciej: - Powiedziałam temu aroganckiemu tłumokowi, tej Edlyn, by miała na niego oko. Ona ma jeszcze obowiązki domowe na głowie i zapomina o chłopcu. A on jest taki cichutki... nie potrafi się o nic upomnieć. Jeśli wolno mi się wtrącić, milordzie, chłopak w je-

go wieku nie powinien spędzać tyle czasu w swoim pokoju. Zrobił się błąd i sprawia wrażenie niezdrowego.

- Bzdura. Widziałem go wczoraj wieczorem. Nie zauważyłem niczego niepokojącego. - Stamford znowu całą uwagę skierował na księgi.

- Jest jeszcze coś, milordzie.

- Co takiego? - zapytał niecierpliwie.

- Chłopiec wygląda na rozgarniętego. Powinien się uczyć.

- Oczywiście, ma pani rację. Może szkoła przykła-sztorna...

- Nie, wasza miłość. Dzieciak ma najwyżej pięć czy sześć lat. - Zamilkła w nadziei, że dowie się dokładnie, w jakim chłopiec jest wieku. Ale lord Stamford nie spieszył z odpowiedzią, więc dodała: - Jest za mały, żeby go odsyłać do szkoły.

- Wobec tego co pani proponuje, pani Thornton? - W głosie Stamforda słychać było rosnącą irytację.

- Nianię, milordzie. Taką, która będzie się chłopcem opiekować i uczyć go. To chyba najlepsze rozwiązanie.

- Nianię. - Rozważał ten pomysł przez chwilę, po czym skinął głową. - Guwernantkę raczej. Zajmę się tym.

- Jak, milordzie?

Odwrócił stronicę w księdze i poprawił świecę, by rzucała odpowiednie światło.

- Tak jak to się zwykle robi. Niech pani powie służbie, żeby popytała po okolicy. Może ktoś w sąsiedniej wiosce czy hrabstwie...

- Większość z nich nie jest lepsza od Edlyn, milordzie.  
- Zastanawiała się przez chwilę. - Mam kuzynkę w Londynie. Może ona mogłaby popytać...

- Świetny pomysł. Proszę się tym zająć, pani Thornton.

Gdy w chwilę później gospodyni schodziła do pomieszczeń kuchennych, czuła wzbierający w niej gniew. Z każdym dniem przybywało jej obowiązków. Od powrotu lorda Stamforda życie stało się bardzo skomplikowane.

### *Londyn*

Olivia zeszła ze schodów okazałego domu wujostwa i poszła w stronę, którą wskazała jej Letty, starsza pokojówka pełniąca służbę na piętrze.

- Od razu panienkę poznałam - powiedziała, uśmiechając się serdecznie. Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jaki Olivia ujrzała od paru dni.

- A skąd Letty mnie zna?

- Panienka jest żywym obrazem swojej matki, kiedy była w tym wieku.

- Letty znała moją matkę?

- O, tak, panienko. Była taka miła i słodka. Cała służba za nią tęskniła, gdy wyjechała, żeby poślubić swego profesora.

- To znaczy, że moja matka mieszkała w tym wspaniałym, wielkim domu?

- Naturalnie. Nie wiedziała panienka o tym?



Olivia była kompletnie oszołomiona.

- Bardzo mało opowiadała mi o swoim dzieciństwie. Wydawało mi się, że niektóre wspomnienia były dla niej bardzo bolesne.

- Ona i jej siostra... - Służąca ugryzła się w język i zakończyła kulawo: - Bardzo się od siebie różniły. - Rozejrzała się niespokojnie. - Musi panienka już iść. Nie można kazać czekać lady Agacie.

- Już idę, Letty. Mam nadzieję, że jeszcze później porozmawiamy.

- Tak, panienko. Bardzo bym chciała. Panienka tak bardzo przypomina mi swoją matkę, aż dziw.

- Dziękuję, Letty! - zawołała przez ramię Olivia. - To najmiłsza rzecz, jaką mogłaś mi powiedzieć.

Była to dla niej pierwsza okazja, by zwiedzić dom, gdyż ciotka ograniczała jej swobodę poruszania się do pokoju gościnnego, zalecając, aby w nim pozostawała. Nawet posiłki tam jej zanoszono. Olivia nie protestowała, nie była zaskoczona takim traktowaniem. Przez całą drogę Agata utyskiwała na zimno, zacinający deszcz, późną godzinę, a nawet i na to, że jej siostra i szwagier zmarli w tak niedogodnej porze. Olivia musiała powstrzymywać się całą siłą woli, by nie wybuchnąć podczas gniewnej tyrady ciotki.

Podróż upłynęła nieprzyjemnie, ale przyjazd do domu okazał się jeszcze gorszy. Elegancka młoda osoba w różowej sukni, którą z pewnością uszyto dla księżniczki, przywitała podróżnych nie uściskiem, lecz narzekaniem, że jest bardzo śpiąca. Okazało się, że to kuzynka Catherine.

Gdy przedstawiono jej Olivie, skrzywiła się równie cierpko jak matka, kiwnęła głową i bez słowa poszła do swojego pokoju, zostawiając Olivie samą.

Kiedy zaświtał nowy dzień, a za oknem rozległ się świergot ptaków, Olivia postanowiła przypisać wybuchy złości i narzekań nieoczekiwanemu obrotowi wydarzeń. W końcu, jeżeli ona była zrozpaczona utratą rodziców, Agata również pewnie jeszcze nie przyszła do siebie po śmierci jedynej siostry. Może po paru dniach odpoczynku ciotka i jej córka staną się sympatyczniejsze.

Olivia zatrzymała się przed jadalnią, wdychając wspañiały zapach świeżo upieczonego chleba. Widziała, jak paruje góra cienko pokrojonych płatów wołowiny, ułożonych na srebrnej tacy na kredensie. Nad stołem pochylała się pokojówka, nalewając coś ze srebrnej wazy.

Z uśmiechem na ustach Olivia wygładziła spódnice swej prostej szarej sukni. Ale gdy zrobiła krok do przodu, kątem oka ujrzała wysokiego, mocno opalonego mężczyznę, który kroczył przez pokój.

- Wyatt! - Agata zerwała się na nogi, pełna uśmiechów, wyciągając ramiona. - Kiedy przyjechałeś? Niech no ci się przyjrzę.

Olivia cofnęła się na korytarz i oparła o ścianę. Do domu powrócił jedyne dziecko wujostwa, toteż czułaby się jak intruz, asystując przy powitalnej scenie. A choć w brzuchu burczało jej z głodu, doszła do wniosku, że nie może przeszkadzać. Rodzina na pewno chciałaby побыć przez chwilę w ścisłym gronie.

- Mój okręt zawinął do portu dwa tygodnie temu - dobiegł ją głęboki, dudniący głos kuzyna.

- Dwa tygodnie? To dlaczego pojawiłeś się dopiero dzisiaj? - zapytał Robert z irytacją.

- Miałem sprawy do załatwienia, ojcze.

- To oczywiste. - Ton Agaty nie pozostawiał wątpliwości, że zawsze weźmie stronę syna. - Jeżeli mężczyzna ma osiągnąć sukces, musi stawiać interes na pierwszym miejscu.

- Zawsze mi to powtarzałaś, mamó, i dzięki temu osiągnąłem więcej niż kiedykolwiek przedtem. Ale teraz wy mi opowiedzcie, co tu się zdarzyło podczas mojej nieobecności.

- Matka i ojciec musieli jechać do Oksfordu na pogrzeb siostry mamy... - Olivia rozpoznała płaczący głos Catherine. - Nigdy się nie domyślisz, kogo przywieźli ze sobą. - Zanim Wyatt zdążył odpowiedzieć, dokończyła: - Naszą kuzynkę, starą pannę z prowincji!

Twarz Olivii spłonęła rumieńcem. Zrozpaczona, przycisnęła dłonie do zaczerwienionych policzków. Jękliwe głos ciągnął:

- I ostrzegam cię, mamó, że nie pozwolę, by ta żałosna kreatura paradowała w moich sukniach.

- To tylko przez parę dni, Catherine, dopóki krawcowa nie uszyje jej nowych ubrań. Nie może chodzić w tych swoich żałosnych łachmanach.

- Może sobie nawet chodzić nago. Nie pożyczę jej swoich rzeczy. Dlaczego ulokowaliście ją w apartamencie gościnnym?

- A gdzie miałam ją umieścić? W pokojach dla służby?

- I to byłoby dla niej za dobre. Mamo, nie pamiętasz? Niedługo przyjeżdża z wizytą Jan z rodziną. Nie życzę sobie, żeby przedstawiono ją hrabiemu Gathwick. Umarłabym, gdyby mój narzeczony i jego matka dowiedzieli się, że jesteśmy spokrewnieni z tą... tą... prostytutką.

- Nie zwracaj sobie tym ślicznej główki, moja księżniczko. Nic nie przekreśli twoich szans u hrabiego i jego rodziny - powiedziała uspokajająco Agata. - Ojciec i ja nie chcemy jej tutaj tak samo jak ty. Znajdę dla niej jakieś miejsce, nawet gdyby musiała wyrzucać gnój ze stajni.

Olivia, oszołomiona i przerażona tym, co usłyszała, zaczęła się wycofywać. Postanowiła ukryć się w apartamencie dla gości i zaczekać tam do chwili, kiedy będzie mogła spakować swoje rzeczy i uciec z tego nienawistnego miejsca. Odwróciła się, zakrywając ręką drżące wargi. Gdy pędziła korytarzem, biegł za nią okrutny, szyderczy śmiech.

- A więc tu ukrywa się nasza mała myszka - usłyszała od drzwi po paru minutach.

Uniosła wzrok znad kufierka, do którego wkładała swoje rzeczy. O drzwi opierał się wysoki mężczyzna o jasnych włosach i bladoniebieskich oczach, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

- Tak sobie pomyślałem, że skoro słyszała pani wszystko, co mówiliśmy na dole, zastanę panią przy pakowaniu.

- Skąd pan wiedział...? - Czując, że policzki jej płoną, pochyliła głowę i dalej układała rzeczy.

- Zauważyłem, że w drzwiach trzepocze obrębek spódnicy i zadałem sobie pytanie, kto prócz naszej wiejskiej kuzynki usiłowałby się wymknąć, nie zdradzając swej obecności?

- Widzę, że jest pan bardzo zadowolony z siebie. Czy dlatego pan się tu znalazł? Żeby oskarżyć mnie o podsłuchiwanie? - Złożyła niebieską suknię, tę samą, którą miała włożyć dziś wieczorem na kolację z wujostwem i kuzynami.

- Przeciwnie, jestem zdegustowany zachowaniem mojej siostry. Przyszedłem, by za wszystko przeprosić. - Podeszedł do niej i wyciągnął rękę. - Witaj, kuzynko. Jestem Wyatt Lindsey. Czy możemy zacząć wszystko od nowa?

Przez kilka sekund Olivia wpatrywała się w jego dłoń, a potem w twarz. Był bardzo przystojny i miał nieco chłopięcy uśmiech. Wyczuła, że doskonale zdaje sobie sprawę ze swego uroku i często go wykorzystuje.

- Chyba... tak. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Olivia St. John.

Przytrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż to było konieczne, póki, zmieszana, sama jej nie wysunęła.

Był mile zdziwiony delikatną urodą kuzynki. Kiedy Catherine nazwała ją starą panną, spodziewał się ujrzeć osobę niemłodą i niezbyt urodziwą. Nie wiadomo, dlaczego to śliczne stworzenie nie wyszło dotąd za mąż. Podczas

kilkudniowego pobytu w domu rodzinnym musi dokładnie ocenić uroki kuzyneczki.

Patrząc na kuferek, zapytał:

- Dokąd kuzynka się wybiera?

- Myślałam tylko o tym, żeby opuścić to miejsce, skoro jestem tak niemile widziana.

- Może mógłbym... kuzynce pomóc?

Dotknął ciemnego pasemka, które wymknęło się z mocno związanego wężła na karku.

Natychmiast się od niego odsunęła.

- W jaki sposób mógłby mi pan pomóc?

Uśmiechnął się. Nie pójdzie mu z nią tak łatwo. Ale to nawet lepiej. Opór podniecał go. Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyciągnął z niej rolkę pergaminu. Rozwinął ją, podszedł do biurka i podał jej pióro.

- Najpierw musi kuzynka podpisać się na tym dokumencie.

Zdziwiona, podeszła bliżej.

- A co to takiego?

- Nic ważnego. Po prostu daje mi on prawo zarządzania majątkiem kuzynki.

- Moim majątkiem? - Roześmiała się głucho. - Pańscy rodzice poinformowali mnie, że jestem biedna jak mysz kościelna.

- I mieli rację. To tylko formalność. Jako prawnik, chcę, żeby wszystko było w jak najlepszym porządku. Proszę tu podpisać.

Rzuciła wzrokiem na dokument, po czym odłożyła pióro.

- Kręci mi się w głowie od tych formułek. Wolałabym to spokojnie przeczytać w wolniejszej chwili. Może kuzyn zechce mi zostawić ten dokument.

Jego uśmiech, jeszcze przed chwilą tak ciepły i przyjazny, teraz wydawał się groźny. Zbliżył się do niej o krok, ale się cofnęła. Postąpił jeszcze o krok, a ona znowu się cofnęła, aż plecami oparła się o ścianę.

- Chyba nie chcesz mnie rozzłościć, kuzynko. Znam wszystkich bogatych i utytułowanych ludzi w Londynie.

- Przycisnął dłonie do ściany po obu stronach jej głowy i pochylił się tak, że jego usta znalazły się zaledwie kilka milimetrów od jej warg. - Może mógłbym załatwić ci dobrą posadę. O ile oczywiście okażesz się dla mnie... bardzo miła.

Rozwścieczona Olivia usiłowała go odepchnąć, lecz okazał się zadziwiająco silny.

- Może jestem prostą dziewczyną ze wsi, nieprzywykłą do londyńskich zwyczajów, ale dobrze wiem, co pan ma na myśli, i nie żyję sobie w tym uczestniczyć.

W ostatniej chwili zdołała obrócić twarz, tak że ustami musnął tylko jej policzek.

- Proszę przestać! - Znowu próbowała go odepchnąć, lecz jego muskularny tors nawet nie drgnął. - Puść mnie, Wyatcie, bo zacznę krzyczeć.

Jego oczy się zwięziły.

- Krzycz sobie, ile wlezie, myszko. Rodzice są w ogrodzie, a służba nie odważy mi się przeszkodzić.

Gdy znów zaczęła protestować, przycisnął usta do jej

warg, tłumiąc wszelkie sprzeciwy. Jego gorący oddech wypełnił jej płuca.

Wezbrała w niej fala paniki. To nie może się dzieć naprawdę. Nie tutaj, w domu, w którym wyrosła jej matka. Zresztą po korytarzach, tuż za tymi drzwiami, krzątają się służący.

W miarę jak narastała w niej panika, walczyła coraz zacieklej. Kopała, gryzła i drapała, starając się rozorać mu policzek paznokciami. Im gwałtowniejszy stawiała opór, tym wydawał się bardziej podniecony.

Tego właśnie pragnął. Wyzwania. Pojedynku. Okazji, by ujarzmić przeciwniczkę. A potem ją upokorzyć. Ten ostateczny akt był dla niego najwyższą nagrodą.

Okazał się tak szybki i silny, że nie zdołała odeprzeć jego ataku. W ciągu kilku minut rzucił ją na podłogę. Jedną ręką przytrzymał jej ramiona nad głową, drugą sięgnął pod spódnicę.

Twarz wykrzywił mu złowieszczy grymas.

- A teraz, kuzyneczko, pokażę ci, jak zamierzam cię powitać. Kiedy skończę, podpiszesz wszystko, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. - Jego oczy zwięziły się w szparki, gdy usiadł na niej okrakiem i rzucił jej triumfujące spojrzenie.

Nagle lunął na niego kubeł zimnej wody. Zaskoczony i wściekły, przekręcił się na bok, uwalniając Olivię. Dziewczyna usiadła, odgarniając wilgotne włosy z oczu.

Nad nimi stała stara Letty, trzymając pusty kubeł.

- Proszę mi wybaczyć, paniczku - rzekła przepraszają-



co. - Miałam pomóc młodej panience przy kąpeli i chyba potknęłam się o dywanik.

- Ach, ty stara wiedźmo! Nikt się nie kąpie w zimnej wodzie.

- Młoda panienka specjalnie prosiła o zimną wodę, czyż nie tak, panienko?

- T-tak, oczywiście, że tak - zdołała wyjąkać Olivia, podnosząc się z podłogi.

Oczy Wyattta pociemniały z wściekłości.

- Ty stara czarownico! Powinienem...

- Wezwałam pańskiego ojca i matkę. Powinni być już na górze.

- O co chodzi, Letty? - dobiegł z korytarza głos Roberta.

Wyatt podniósł się na nogi i akurat poprawiał przemoczone ubranie, gdy jego ojciec ukazał się w drzwiach.

- Byłam trochę niezdarna - wyjaśniła stara służąca. - Panicz łaskawie pomógł mi uporać się z tym bałaganem.

- Właśnie widzę. - Robert uniósł brwi z dezaprobatą, patrząc na kałuże wody na podłodze. Potem obrzucił spojrzeniem bladą i drżącą Olivię oraz syna, który nerwowo wygładzał na sobie przemoczone ubranie. - Chodź, zostawmy to służbie.

Wyatt, wychodząc, szepnął do Olivii:

- Któregoś dnia znowu się spotkamy i wtedy mi zapłacisz. Och, kuzyneczko, słono mi za to zapłacisz.

Gdy obaj mężczyźni wyszli, Olivia zwróciła się do Letty:

- Czy kiedykolwiek zdołam ci się za to wywdzięczyć? Tak się bałam... - Niespodziewanie rozplakała się w głos.

- Już dobrze, no już... - Stara kobieta objęła ją i tuliła tak długo, aż łzy przestały płynąć. - Wszyscy słyszeli tu o paniczu Wyattcie. Zrobił krzywdę wielu młodym służącym. Wszystkie się go boją.

- Dlaczego nikt nie powie o tym jego rodzicom?

- Dobrze wiedzą, co się dzieje, ale wygodniej widzieć wady w innych, nie u syna. To zawsze wina służącej, którą zwalniają z opinią ładacznicy.

- O mnie też tak będą mówić?

Letty wzruszyła tylko ramionami, nie chcąc przysparzać bólu i tak już zrozpaczonej dziewczynie. Jednak choć nie powiedziała ani słowa, Olivia bez trudu mogła domyślić się jej odpowiedzi.

- Dlaczego ty się go nie boisz, Letty?

- A co on może zrobić komuś takiemu jak ja?

- Może cię zwolnić.

- Ano tak. Wtedy musiałabym mieszkać z moim bratem, który i tak już ma na głowie chorą żonę. Myślę, że jestem potrzebna lady Lindsey, bo inaczej dawno już by mnie tu nie było.

- Nie mogę zostać, Letty, muszę stąd odejść.

- Tak. Nie jest panienka bezpieczna, póki panicz Wyatt mieszka w tym domu. - Stara kobieta zastanawiała się przez chwilę. - Jest pewne miejsce... Choć z tego, co słyszałam, może panienka wpaść z deszczu pod rynnę.

- Proszę, powiedz mi, Letty. Pójdę wszędzie, mogę robić cokolwiek.

Służąca milczała jeszcze przez chwilę, po czym powzięła decyzję.

- Porozmawiam z lordem Lindseyem, Zdaje się, że chętnie się ciebie pozbędzie. Zdejmie to z niego odpowiedzialność, a ty będziesz wolna.

Odeszła, zostawiając Olivię skuloną za zamkniętymi drzwiami. Dziewczyna drżała za każdym razem, gdy usłyszała kroki na korytarzu. Nie miała wątpliwości, że młody Wyatt to okrutna kreatura bez serca, która zawsze weźmie to, czego chce. Bez słowa przeprosin. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Drżenie objęło całe jej ciało. Przemogła się jednak i nie usiadła, tylko pozostała przy drzwiach, czujnie nasłuchując.

Niebawem rozległo się pukanie.

- Kto... kto tam? - Olivia uchyliła drzwi tylko na tyle, by wpuścić służącą.

Stara kobieta ze wzruszeniem patrzyła na bladą i przestraszoną dziewczynę, dla której stała się jedynym ratunkiem.

- Lord Lindsey przyznaje, że najlepiej będzie, jeśli panienka szybko stąd wyjedzie. Nawet w tej chwili. Powóz zaraz będzie gotowy do drogi. - Letty ze współczuciem spojrzała na Olivię. - Będzie panienka potrzebowała płaszcza. Droga do Kornwalii jest długa, a ziąb tam straszny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### *Kornwalia*

Krajobraz angielski, spowity mrokiem, widoczny był tylko w mglistych zarysach zza szyb pędzącego pojazdu. Olivia jedynie od czasu do czasu dostrzegała światła w domkach odległej wioski. Czowała wówczas, że dławi ją w gardle. Jakże tęskniła za swym małym domkiem w Oksfordzie, gdzie życie było tak proste, tak spokojne.

- O mamó, tato... - załkała.

Nie miała czasu, by odbyć po nich żałobę. Nie miała czasu, by jak należy pożegnać się z wieśniakami, którzy od dziecka byli jej sąsiadami i przyjaciółmi.

Przycupnęła na twardym siedzeniu kołyszącego się pociągu, spięta, przerażona, przytłoczona okropnymi przeżyciami. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się zapomnieć o upokorzeniu, jakiego doznała od Wyatta. Już sama myśl o tym wprawiła ją w drżenie, więc przymknęła oczy i mocniej owinęła się płaszczem, by nie tracić cennego ciepła. Zaczęła się zastanawiać, jaka czeka ją przyszłość. Jakim miejscem okaże się Blackthorne? Letty mówiła, że to dziwny i nieprzyjemny dom, ale czy może ist-

nieć coś bardziej nieprzyjemnego niż plugawa rezydencja wujostwa?

Kiedy spojrzała na mrok za oknem, zauważyła, że słabe światła latarni stają się jaśniejsze. Widać powóz nareszcie dojechał do celu.

Gdy wjeżdżali krętym podjazdem, wzmógł się wiatr. Jakby na dany sygnał niebo przeszły błyskawica, po czym rozległ się pomruk grzmotu. Kiedy powóz zatrzymał się i woźnica pomagał Olivii wysiadać, lunęło. W tym momencie uniosła wzrok i ujrzała przyglądającego się jej z okna mężczyznę. W blasku świec jego twarz przybrała upiorną, woskową barwę. Olivia zastygła, niezdolna zrobić kroku.

- Witamy w Blackthorne, panienko - usłyszała. Przed nią pojawił się dystyngowany starszy mężczyzna, który wziął skromny kuferek z rąk woźnicy i pośpiesznie poprowadził Olivię do środka, by uchronić ją przed przemoknięciem.

- Dziękuję. - Drżała tak gwałtownie, że nawet jej wargi się trzęsły.

- Nazywam się Pembroke.

- Pembroke. Widziałam... mężczyznę. W pokoju na górze.

- To panicz Bennett, młodszy brat lorda Quentona Stamforda. Cierpi na bezsenność.

- Miał kredowobiałą twarz...

- Ano tak, panicz Bennett... niedomaga. - Odwrócił się. - Pokoje panienki są przygotowane. Proszę pójść za mną.

Wydawało się, że idą bez końca. Przez ciemny rozległy hol, jeszcze ciemniejszy korytarz, potem w górę po kręconych schodach i jeszcze jednym korytarzem, w którym nagle otworzyły się jakieś drzwi, rozpraszając mrok jasnym światłem.

Mężczyzna, który omal nie zderzył się z Olivią, chwycił ją za ramiona i podtrzymał, gdy się zachwiała. Kiedy ją nieco odsunął, mignęła jej ciemna, przystojna twarz i oczy tak przenikliwe, że przykuł jej wzrok swym spojrzeniem, choć próbowała patrzeć w inną stronę. Miał nachmurzoną minę. Jego gniew był niemal wyczuwalny.

Tuż za nim stał ogar, wyglądający na równie wściekłego jak jego pan, z rozwartym pyskiem i obnażonymi zębami. Z jego gardła wydobywało się ostrzegawcze warczenie.

Olivię ogarnął strach.

- Lordzie Stamford - przerwał milczenie modulowany głos Pembroke'a - to panna St. John, guwernantka chłopca. Właśnie przybyła z Londynu.

- Panna St. John. - Mężczyzna przyjrzał się Olivii z lekkim błyskiem zdziwienia w oczach. Spodziewał się starszej kobiety o ściągniętych rysach, podobnej do tej, która żelazną ręką rządziła dzieciństwem jego i młodszego brata. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że opiekunka do dziecka może być młoda, mieć zielone oczy i ciemne loki, wijące się wokół policzków z dołeczkami.

- Lordzie Stamford...

Czuł, że drży pod jego dotknięciem i celowo przytrzy-

mał ją chwilę dłużej, niż zamierzał, zanim opuścił ręce. Wokół niej unosił się jakiś aromat, który ledwie pamiętał z czasów dzieciństwa. Zrobiło mu się przykro, gdy ujrzał, z jakim pośpiechem dziewczyna się cofa.

- Nie godzi się wysyłać młodej kobiety w tak męczącą podróż przy takiej okropnej pogodzie. Dlaczego nie kazała pani woźnicy zatrzymać się na noc w gospodzie?

- Tak sobie życzył mój wuj.

- Rozumiem. - Rozumiał o wiele więcej. Widział, że dziewczyna jest przerażona. Nie był pewien, czy bała się akurat jego, czy w ogóle wszystkich mężczyzn. To nie miało znaczenia. Nie przybyła tutaj, żeby brylować wśród mężczyzn, lecz by zaopiekować się małym chłopcem. Powinien o tym pamiętać. Ale zarówno jej widok, jak i dotyk wywołał w nim niepokój. Od bardzo dawna nie reagował w ten sposób na obecność kobiety.

- Moja gospodyni, pani Thornton, powiedziała chłopcu o przyjeździe nowej opiekunki. Z niecierpliwością pani oczekuje.

- Chłopiec? - zapytała Olivia tonem ostrzejszym, niż zamierzała. Cała się zjeżyła, słysząc, jak lekceważąco lord Stamford odnosi się do jej młodego podopiecznego. - Czy chłopiec ma jakieś imię?

Odpowiedział równie szorstko:

- Owszem. Na imię mu Liat.

- Tylko Liat? I nic więcej?

Jej impertynencja zaczynała być irytująca.

- Ano nie. - Jego oczy zwięziły się nieco. Już nie starał

się być miły. - Zapewne chce pani udać się na spoczynek, panno St. John, by od jutra móc poświęcić mu całą uwagę. Dobranoc pani.

- Dobranoc, milordzie. - Gdy go mijała, zerknęła do pokoju i zauważyła mężczyznę, skulonego przed ogniem. Kiedy uniósł wzrok, wstrzymała oddech. To był ten sam człowiek, którego widziała z powozu, o kredowobiałej twarzy. Jego oczy, podobnie jak oczy lorda Stamforda, były ciemne i przenikliwe. I pełne cierpienia.

Zanim zdołała dostrzec coś więcej, jej nowy chlebowdawca gwałtownie zamknął drzwi.

Idąc za Pembroke'em, czuła na sobie przenikliwe spojrzenie lorda Stamforda. Wyprostowała się dumnie. Ma już dość mężczyzn, pyszniących się swym bogactwem i władzą. Mimo wszystko, na myśl o tych ciemnych, chłodnych oczach, wpatrzonych w jej plecy, poczuła dreszcz lęku i uspokoiła się dopiero, gdy przystanęli przed zamkniętymi drzwiami.

- Jesteśmy na miejscu, panienko. - Pembroke wniósł latarnię do pokoju. - To pani bawialnia.

Było to duże pomieszczenie z kilkoma wygodnymi fotelami, ustawionymi przed kominkiem. Na małym stoliku ustawiono karafkę i kilka szklanek. W alkowie stało biurko i krzesła.

- Pokój chłopca znajduje się za tymi drzwiami. A tu - Pembroke otworzył kolejne drzwi - mieści się sypialnia panienki.

Olivia kiwnęła głową, podeszła do kominka i wyciąg-



nęła ręce do ognia, by je ogrzać. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno. Jakby jej kości zamarły na lód.

- Pani Thornton prześle panience tacę z kolacją na górę. Musi być panienka głodna po podróży.

- O, tak. Dziękuję.

- To chyba wszystko. Dobranoc, panienko.

- Dobranoc, Pembroke.

Zaczekała, aż drzwi się za nim zamkną, po czym opadła na krzesło i wpatrzyła się w płomienie.

W co ona się wdała? Kim jest dziecko, którym ma się zajmować? Co przydarzyło się człowiekowi o bladej twarzy i oczach tak przerażonych, jakby zobaczył zjawę z zaświatów? I dlaczego pan tych włosów jest taki rozdrażniony i zły?

Miała nadzieję, że przyjazd do Blackthorne przywróci jej spokój ducha. Tymczasem nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna i zagubiona.

Koszmar powrócił. Olivia znowu czuła obezwładniającą siłę rąk Wyatta. I choć walczyła jak tygrysica, nie zdołała zrzucić z siebie jego potężnego ciała. Przycisnął wargi do jej ust, a jego oddech, gorący, urywany, uniemożliwił jej zaczerpnięcie tchu.

Niczym tonąca, usiłowała przedrzeć się przez splecione wodorosty, które ją dusiły. Jakby z wielkiej odległości usłyszała stłumione, szurające dźwięki. Wyprostowała się gwałtownie, zawstydzona, że służąca zastała ją we śnie, zmagającą się ze zwidami.

- Och. Przepraszam. - Odsunęła kosmyk znad oka i usiłowała odegnąć od siebie resztki majaków.

Służąca przyglądała się jej uważnie. Zbyt uważnie. Wydymała wargi, widać niezadowolona, że dorzucono jej jeszcze jeden obowiązek, w dodatku o tak późnej godzinie.

- Pani Thornton powiedziała, żebym przyniosła panience coś do zjedzenia. - Wskazała na tacę, na stoliku nieopodal.

- Dziękuję. To bardzo miło ze strony pani Thornton. Rzeczywiście jestem głodna. Jak ci na imię?

- Edlyn. - Służąca dorzuciła polano do kominka, po czym wyprostowała się, wycierając ręce o fartuch.

Olivia nalała sobie herbaty.

- Edlyn, co możesz mi opowiedzieć o Liacie?

- Przyjechał tu z lordem Stamfordem.

- Przyjechał? Skąd?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Z jakiejś pogańskiej wyspy na Karaibach. Niektórzy powiadają - zniżyła głos do szeptu - że jest nieślubnym synem lorda Stamforda.

- Nie słucham złośliwych plotek. A co się stało z jego matką?

- Mały twierdzi, że jego mama umarła. Może spotkał ją ten sam los co żonę lorda Stamforda.

- Jego żonę?

- Lady Stamford. Niedługo panienka sama się o wszystkim dowie. Cała wioska o tym mówi. Była bardzo piękna. Młodszy brat lorda Quentona, Bennett, uwielbiał ją,

podobnie jak jego dziadek. Znaleziono ją martwą u podnóża skał. Panicz Bennett leżał w pobliżu, ledwo żywy.

- To okropne.

- Ano tak. A choć panicz Bennett przeżył, nie może chodzić ani mówić, tak że nigdy nie wyjawí, co się stało. Cały czas siedzi przy oknie swojej sypialni, wpatrując się w morze. Sam królewski chirurg przyjechał, by go zbadać, i powiedział, że żyje we własnym świetle. Wkrótce po widzeniu chirurga lord Stamford wyjechał.

- Jak to wyjechał?

- Popłynął na morza, zostawiając dziadka, by sam uporał się z tą tragedią. Nikt nie miał żadnych wiadomości od niego aż do śmierci dziadka. Dopiero wtedy wrócił, żeby objąć odziedziczony majątek. Ale myśmy się jego nieobecnością wcale nie martwili. Blackthorne było dużo przyjemniejsze bez niego.

Olivia była zdumiona jadowitym tonem służącej.

- Jeśli cenisz tę posadę, powinnaś się wyrażać ostrożniej o lordzie Stamfordie.

- Moja posada? - Służąca zaśmiała się cierpko. - Przyjechałam do Blackthorne z lady Stamford jako jej pokojówka, ale po śmierci mojej pani traktowano mnie jak zwykłą służącą i odesłano do pomywalni, gdzie żyję na jakichś okruchach i resztkach.

W tak zamożnym domu? Olivii wydało się to nieprawdopodobne.

- A teraz? - zapytała. - Teraz chyba twoja pozycja się poprawiła.

Służąca prychnęła z niesmakiem.

- Od czasu powrotu lorda Stamforda sama nie wiem, jakie są moje obowiązki. Nikt w całym domu nie wie. Musimy być gotowi na każde skinienie jego lordowskiej mości, o każdej porze dnia i nocy.

Gniew w głosie dziewczyny sprawił, że Olivia poczuła się nieswojo. Usłyszała dużo więcej, niż chciała. Postanowiła zmienić temat.

- Jakim dzieckiem jest Liat?

Edlyn wzruszyła ramionami.

- Takim, które boi się własnego cienia. Odludkiem. Nigdy nie śmieje się ani nie płacze. Nie krzyczy ani nie biega. Po prostu ukrywa się w swoim pokoju. - Zniżyła głos: - Zdaje się, że ma coś nie bardzo z głową. - Służąca ziewnęła. - Czy jeszcze czegoś panience potrzeba?

- Niczego, Edlyn. Dobranoc.

Gdy dziewczyna wyszła, Olivia uniosła pokrywę wazy. Był w niej rosół wołowy. Pod kopulastą przykrywką drugiego dania znalazła cienkie kawałki wołowiny, pływające w sosie. W srebrnym koszyku leżało kilka grubych pająd chleba. Zjadła zupę, spróbowała miękkiej wołowiny, ugryzła kawałek chrupiącego chleba, ale jej myśli były pochłonięte tym, czego dowiedziała się o Blackthorne i jego właścicielach, najwyraźniej wplątanych w jakąś mroczną i tajemniczą sprawę.

Aby zagłuszyć niepokój, postanowiła się czymś zająć. Sięgnęła po kuferek, chcąc go rozpakować. To dziwne, pomyślała, rozkładając rzeczy na łóżku, że wszystko jest

w takim nieładzie. Czy szeleszczący dźwięk, który ją obudził, to hałas, którego narobiła służąca, grzebiąc w jej ubraniach? Od razu jednak porzuciła te myśli. Służąca wiedziałaby, że zwykła guwernantka nie ma niczego wartościowego.

Opadła na krzesło, przycisnęła ręce do policzków i zaczęła zastanawiać się nad wszystkim, co do tej pory widziała i słyszała. Mocno zacisnęła powieki, aby odpędzić obawy, które zaczęły ją znów nachodzić. Odpocznie przez chwilę, żeby zebrać siły do nowych zadań. Była to jej ostatnia składna myśl, nim po raz drugi zmorzył ją sen.

Dźwięk, który obudził Olivie, nie był podobny do niczego, co kiedykolwiek w życiu słyszała. Był to długi, przenikliwy wrzask, który zmroził jej krew. Przerażona, poderwała się na nogi. Takiego głosu z pewnością nie wydobyłby z siebie żaden człowiek. To pewnie jakieś dzikie zwierzę, schwyte w sidła.

Wrzask dochodził jednak z wnętrza domu, gdzieś z korytarzy. Gdy sobie to uświadomiła, przebiegła przez pokój i gwałtownie otworzyła drzwi. Wysokie, przenikliwe jęki stały się teraz jeszcze głośniejsze.

Bez chwili zastanowienia ruszyła korytarzem, aż znalazła się przed drzwiami, za którymi widziała mężczyznę skulonego w krzesle. Ponieważ drzwi były otwarte, ujrzała lorda Stamforda oraz kobietę, której nocny strój był w wyraźnym nieładzie. Stali po obu stronach łóżka, a w jego nogach czuwała młoda rudowłosa służąca.

Lord Stamford trzymał w ramionach owiniętego kocami brata, a kobieta przytykała mu kubek do ust.

- Zrób to, o co cię prosi pani Thornton, Bennetcie. - Głos lorda Stamforda brzmiał zupełnie inaczej niż przedtem, zniknął z niego ton wyniosłej arogancji. Mówił łagodnie, kojąco, jak matka do chorego dziecka.

Jęki nagle ustały. Bennett wypił zawartość kubka i jeszcze przez parę minut łkał rozpaczliwie, a potem zapadła cisza.

- Będzie teraz spał, milordzie - powiedziała kobieta.

- Dziękuję, pani Thornton. - Quenton spojrzał na rudowłosą służącą. - I tobie też, Minervo. Jestem ci wdzięczny, że tak szybko się nim zajęłaś.

- Ale to nic takiego, wasza wielmożność. - Dziewczyna wygładziła pościel. - Proszę się nie martwić. Zostanę przy nim teraz i dopilnuję, żeby spał spokojnie.

Gdy Quenton się odwrócił, zobaczył w otwartych drzwiach Olivię. Bez słowa przeszedł przez pokój i wypchnął ją szorstko na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Stamford. Nie zamierzałam wsadzać nosa w nie swoje sprawy.

- Ale to właśnie pani zrobiła.

- Usłyszałam krzyk i chciałam sprawdzić, czy nic złego się nie stało. Nie wiedziałam, skąd pochodzi ten hałas. Myślałam... - Przygryzła wargę, nie chcąc zdradzać swych podejrzeń.

- Rzeczywiście trzeba trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić, panno St. John. - Podtrzymując młodą ko-

bietę za łokieć, Quenton przeprowadził ją przez korytarz do jej pokoju. Wyraźnie chciał się pozbyć świadka krępującego zajścia. - Mój brat jest bardzo chory. Prześladowają go dawne wspomnienia. Nachodzą go w nocy i przyprawiają o straszne udreki.

- Czy nie można mu jakoś pomóc?

Potrząsnął głową.

- Lekarze, którzy go badali, twierdzili, że nie znają na to lekarstwa.

Przystanąła przed drzwiami i popatrzyła w ciemne oczy Quentona. Kryło się w nich tyle bólu, tyle cierpienia. Wzruszyło ją to do głębi serca.

- Bardzo mi przykro, lordzie Stamford.

Zorientowała się, że nie życzy sobie jej litości. Odwrócił się, lecz po chwili znowu stanął twarzą do niej.

- Kiedy następnym razem usłyszysz pani krzyki mego brata, panno St. John, radzę zostać u siebie. - Skinął jej głową. - Życzę dobrej nocy.

Patrzyła, jak odchodzi korytarzem. Potem weszła do swego pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Cóż - wyszeptwała do siebie. - Witamy w Blackthorne, moja panno.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Parę godzin później Olivia była już na nogach i przygotowywała się do swego pierwszego dnia pracy w charakterze opiekunki małego chłopca. Ubrana w prostą, szarą suknię, właśnie wiązała włosy z tyłu w ciasny węzeł, gdy usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę wejść.

Pojawiła się Edlyn z tacą. Była jeszcze bardziej naburmuszona niż poprzednio.

- Pani Thornton powiedziała, że mam przynieść panience herbatę i biszkopty.

- Dziękuję, Edlyn. To bardzo miło ze strony pani Thornton. Wezmę tacę ze sobą i zjem śniadanie z Liatem.

Służąca odwróciła się z gniewnym grymasem.

- Sama ją tam zaniosę, bo inaczej pani Thornton urwie mi głowę.

- Ależ nie ma takiej potrzeby. - Olivia wolała nawiązać pierwszy kontakt z chłopcem sama. Nie chciała, żeby cokolwiek go rozpraszało, pragnęła, aby witając się z nią, nie musiał się mieć na baczności. - Nic nie powiem gospodyni. Na pewno masz wiele innych obowiązków na głowie.



- Zwłaszcza gdy pani Thornton ma humory. - Służąca wzniosła oczy do nieba. - Panienska w ogóle nie wie, co znaczy obraza, jeśli ta stara baba nigdy nie natarła panience uszu.

- Będę o tym pamiętać.

Olivia odczekała, aż służąca wyszła, po czym zaniósła tacę do drzwi pokoju chłopca. Zapukała, a potem sama sobie otworzyła. Bawialnia była podobna do jej salonu, na kominku wesoło trzaskał ogień, wokół stało kilka wygodnych krzeseł i fotel. Znajdował się tam też mały stolik, który, zdaniem Olivii, mógł doskonale służyć jako biurczko dla jej podopiecznego.

- Witaj, Liacie. Nazywam się Olivia St. John. - Zatrzymała się w drzwiach i patrzyła, jak chłopiec się odwraca. Przycupnął na kufrze, który przeciągnął do okna. Był bosy i miał na sobie tylko krótkie spodenki i koszulkę z jakiegoś kolorowego materiału. Zapisała sobie w pamięci, że chłopiec potrzebuje cieplejszych ubrań na chłodną angielską pogodę.

- Czemu się przyglądasz?

Chłopiec w milczeniu wzruszył ramionami.

Olivia przeszła przez pokój i stanęła obok niego.

- Ach, rozumiem. Masz stąd bardzo dobry widok na ogród. Ojej, z takiej wysokości wydaje się bardzo mały. - Uśmiechnęła się do niego. - Chciałbyś się po nim spacerować?

Wyraźnie się wzdrygnął.

- Co, nie chcesz wyjść na dwór? Myślałam, że taki chłopiec jak ty lubi biegać po trawie i gonić motyle.

Natychmiast się ożywił.

- Motyle?

A więc zdołała go czymś zainteresować.

- Myślałeś, że w Anglii nie ma motyli? - Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. - Są motyle, jelenie, króliki i wie-  
wiórki. Nie chciałbyś ich obejrzeć?

Skinął głową.

- Świetnie. Pójdziemy na spacer po ogrodzie, gdy tyl-  
ko się posilimy.

- Boję się - szepnął.

- Czego się boisz?

- Potworów.

- Jakich potworów?

- Takich - rozejrzał się wokół bojaźliwie - które po-  
jawiają się nagle i zasłaniają słońce.

Olivia, zdziwiona, już chciała zapytać, co to za potwo-  
ry, gdy nagle wskazał okno.

- O, właśnie takich.

Spojrzawszy przez szybę, ujrzała, że kłęby burzo-  
wych chmur zasłaniają słońce, okrywając ziemię ciem-  
nością.

- To tylko niewielka burza, Liacie. Z pewnością wi-  
działeś już podobne, zanim przybyłeś do Anglii.

- Na mojej wyspie zawsze świeciło słońce. I zawsze  
było ciepło. - Zadrżał. - A tu są potwory, które porwają  
słońce i ciepło. Tak jak porwały moją mamę.

Olivia całym sercem współczuła przerażonemu malco-  
wi. Doskonale rozumiała, jakie przygnębienie ogarnia

człowieka, gdy los bez najmniejszego ostrzeżenia zabiera mu najbliższe, ukochane osoby.

- Chodź ze mną, Liacie. Nie bój się - powiedziała.

Ujęła go za rękę, pomogła mu zejść z kufra i zaprowadziła do pokoju, gdzie na kominku płonął ogień. Wskazała mu miejsce na dywaniku, po czym usiadła obok niego. Napełniła dwie filiżanki herbatą z mlekiem, i oboje zaczęli jeść.

- Ja też niedawno straciłam ojca i matkę.

- Czy porwał ich potwór?

- Nie. Umarli. Są teraz z aniołami.

- Gdzie?

- W niebie.

- Podoba im się tam?

- Bardzo. Są szczęśliwi w swoim nowym domu.

- Myśli pani, że moja mama jest tam z nimi?

- Na pewno. I choć jej nie widzisz, nadal czuwa nad tobą. Podobnie jak moi rodzice czuwają nade mną.

- Jeżeli nade mną czuwa, dlaczego pozwoliła im zabrać mnie z mojej wyspy i przywieźć tutaj, w to ponure miejsce?

Olivia widziała, że chłopcu drży dolna warga. Jakże pragnęła wziąć to nieszczęsne dziecko w ramiona i pocałunkami rozproszyć strachy. Ale jest przecież jego guwernantką, nie matką czy trzęsącą się nad nim ciotką. Powinna pomóc mu uporać się z nową sytuacją, a może i zahartować na przyszłość.

- Nie wiemy, dlaczego sprawy tak się właśnie to-

czą. Musimy jednak wierzyć, że nic nie dzieje się bez powodu.

Przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami, po czym uniósł ku niej wzrok.

- Czy zawsze mieszkała pani w Blackthorne?

Potrząsnęła głową.

- Mój dom, podobnie jak twój, leży daleko stąd.

- Więc skąd się tu pani wzięła?

- Przyjechałam, by zostać twoją nauczycielką, opiekunką i, jeśli pozwolisz, także twoją przyjaciółką.

- Podoba się tu pani?

- Tak naprawdę to jeszcze nie wiem. Jestem w Blackthorne dopiero od wczoraj, ale mam zamiar zrobić wszystko, żeby mi się tu spodobało.

Ledwie to powiedziała, poczuła dziwny spokój. Pragnęła tylko ukoić obawy chłopca, a tymczasem jej własne brzemie wydało się nagle lżejsze. Spróbuje naprawdę zrobić wszystko, aby uczynić swój pobyt tutaj, a także i chłopca, możliwie najprzyjemniejszym.

Posmarowała biszkopt konfiturą i połowę wręczyła Liatowi.

- Proszę.

Nadgryzł go, uśmiechnął się lekko z aprobatą, po czym zjadł cały kawałek.

- Smaczne, prawda? - Sączyła herbatę, odwzajemniając jego uśmiech. - Mój tata zawsze powtarzał, że przede wszystkim trzeba wiedzieć, czego się człowiek boi. Musisz stawić czoło swoim obawom, jeśli chcesz je pokonać. - Pogładziła

go po policzku i uśmiechnęła się zachęcająco. - Razem stawimy im czoło, Liacie, i w końcu całkiem znikną.

Quenton Stamford stał nieruchomo, ostrzegając ogara, który warował u jego stóp, żeby również nie ważył się ruszyć. Nie zamierzał podsłuchiwać. Przyszedł tylko przedstawić chłopcu jego nową guwernantkę. Ale teraz, patrząc i słuchając, zastanawiał się, jakie przeciwności losu przywiodły tę młodą kobietę do Blackthorne. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, pomyślał, że jest zbyt młoda i niedoświadczona. Nazbyt delikatna. A także zbyt impertynentka i pochłonięta własnymi kłopotami, by pomóc zagubionemu, przerażonemu dziecku. Teraz jednak zaczynał mieć nadzieję, że może ofiarować Liatowi właśnie to, czego on potrzebuje.

Ciażyło mu bardzo, że w Anglii chłopiec znalazł się z dala od własnego środowiska. Niestety, nie miał wielkiego wyboru. Gdy umarł senior rodu, musiał pospieszenie wracać do Blackthorne. Ale przyrzekł umierającej matce chłopca, że będzie go strzegł od wszelkiego zła. Mógł dotrzymać obietnicy jedynie przywożąc go tutaj.

Patrzył i słuchał jeszcze przez chwilę kojącego głosu Olivii, która mówiła:

- Moja matka często cytowała te słowa z Biblii: „Wszystko ma swój czas. Jest czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono. Jest czas śmiechu i czas płaczu. Czas rodzenia i czas umierania”. Dla ciebie więc jest to czas rośnięcia, nauki i pozbywania się obaw. A ja będę robiła to samo.

Quenton uśmiechnął się do siebie. Doskonale. Pozwoli jej zostać. Na razie. Odwrócił się i odszedł równie cicho, jak przyszedł. Ogar bezgłośnie sunął u jego boku.

Gdybyż rozwiązanie wszystkich jego problemów było tak proste jak tego! Teraz musi zająć się tymi przekłętymi księgami rachunkowymi, w których jego dziadek narobił tyle bałaganu.

- Chodź, Liacie. - Olivia otworzyła drzwi pokoju i kiwnęła na chłopca palcem. - Czas, żebyśmy zaczęli zwiedzać Blackthorne.

- Służba zapowiedziała mi, że nie powinienem tu nigdy wchodzić - powiedział chłopiec, gdy mijali pokój Bennetta.

- Dlaczego?

Wzdrygnął się.

- Edlyn powiedziała, że mieszka tu potwór.

Olivia postanowiła natychmiast położyć kres tym nonsensom.

- To nie żaden potwór, ale młody człowiek. Wejdzmy, poznasz go. - Bez chwili zastanowienia zastukała, po czym otworzyła drzwi.

Blady młodzieniec, siedzący na krześle przy oknie, uniósł wzrok. Był wyraźnie przestraszony. Rudowłosa służąca, Minerva, wyglądała na zaniepokojoną.

- Co panienka tu robi?

- Nazywam się Olivia St. John. A to jest Liat. Myślałam ... - zastanawiała się gorączkowo, jak usprawiedliwić

to nagle najście - ...myślałam, że moglibyśmy dziś wieczorem zjeść razem kolację.

- Panicz Bennett zawsze wieczerza samotnie, panienko.

- Podobnie jak my - powiedziała z uśmiechem i zwróciła się do milczącego młodego człowieka: - Gdybyśmy zjedli razem, Liat miałby okazję pana poznać. A pan nas.

- Nie wydaje mi się. - Jednak zanim młoda służąca zdążyła odrzucić propozycję, napotkała wzrok Bennetta, który patrzył na nią z wyraźnym błaganiem. - Cóż... - Zastanawiała się, co na to powie gospodyni. Ale panicz Bennett zrobił taką minę, jakby miał ochotę na ten wspólny posiłek, ustąpiła więc. - No dobrze. Każę Edlyn przynieść tu wasze tace. Jemy kolację o zmierzchu.

Olivia skinęła głową i uśmiechnęła się do Bennetta.

- A zatem do zobaczenia o zmierzchu.

Wzięła Liata za rękę i wyprowadziła z pokoju. Chłopiec nie odezwał się ani słowem, póki nie doszli do kuchni.

- To był mój pierwszy potwór, proszę pani - powiedział stłumionym głosem.

- I mój też. - Olivia znowu się uśmiechnęła.

- Kim jesteście i co robicie w mojej kuchni?

Słyszac ten srogi głos, oboje odwrócili się i ujrzeli wysoką kobietę o dłoniach tak wielkich, że bez trudu zdołałyby unieść połowę wołu albo całego pieczonego prosiaka.

Ręce te spoczywały teraz na rozłożystych biodrach, okrytych bezkształtną suknią.

- Nazywam się Olivia St. John.

- Nowa guwernantka?

- Właśnie. A to jest Liat.

- Ja mam na imię Molly, Molly Malloy, ale wszyscy mówią do mnie „Kucharciu”.

- Witaj, Kucharciu. - Olivia uściśnęła jej rękę. - Właśnie wróciliśmy ze spaceru po Blackthorne i mieliśmy nadzieję, że rozgrzejemy się tu filiżanką herbaty.

- A więc dobrze trafiliście. Siadajcie. - Molly wskazała porysowany drewniany stół.

W ciągu paru minut pojawiły się przed nimi filiżanki parującej herbaty oraz jeszcze ciepłe ciasteczka z owocami.

- Wie pani, jak trafić do serca Liata - rzekła Olivia, z przyjemnością sącząc herbatę.

- Smakują ci moje ciasteczka, chłopcze?

Ponieważ miał pełne usta, skinał tylko głową.

- Kiedy Bennett i Quenton byli chłopcami, przepadali za nimi.

- Zna ich pani od dziecka?

- Od pierwszego dnia ich życia. To byli dobrzy chłopcy. I nadal tacy są.

Mówiąc, jednocześnie wałkowała ciasto, z którego formowała małe ciasteczka. Do kuchni weszła pani Thornton i nalała sobie filiżankę herbaty, a po chwili dołączył do nich Pembroke.



- Widzę, że zaznajamiasz się z chłopcem i jego guwernantką - rzekła gospodyni, nakładając sobie ciasteczko.

- Właśnie. - Molly podała ciasteczko kamerdynerowi.  
- Opowiadałam im o lordzie i jego bracie. Sporo łobuzowali za młodu, ale nigdy nie zrobili niczego podłego.

Pembroke skinął potwierdzająco głową.

- Zawsze się o siebie troszczyli. Nie brakowało im fantazji i energii.

- Pamiętasz, jak stary lord kazał nam przetrząsnąć całe Blackthorne w poszukiwaniu wnuków? Przewróciliśmy cały dom do góry nogami.

- I gdzie ich w końcu znaleźliście? - zapytała Olivia.

- W stajni, obok ich ulubionej kobyły, która właśnie się ożrebiła. Kobyła lizała i trącała nosem całą trójkę młodych, chłopców i źrebię, aż wszyscy się pospali.

Pani Thornton, opisując tę scenę swym wysokim, piskliwym głosem, rozśmieszyła wszystkich serdecznie.

Była to urocza godzina. Dała Olivii okazję ujżenia lorda Stamforda w zupełnie nowym świetle.

- Panna St. John sprawia wrażenie dość uważającej, milordzie. Zdaje się, że polubili się z chłopcem. Jest jednak trochę zbyt zuchwała. Wtyka nos w każdy kąt, gawędzi ze służbą...

Lord Stamford uniósł wzrok znad ksiąg.

- Dziękuję, pani Thornton. - Potarł skronie, by złagodzić dojmujący ból głowy, który ostry głos gospodyni je-

szcze spotęgował. - Niech jej pani powie, żeby przypro-  
wadziła chłopca wieczorem. Zjemy razem kolację i sam  
się przekonam, jak sobie radzą.

- No cóż, wasza wielmożność... - Gospodyni gniotła  
fartuch w rękach, zbierając się na odwagę. - Z tym mogą  
być pewne kłopoty.

- Kłopoty?

- Ona i chłopiec chcieli dziś wieszerać z paniczem  
Bennettem.

Rzucił jej niedowierzające spojrzenie.

- Powiedziałam jej, że to niemożliwe, bo panicz Ben-  
nett zawsze je samotnie w pokoju, w obecności jednego  
służącego do obsługi.

- Dlaczego chce jeść w towarzystwie mego brata?

- Chyba myśli, że liczniejsze grono rozproszy niektóre  
obawy chłopca.

Quenton nachmurzył się. Gospodyni przygotowała się  
na gromy, ale on wycodził przez zaciśnięte zęby:

- Doskonale. Niech pani zaprosi pannę St. John i chło-  
pca, by spożyli wieszera z mną. I niech ktoś ze służby  
przyprowdzi mego brata.

- Spożyli wieszera z wielmożnym panem...? - Pani  
Thornton była tak zaskoczona, że zupełnie zapomniała  
o dobrych manierach.

Zamiast odpowiedzi rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- Dobrze, milordzie, sama tego dopilnuję - zapewniła  
i czym prędzej wybiegła.

Młodą guwernantkę spotkał ogromny zaszczyt, gdyż

dziedzic Blackthorne od czasu swego powrotu nieodmienne spożywał kolację w samotności.

Parę minut później rozległo się stukanie do drzwi Liata.

- Panno St. John?

Olivia ujrzała ponurą twarz Edlyn.

- Pani Thornton powiada, że panienka i chłopiec mają jeść dziś kolację w towarzystwie lorda Quentona i panicza Benneita.

- Dziękuję. - Olivia podniosła się. - Chodź, Liacie. Pomogę ci się ubrać i przygotować.

- Muszę iść?

- A nie chcesz?

Potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę.

- Dlaczego?

- Boję się.

- Lorda Stamforda?

- On w ogóle ze mną nie rozmawia ani się do mnie nie uśmiecha. Tylko mi się przygląda. I chyba nie jest zadowolony - powiedział chłopiec cienkim głosem.

- Rozumiem. - Olivia uklękła, tak że ich twarze się zrównały. - Spotkałam lorda Stamforda tylko dwukrotnie, ale wobec mnie również zachowywał się dość obcesowo, więc chyba powinnam się go bać tak samo jak ty.

- A boi się pani?

Przytaknęła. Nie było sensu ukrywać prawdy.

- Chyba zawsze lękamy się tego, czego nie znamy. Słyszałam, że to wspaniały człowiek. I bardzo sprawiedliwy. - Małe kłamstewko nic tu chyba nie zaszkodzi.

W rzeczywistości doszło do niej, że lord Stamford to okrutnik i grubianin, a odzywa się do służby tylko wtedy, gdy jest to konieczne.

Plotki na jego temat powtarzano w każdym pokoju i korytarzu tej wielkiej rezydencji. Mówiono, że kradł i mordował jako pirat w służbie króla Karola, że prowadził rozpustne życie w porcie na Jamajce oraz że chłopak, Liat, jest jednym z jego licznych nieślubnych dzieci. Olivia stanowczo postanowiła nie słuchać tych opowieści. Jej jedyną troską powinno być dobro Liata.

Podniosła się na nogi.

- Przygotujmy się i chodźmy na kolację. Co ty na to?  
- Wyciągnęła rękę. Liat ujął ją i podszedł wraz z Olivią do miski z wodą.

Po chwili schodzili już do jadalni.

- Dobry wieczór, panienko. - Pembroke stał na straży przed masywnymi podwójnymi drzwiami. - Jego lordowska mość oczekuje panienki. - Otworzył drzwi, po czym odsunął się na bok, przepuszczając Olivię i Liata.

Chłopiec wsunął rękę w dłoń Olivii. Obdarzyła go promiennym uśmiechem, ale serce waliło jej jak młotem.

Ogromna jadalnia stanowiła godną oprawę właściciela - była cała obwieszona drogocennymi gobelinami i urządzona z przepychem. W jednym jej rogu znajdował się wielki kominek, na którym płonęły polana. Środek zajmował długi, drewniany stół, przy którym mogłoby zasiąść kilkadziesiąt osób. Tuzin srebrnych świeczników oblewał pokój jasnym blaskiem.

- Milordzie - przerwał ciszę pełen uwagi głos Pembroke'a.

Quenton Stamford stał przed kominkiem, wpatrując się w płomień. Odwrócił się na dźwięk głosu Pembroke'a. Ogar, leżący u jego stóp, wstał i warknął ostrzegawczo.

Tym razem Olivia mogła przyjrzeć się swemu chlebowodawcy znacznie dokładniej. Był bardzo wysoki, barczysty i wąski w talii. Elegancki żakiet nie mógł ukryć potężnych mięśni ramion i pleców. Ciemne włosy zawijały się nad kołnierzem koszuli, okalając starannie wygoloną twarz, która mogłaby uchodzić za przystojną, gdyby nie była tak surowa. W dłoni trzymał srebrny puchar. Zauważyła, że zarówno jego ręce, jak i twarz były brązowe od słońca. Bez wątplenia tę opaleniznę zawdzięczał latom spędzonym na pokładzie statku.

Ciemne oczy jak zwykle przykuły jej spojrzenie, choć wolałyby patrzeć gdzie indziej.

- Panna St. John i chłopiec - zaanonsował ich kamerdyner.

- Dziękuję, Pembroke. Powiedz pani Thornton, by nie podawała, póki nie dołączy do nas mój brat.

- Oczywiście, milordzie. - Pembroke cicho przeszedł przez pokój i zamknął drzwi.

- Napije, się pani piwa, panno St. John? A może wina?

- Nie, dziękuję. - Nie zdawała sobie sprawy, że ścisła rękę Liata tak mocno. Kiedy uniósł ku niej wzrok, natychmiast rozluźniła uścisk. Niemile dotknięta tym, że go-

spodarcz w ogóle nie zwraca uwagi na dziecko, rzekła śmiało: - Ale może Liat by się czegoś napił?

- Miałybyś na coś ochotę, chłopcze? Co zwykle pijesz?
- M... mleko, proszę pana.
- Ach, tak. Oczywiście. Powiem pani Thornton.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi i do jadalni weszła gospodyni, wyglądająca na jeszcze bardziej zmęczoną niż zazwyczaj. Czepek przekrzywił się, grożąc, że za chwilę opadnie jej na oko, a zabrudzony fartuch był okropnie wymięty.

Za nią kroczył jeden z parobków, wiejski młodzian o szerokich plecach i potężnych bicepsach. W ramionach niósł lordowskiego brata.

- Posadź panicza Bennetta tu, przy ogniu - zarządziła gospodyni.

Gdy parobek wykonał to polecenie, zaczęła dyrygować dwiema dziewczkami służebnymi.

- Nie tutaj, ty jojcząca niedojdo. Lord Stamford siedzi przy tym końcu stołu.

Olivia skrzywiła się i spojrzała na gospodarza. Ale on nie zganił ani słowem szorstkiego obejścia gospodyni, która nie przestawała musztrować służących.

- Porcelanę postaw tutaj. Kryształ tam. Nie ten. Jego lordowska mość woli wino do posiłku. Daj mi to, masz dwie lewe ręce, tylko gadać potrafisz. - Odesłała obie dziewczyny z powrotem do kuchni i osobiście dokończyła nakrywania stołu. Gdy wszystko już było gotowe, obłana potem, przyłożyła do czoła rąbek fartucha.

- Wasza lordowska mość zawiadomi mnie, kiedy zacząć podawać?

- Tak, pani Thornton. Czy może pani powiedzieć Kucharci, że chłopiec prosi o mleko?

- Mleko? Zaraz każę przynieść.

- Dziękuję, pani Thornton.

Kiedy wyszła, w pokoju zapanowała niezręczna cisza.

- Panno St. John, Liacie, poznaliście już, jak sędzę, mojego brata Bennetta?

Olivia uśmiechnęła się.

- O, tak. Mieliliśmy dziś wieczorem zjeść razem kolację w jego pokoju, ale tak jest o wiele przyjemniej, nie uważasz, Bennecie?

Młody człowiek spojrział na nią oszołomiony, jakby nie wierząc, że zwróciła się wprost do niego.

- Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy. - Wyciągnęła rękę, więc nie miał wyboru i musiał uścisnąć jej dłoń. Jego palce, blade i bezsilne, drżały.

- Dlaczego pani nie odpowiedział? - zapytał z dziecięcą bezpośredniością Liat.

- Mój brat jest niemową.

- Słyszałam przecież... - zaczęła Oliwia, ale urwała gdy pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie Quentona.

- We śnie może wydać z siebie kilka niezrozumiałych dźwięków, lecz na jawie nie potrafi mówić. Czy zechcielibyście usiąść? - Wskazał kilka krzeseł, ustawionych wokół kominka. Olivia przycupnęła na brzegu jednego z nich. Liat wspiął się na drugie, sąsiednie, i oparł się wy-

godnie na poduszkach. Quenton postanowił być uprzejmy, choćby miało go to kosztować wiele trudu. - Podobno mieszkała pani w Oksfordzie, panno St. John.

- Tak. - Niespodziewanie poczuła przypływ bólu. Jakże tęskniła za domem i rodzicami, a także przyjaciółmi, których znała od dziecka! - Mój ojciec był profesorem botaniki i zoologii. Pomagałam mu razem z matką.

- Pomagałyście ma? W jaki sposób?

Zarumieniła się.

- Och, to były drobnostki. Uczył mnie nazw roślin i zwierząt. Podczas wędrowek po polach szukałam pewnych gatunków i zbierałam je dla jego studentów.

- Rozumiem. Często chodziła pani po polach?

- W każdą sobotę i niedzielę. - Cała rozpromieniła się od tych wspomnień. - Bardzo to lubiłam. Tak sobie pomyślałam... oczywiście, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, że mogłabym zabierać Liata na spacerunki wokół Blackthorne. Może nauczyłby się nazw jakichś roślin czy zwierząt.

- Miałbyś na to ochotę? - Quenton zwrócił się do chłopca.

- Chyba... tak, proszę pana.

- Dobrze. W takim razie ma pani moją zgodę, panno St. John. Nalegam tylko, byście trzymali się z dala od skał.

- Od skał...?

Zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła gospodyni w towarzystwie dwu służących.



- Proszę, panno St. John, Liacie - powiedział Quenton i skinął na wiejskiego osiłka, który pospiesznie przeniósł Bennetta na krzesło przy stole.

Oliwię zastanowiło wzburzenie, jakie dostrzegła w oczach braci na wzmiankę o skałach. Z twarzy Quentona biła zadawniona, głucha wściekłość. We wzroku Bennetta dostrzegła dziki, zwierzęcy strach.

Znowu przypomniało się jej, co mówiła Edlyn o żonie Quentona i jego bracie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pembroke, gotów na każde skinienie, stanął za krzesłem lorda Stamforda, który zasiadł u szczytu stołu. Benneita posadzono po jego lewej stronie, Olivia zajęła miejsce po prawej, Liat usadowił się tuż przy niej. Gospodyni krzątała się wokół stołu, dyrygując służącymi.

Nalano wino do trzech pucharów, choć tylko Quenton spróbował ze swojego. Na srebrnej tacy podano biszkopty tak delikatne, że rozplływały się w ustach. Druga służąca obchodziła wszystkich z misą bitej śmietany i konfitur. Potem na stół wjechał półmisek młodych kartofli w sosie i drugi, pełen warzyw w klarowanym rosole.

Z każdego dania Olivia brała sobie trochę na talerz i pomagała nałożyć porcję Liatowi.

Gdy służąca podeszła do szczytu stołu z dużym półmiskiem, Quenton spojrzał na nią, a potem na gospodynię.

- Co to jest, pani Thornton?
- Baranina, milordzie.
- Czy przypominała pani Kucharci, że mój brat nie lubi baraniny? Specjalnie panią uprzedzałem, żeby podać wołowinę albo paszteciki z cynaderkami.
- Tak, oczywiście, ale Kucharcia powiada, że dziadek

waszej miłości wolał baraninę. Tak lubił to mięso, że kazał je podawać co wieczór.

- Niech więc ją poda dziadkowi. I proszę też przekazać, że jeśli jutro znowu przyrządzi baraninę, może znaleźć się w grobie razem z dziadkiem.

- Dobrze, wasza lordowska mość. Sama to powiem tej wsiowej jędzy - odparła gospodyni, po czym cały ciężar swego gniewu i zażenowania zrzuciła na Bogu ducha winną służącą: - Zabierz to paskudztwo do pomywalni i rzuć zwierzyńie. Tylko do tego się nadaje.

Wstrząśnięta Olivia spojrzała na gospodynię.

- Chyba nie mówi pani tego poważnie. Nie można oddawać dobrego mięsa zwierzętom.

Quenton rzucił jej wściekłe spojrzenie.

- A niby dlaczego nie?

- Bo służba żyje głównie na skórkach chleba i kaszy. - Słowa te wymknęły się jej, zanim zdążyła się powstrzymać. Zbyt późno przypomniała sobie, kto zasiał to ziarno. Służąca Edlyn. - Taki posiłek uznaliby pewnie za niebiańską ucztę.

Gospodyni zastygła z otwartymi ustami. Przez całe życie nie słyszała, by ktoś ośmielił się w ten sposób odezwać do jego lordowskiej mości. Spojrzała na lorda Quentona, którego ciemne oczy wpatrywały się w młodą guwernantkę z taką złością, że wszystkim w pokoju zrobiło się nie-swojo.

- Proponuje pani, żeby moją baraninę oddać służbie?

- Pańska, wasza lordowska mość? Przed chwilą po-

wiedział pan, że to baranina Kucharci. Czyż nie dał pan do zrozumienia, że jeśli jeszcze raz odważy się przyrządzić baranie mięso, będzie ją to kosztowało głowę?

Pembroke stał za swoim chlebodawcą, sztywny jak kółko. Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale z wielkim zainteresowaniem obserwował tę potyczkę.

- Może to kosztować głowę Kucharci albo... kogoś innego - mruknął Quenton, - Panno St, John, to moje jeżdzenie, i ja decyduję, kto je będzie spożywał, a kto nie.  
- Uderzył pięścią w stół. - Pani Thornton!

Gospodyni podeszła bliżej, kuląc się ze strachu.

- Czy to prawda, że służba żyje o chlebie i kaszy?

- Nie, wasza lordowska mość. To znaczy... rzadko. Tylko wtedy, kiedy ktoś ze służby dokuczy Kucharci. Przynajmniej trzy razy w tygodniu jedzą mięso i zupę. A czasem nawet częściej.

Zacisnął usta.

- Więc są karmieni lepiej niż w jakimkolwiek innym domu, czyż nie tak?

- O, tak, wasza miłość. Cała wioska chciałaby służyć w Blackthorne. Tak jest od czasów pańskiego pradziadka.

- Proszę to zabrać do pomieszczeń służby. - Choć Quenton zwracał się do pani Thornton, spojrzenie utkwiał w zuchwałej guwernantce. - I proszę im życzyć ode mnie smacznego.

Pani Thornton oniemiała, po chwili jednak ochłonęła i dała kuksańca dziewczce służebnej.

- Rusz no się! Słyszałaś, co powiedział lord Stamford.

Powiedz tym niemrawym, gapiowatym pajacom, że mają być wdzięczni wielmożnemu panu za jego hojność. Może wasza miłość i panicz Bennett mieliby ochotę na drób?

Quenton jeszcze na kilka sekund utkwiał w Olivii groźne spojrzenie, a potem nałożył sobie udko i dał znak podkuchennej, by obsłużyła resztę biesiadników.

Olivia zerknęła na Bennetta, który dotąd niczego nawet nie skosztował.

- Bennecie, czy przydałaby się panu pomoc?

- Czy nie ma pani najmniejszego względu na jego uczucia, panno St. John? - wycedził Quenton przez zaciśnięte zęby. - Uprzedzałem przecież, że mój brat jest niemową.

- Istotnie, tak pan powiedział. Ale przecież słyszy, prawda? - Ponownie zwróciła się do Bennetta: - Czy potrzebuje pan pomocy?

Młodzieniec spojrzał na nią, lekko skinął głową i odwrócił wzrok.

- Sprowadzę Minervę - nerwowo powiedziała gospodyni. - To młoda dziewczyna z wioski. Umie sobie z nim poradzić.

Parę minut później powróciła w towarzystwie rudowłosej służącej, którą Olivia widziała przy łożku Bennetta. Dziewczyna usiadła obok niego.

- Stracił pan apetyt? - zapytała cicho.

Skinął głową.

- Pewnie Kucharca znowu przyrzadziła baraninę. Wiem, jak jej pan nie znosi, ale tu mamy same pyszności.

Pomogę panu. - Włożyła mu widelec do ręki i skierowała w stronę talerza. - Trzeba chociaż pokosztować wszystkiego, co jest na stole.

Z łagodnością młodej matki podawała mu potrawy i chwaliła go, aż w końcu zjadł prawie wszystko.

- Proponuję, żebyś zrobił to samo, mój drogi - szepnęła Olivia Liatowi.

- Dobrze, proszę pani - odparł, ale nadal żuł mechanicznie ze wzrokiem wbitym w stół.

Przez cały ten czas lord Stamford jadł w milczeniu, nie odzywając się ani do brata, ani do guwernantki. Nie zaszczycił też nawet jednym słowem jej małego podopiecznego.

Kiedy posiłek dobiegł końca, gospodyni, chcąc naprawić uchybienie, jakim było podanie baraniny, kazała młodej służącej podejść do stołu z tacą ciasteczek.

Quenton odprawił ją i wychylił kielich wina do dna.

Gdy służąca podeszła do Bennetta, oczy mu rozbłysły.

- Chciałby pan jedno czy dwa? - spytała Minerva. Nie czekając na odpowiedź, wzięła z tacy dwa ciasteczka i położyła je na talerzu młodego człowieka.

- Paniczu? - Służąca zatrzymała się obok krzesła Liata. Chłopiec wziął w każdą rękę po jednym ciastku.

- Należy brać tylko jedno - wyszeptwała Olivia.

- Bennett wziął dwa.

- Bennett może wziąć dwa, ale ty tylko jedno.

- A jeśli będę jeszcze głodny, jak je zjem?

- Wtedy zastanowimy się nad drugim.

Liat posłusznie odłożył jedno ciastko na tacę.

- A więc, chłopcze - Quenton rozparł się na krześle, czekając, aż służąca zabierze jego nakrycie - czego panna St. John zdążyła cię nauczyć do tej pory?

Gdy Liat usłyszał pytanie zadane stanowczym głosem, pośpiesznie przeżuł i przełknął kawałek ciastka, a resztę odłożył i wbił wzrok w stół.

- Nauczyła mnie... - zastanawiał się przez chwilę - ...nie bać się potworów.

- Potworów? - Zapadła przeciągająca się chwila ciszy.  
- To pożyteczna lekcja. - Olivia wychwyciła sarkazm w głosie Quentona. - I czego jeszcze cię nauczyła?

Liat myślał długo, po czym uniósł głowę i z uśmiechem spojrział lordowi Stamfordowi prosto w oczy.

- Nauczyła mnie, żeby brać tylko jedno ciastko naraz.

W oczach Quentona błysnęła iskierka rozbawienia, ale natychmiast zgasła.

- Tyle *wiedzy*, panno St. John. - Skłonił przed nią głowę z wyraźnym szyderstwem. - Przekonamy się, co będzie wiedział za tydzień. Nie mogę się już doczekać.

Była to jawna złośliwość, ale Olivia nie dała się sprowokować do następnego wybuchu. Wciąż jeszcze czuła palący wstyd, że tak łatwo uległa emocjom. Jej kochani, łagodni rodzice zrozumieliby, że musiała ująć się za głodnymi, ale byłiby głęboko zażenowani jej brakiem manier.

- Czy chłopcu czegoś nie potrzeba, panno St. John?

Chciała jeszcze raz przypomnieć, że chłopiec ma imię, ale przestrzegła samą siebie, że jedna scena najzupełniej

wystarczy jak na pierwszą kolację w towarzystwie chle-  
bodawcy, pana na Blackthorne.

- Biorąc pod uwagę naszą angielską pogodę, Liat ma chyba za mało ciepłych ubrań - odparła. - Zwłaszcza że będziemy razem chodzić na spacer po okolicy.

- Pembroke zawiezie jutro panią i chłopca do miasteczka. Proszę mu kupić wszystko, czego potrzebuje.

- Dziękuję.

W tym momencie Liat zsunął się z krzesła i zaczął obchodzić stół.

Quenton rzucił mu spojrzenie pełne głębokiej dezaprobaty.

- Nie pytałeś, czy możesz odejść.

- Ależ nie, proszę pana, wcale nie wychodzę.

- Więc dokąd idziesz?

Liat zatrzymał się koło Bennetta.

- Ja... też nie lubię za dużo mówić, ale jeśli chcesz, będę mówił za ciebie.

Bennett wyglądał, jakby w niego piorun strzelił. Służąca, Minerva, przykryła usta ręką. Z pociemniałych od furii oczu Quentona biły gromy.

- Natychmiast wracaj na miejsce, chłopcze. A po kolacji poproszę twoją guwernantkę na krótką...

Zanim zdążył skończyć, Bennett wyciągnął rękę do Liata, kiwnął głową i uśmiechnął się.

Całe towarzystwo oniemiało ze zdumienia. Po chwili Quenton odsunął się od stołu i wstał.

- Pani Thornton, niech stajenny zaniesie mojego brata



do pokoju. - Skinął głową w kierunku Olivii. - Wybacz pani, mam jeszcze kilka ksiąg do przejrzenia.

Gdy się zegnał, Pembroke ustawił na tacy karafkę whisky i pudełko cygar, po czym wyszedł w ślad za swoim panem. Wszyscy wiedzieli, że lord pracuje do późna w nocy nad księgami rachunkowymi.

Olivia patrzyła, jak stajenny niesie Bennetta po schodach do sypialni, a za nim idzie Minerva. Było jej przykro, że lord Quenton nie próbował porozmawiać z bratem.

Wzięła Liata za rękę i wyszła w ślad za resztą.

- Byłam z ciebie bardzo dumna. Zachowałeś się naprawdę wspaniale.

- Chciałem mu tylko powiedzieć, że nie jest potworem, ale normalnym człowiekiem, który nie może mówić. Czasami ja też nie lubię mówić. Zwłaszcza gdy jest mi smutno.

- Rozumiem cię. Chyba wszyscy od czasu do czasu wpadamy w taki nastrój. Jak myślisz - spytała, gdy doszli do swoich pokojów - chyba dziś wieczór nie było tak źle? Lord Stamford w końcu spojrział na ciebie. Nawet z tobą rozmawiał.

Chłopiec skinął głową.

- Tak, proszę pani. Ale to może być nawet jeszcze gorsze.

- Dlaczego?

- Teraz muszę się martwić, jak odpowiadać na jego pytania.

Olivia poczuła więź z tym miłym i nad wiek rezydentnym chłopcem. Jej też przyszło do głowy, że czasem człowiek jest w dużo lepszym położeniu, gdy jego pan i władca nie zwraca na niego uwagi. W przyszłości będzie musiała starać się zachować swoje myśli dla siebie. Powziąwszy to postanowienie, wyprawiła Liata spać i ruszyła na dół, by zrobić sobie filiżankę herbaty dla ukojenia nerwów.

Korytarz był słabo oświetlony. Ze świec skapywały strużki wosku. Słyszając głucho echo swych kroków, Olivia przystanąła. Może to nie echo, może ktoś za nią idzie? Odwróciła się, lecz nikogo nie zauważyła. Po chwili znowu usłyszała szelest i teraz już nie musiała się odwracać, by mieć pewność, że rzeczywiście ktoś idzie jej śladem. Ścisnęła ją w żołądku i musiała skupić całą siłę woli, żeby nie zacząć biec.

- Pembroke? Pani Thornton? - zawołała cicho, wstydząc się lekkiego drżenia w głosie. Gdy przystanąła i odwróciła się, była pewna, że ujrzała czmychający cień.

Nie, to jakaś bzdura, śmieszne dziecinne zwidy. Po co ktokolwiek miałby za nią iść? A jednak była przekonana, że ktoś ją śledzi.

Zapomniała o herbacie. Teraz pragnęła już tylko wrócić do swoich pokojów i zamknąć się od wewnątrz. Biegła zadyszana, rzucając spojrzenia przez ramię. Gdy wpadła za róg, zderzyła się z czymś potężnym ciałem. Chwyciły ją mocne ramiona. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Starła się jedynie utrzymać na nogach, ale gdy uniosła

wzrok, omal nie zemdląca. Zobaczyła przed sobą nachmurzoną twarz lorda Stamforda.

- Co się stało? - Wyczuł, że cała drży. Instynktownie objął ją jeszcze mocniej i przesunął ręką po jej plecach, aby ją uspokoić, dodać otuchy.

- Nie mogę... - Wciągnęła powietrze i za wszelką cenę starała się opanować. Kurczowo objęła Quentona w pasie i stała tak, czerpiąc z jego bliskości siłę i spokój. - Jeszcze chwilkę, wasza lordowska mość, zaraz dojdę do siebie.

- Ciii. - Bezwiednie złagodził głos. - Nigdzie nam się nie spieszy. - Uścisk jej ramion poruszył w nim jakąś strunę, lecz nie było to niemiłe doznanie. W istocie jej dotyk sprawił mu wielką przyjemność. Była taka drobna, taka krucha. Tak bardzo kobieca.

- Myślałam... Usłyszałam z tyłu jakieś kroki.

- To bardzo prawdopodobne. - Wdychał zapach jej dziewczęcego ciała. Włosy Olivii pachniały deszczem i jeszcze czymś, co mgliście pamiętał z dzieciństwa. Zapomniał o nużących księgach rachunkowych. W tej chwili liczyła się tylko kobieta, którą trzymał w ramionach. - Pewnie któryś ze służących.

Teraz, gdy ją obejmował, jej lęki pierzchły. Jakże mogła być tak niemądra? Czego może się obawiać w Blackthorne? Kiedy jej obawy się rozproszyły, a oddech stał się normalny, uświadomiła sobie jeszcze coś: ręce Stamforda nie przestały głaskać jej pleców i pieściły je w sposób niewątpliwie prowokujący. Gdy uniosła wzrok, ujrzała, że

Quenton wpatruje się w nią z napięciem i ogarnął ją nowy, zupełnie odmienny niepokój.

- Wasza lordowska mość...

- Już wszystko dobrze, panno St. John. Nic się nie stało. - Zanim zdążył się zastanowić, co robi, przycisnął wargi do jej ust. Były tak słodkie, tak świeże, tak niewinne!

Dotyk ust lorda Stamforda był zupełnie inny od wstępnego pocałunku Wyatta. Choć lord sprawiał wrażenie groźnego człowieka, teraz czuła się przy nim bezpiecznie. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Pocałunek się przedłużał, a ona poddała się czarowi tej chwili. Kiedy objął ją mocniej, zorientowała się, że jego serce wali jak oszalałe. Gdy wciąż nie odrywał ust od jej warg, straciła zdolność myślenia.

Coś zapłonęło w jego oczach, ale natychmiast je przymknął.

- Niech pani wraca do siebie, panno St. John - powiedział tonem bardziej szorstkim, niż zamierzał.

- Tak. Oczywiście - wykrztusiła z trudem.

Kiedy się odwróciła, położył rękę na jej ramieniu.

- Szczerze radzę zaryglować drzwi.

Unikała jego wzroku.

- Będzie pani spokojniejsza - dodał.

Skinęła głową, po czym spieszenie odeszła.

Zauważył, że trzęsą mu się ręce. Zaciśnął je w pięści i szybko odmaszerował. Prawdę mówiąc, wcale nie kazał jej ryglować drzwi z powodu jakichś podejrzanych kroków na korytarzu. Wiedział, że nie może ufać samemu so-

bie. Nie dziś w nocy, gdy wszystkie wspomnienia ożyły na nowo. Olivia jest zbyt słodka, zbyt niewinna.

Quenton zatrzymał się na zboczu pagórka, nie zwracając uwagi na zimne podmuchy. Stał pewnie, rozstawiwszy nogi, w pozie, jaką zawsze przybierał na pokładzie statku. Wiatr podnosił sierść ogara, leżącego u jego stóp.

Morze zawsze było jego ucieczką. Na morzu traktowano go z szacunkiem, jednak nie zawdzięczał tego swemu nazwisku. Zdobył respekt swoich ludzi szpadą i pięścią, a czasem szybko wymierzaną sprawiedliwością. Jego życie na statku było twarde i ciężkie, ale przynajmniej mógł swobodnie przeklinać burze i wybuchać gniewem z powodu barbarzyństwa, które go zewsząd otaczało.

Przez krótki okres, gdy znajdował ujście dla swego gniewu i wściekłości w wojaczce, łudził się, że zdołał wymazać z pamięci przeszłość. Po powrocie przekonał się, że zaledwie przytłumił ból i furję. A teraz emocje odżyły z całą siłą i gotują się w nim, grożąc w każdej chwili wybuchem.

Spojrzał na pobliskie groby.

Może na rodzice Stamfordów rzeczywiście ciąży jakieś przekleństwo? Na Jamajce staruszka o pergaminowej skórze i oczach kosa przestrzegła go, by miał się na baczności. „Jest ktoś, kto pożąda tego, co twoje. Nie tylko majątku - uprzedziła - lecz wszystkiego, co jest ci drogie”. Zdobył się wówczas na gorzki śmiech. „Kiedyś mogło to

być prawdą. Teraz niczego w życiu nie cenię, z wyjątkiem pokładu pod nogami i bezksiężycowej nocy, podczas której robię, co do mnie należy, w służbie jego królewskiej mości" - rzucił niedbale, wywołując tym gniew staruszki. „Zamknąłeś swoje serce" - odparła. „Myślisz, że nic go nie może złamać? Mylisz się, młody przyjacielu. Chcesz oszukać samego siebie. Pewnego dnia wyjdiesz z ciemności. Ale tylko ty sam możesz znaleźć ścieżkę ku światłu". „Nie, stara kobieto. To ty się mylisz. Rzecz w tym, że o wiele bardziej wolę ciemność" - stwierdził i rzucił jej monetę równie niedbale, jak przedtem skwitował jej przepowiednię.

Słowa starej kobiety zapadły mu jednak głęboko w pamięć. Wpatrzył się w płytę nagrobkową nad mogiłą żony. W tych pierwszych, szalonych miesiącach był z nią taki szczęśliwy. Ich miłość była tym pełniejsza, że dziadek i jego młodszy brat uwielbiali ją nie mniej niż on.

A potem wszystko legło w gruzach. Z początku nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Później, gdy Antonia coraz bardziej się od niego oddalała, dręczona poczuciem winy, nie mógł już się łudzić. Żona zdradzała go. Plotki i szept o tajemnym kochanku krążyły z ust do ust. Podejrzewano nawet Bennetta, choć Quenton stanowczo zaprzeczał podobnym insynuacjom.

Nawet teraz, patrząc na Bennetta, nie czuł gniewu czy zazdrości. Palił go wstyd. Wstyd, że to brat zajmował jego miejsce. I litość, gdy widział, co zostało z młodego, nie-

gdyś przystojnego mężczyzny. Widok jego cierpienia, jego męki, rozdzierał mu serce.

Ich szczęśliwa rodzina rozpadła się bezpowrotnie, zdruzgotana smutkiem, skandalem i rozpaczą. Mimo przepowiedni wróżki nie widział drogi powrotu do światła.

Spojrzał na wrzosowiska. Jego uwagę zwróciły dwie postaci. Nawet z tej odległości widział lśniące, granatowoczarne włosy chłopca i rozwiane wiatrem loki młodej guwernantki.

Jeśli zaraz stąd pójdzie, nie spotka się z nimi. To była jego pierwsza myśl. Konsekwentnie unikał Olivii St. John od tamtej nocy, gdy ją pocałował. Coś kazało mu zostać na miejscu. Może był ciekaw, dlaczego chłopiec gestykuluje tak gwałtownie, pokazując coś w wysokiej trawie. Widział, jak młoda kobieta klęka i prowadzi rękę malca do miejsca, w którym to coś się ukryło.

Wiatr niósł głosy - chłopca miękki, dźwięczny, jej niski, łagodny i spokojny.

- To pisklę. Widzisz, jego matka krąży w pobliżu. Pewnie spadło na ziemię, gdy uczyła je latać.

- Mogę je zabrać?

- O, nie, Liacie, nie należy tego robić. Ono potrzebuje matki. Tylko ona potrafi właściwie nakarmić i nauczyć wszystkich rzeczy, potrzebnych mu do samodzielnego życia.

- A mogę je potrzymać?

- Nie, kochanie. Jego biedna matka szaleje ze zmartwienia. Posłuchaj, jak piszczy. Aż się serce kraje.

Chłopiec spojrział na ptaka, który *zataczał* kółka nad ich głowami.

- Zostawmy je teraz, żeby jego matka mogła usiąść obok niego i przekonać się, że nie stała mu się żadna krzywda. Chodź. Ścigajmy się do tej skały, dobrze?

Zgarnęła spódnicę i puściła się pędem.

Liat pobiegł za nią.

Olivia zwolniła kroku, by jej młody podopieczny zdołał ją wyprzedzić. Dotknął ręką kamienia i odwrócił się ku niej triumfalnie.

- Prześcignąłem panią.

- Rzeczywiście.

Policzki miała zaróżowione od wysiłku, oczy jej się śmiały. Zauważyła Quentona dopiero wtedy, gdy się poruszył. Leżący obok niego ogar zastrzygł uszami.

- O, lordzie Stamford, proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałam, że pan tu jest.

- Nic nie szkodzi, panno St. John.

Wiatr porwał kosmyk jej włosów. Nie były brązowe, jak mu się z początku wydawało, lecz kasztanowe. Poczuł tak silną chęć, by ich dotknąć, wsunąć w nie palce, że aż musiał zacisnąć ręce w pięści.

- Widzę, że znalazła pani dla chłopca odpowiednie ubranie. - Z aprobatą spojrział na solidne buty, ciepłe spodnie i miękki sweter. - Jak ci się podoba na spacerze, chłopcze?

- Bardzo, proszę pana. - Jego oczy, błyszczące przed chwilą nie skrywaną radością, teraz spoglądały ku ziemi, unikając wzroku lorda Stamforda.



- Słyszałem, jak rozmawialiście o pisklęciu. Mógłbyś mi je pokazać?

- Chyba tak - odparł Liat, wzruszając ramionami.

Quenton poszedł za chłopcem, znajdując przewrotną przyjemność w tym, że Olivia nie ma wyboru i musi iść razem z nimi. Gdy zbliżyli się do tamtego miejsca, ptasia mama znowu poderwała się do lotu, skrzecząc i popiskując z niepokojem. Pisklę leżało w trawie, trzepocząc skrzydełkami. Na komendę Quentona ogar pozostał parę kroków z tyłu, nieruchomy niczym posąg.

- Co się dzieje z pisklęciem, które traci matkę? - zapytał Liat.

- Ktoś inny musi się nim opiekować. - Quenton ukląkł w trawie obok chłopca. - Ale bez względu na to, jak bardzo się o nie dba, nigdy nie zastąpi się mu matki.

- Ja wiedziałbym, jak się nim zająć.

- Naprawdę?

- Brałbym je ze sobą wszędzie. Mówiłbym do niego i kochałbym je. A gdyby kwilił za matką, śpiewałbym tak, jak mu śpiewa matka - powiedział Liat z powagą i przejęciem.

Quenton oparł się na obcasach i przyjrzał chłopcu uważnie. Miał poczucie, że malec mówi już nie tylko o pisklęciu.

Podniósł się i zerknął na ptasią mamę, krążącą nieopodal.

- Zabierajmy się stąd, bo inaczej mama pisklęcia zaatakuje nas swoim ostrym dziobem.

Gdy przemierzali wrzosowisko, zapytał chłopca:

- Czy nauczyłeś się nazw jakichś roślin lub zwierząt?  
Liat skinął głową.

- Panna St. John pokazała mi Agri... Agri...

- *Agrimonia eupatoria* - podpowiedziała.

- To rzepik - wyjaśnił Quenton. - Grecy zwali go *philanithropos*, bo nasiona czepiały się ubrań przechodniów.

Olivia była zdumiona jego przyrodniczą wiedzą.

- Słyszał pan o rzepiku?

- Co nieco. Mój dziadek uważał go za doskonałe lekarstwo na bóle pleców.

- Pański dziadek był bardzo mądry - Olivia uśmiechnęła się i zwróciła do swego wychowanka: - Widzisz, Liacie, takie zioła jak rzepik leczą wiele schorzeń. Pomagają w gojeniu się ran, a nawet łagodzą bóle wątroby.

- Lepsze efekty dałoby odstawienie alkoholu - rzekł sucho Quenton.

Potrząsnęła głową.

- Tata zwykł mawiać, że kieliszek czegoś mocniejszego pod koniec dnia pobudza krążenie, oczyszcza umysł i koi duszę.

- Chyba polubilibyśmy się z pani ojcem.

- Nie miałyby pan wyboru. Każdy, kto znał tatę, przepadał za nim,

- To znaczy, że miała pani wielkie szczęście, panno St. John - powiedział, patrząc z zachwytem na jej promienną twarz i potargane przez wiatr loki. Wsunął jej niesforny kosmyk za ucho.

Ten poufały gest zupełnie zbił Olivię z tropu. Poczwała, że się rumieni, i wiedziała, że Quenton to zauważył. Znowu przypomniawszy jej się pocałunek w mrocznym korytarzu. Pocałunek, który kosztował ją nie przespaną noc.

- Panna St. John powiedziała mi, że jej rodzice są w niebie, razem z moją mamą - z wielką powagą oświadczył Liat. - Panna St. John mówi, że tam po śmierci idą dusze sprawiedliwych.

- Doprawdy? - Głos Quentona stał się nagle szorstki. Lekko skłonił głową Olivii i chłopcu. - Muszę się już pożegnać. Pamiętajcie, żeby nie zbliżać się do skał - ostrzegł i odszedł, zostawiając ich oniemiałych ze zdumienia.

Co spowodowało tę gwałtowną zmianę nastroju? - zastanawiała się Olivia. Czyżby nagle odżyła pamięć o matce Liata? Może dręczyło go poczucie winy?

Ogarnął ją nagły chłód.

- Chodźmy, Liacie. Wrócimy i poprosimy Kucharcę o gorącą herbatę.

W drodze powrotnej do Blackthorne czyniła sobie wyrzuty z powodu niemądrego zachowania w obecności lorda Stamforda. Nie powinna sobie nim zaprzętać głowy, to człowiek zimny i bez serca. Gdy jednak patrzyła mu w oczy, widziała w nich nie chłód, lecz cierpienie, a także bezbrzeżny smutek. Smutek, który i w niej poruszał jakąś bolesną strunę. Coś ją do niego przyciągało, i ta świadomość bardzo ją niepokoiła.

Znowu zadrżała i odsunęła wszelkie myśli o lordzie

Quentonie Stamfordzie. Niewart jest jej litości czy troski.  
Musi skupić całą uwagę wyłącznie na Liacie.

- Chodź. - Uniosła spódnicę i przyspieszyła kroku. -  
Czy wiesz, że żabki kumkają po łacinie *cum cum cum*  
i *qua qua qua*?

Śmiejąc się głośno, popędzili przez wrzosowiska.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Jak się masz, Minervo? - Olivia przystanęła na schodach.

- Panna St. John... - Minerva, z rozwianymi rudymi lokami, dygnęła, a potem, skłoniła się głęboko. - Idę po herbatę dla panicza Bennetta. Przykrzy mu się, gdy tak całymi dniami przesiaduje sam w pokoju.

- Właśnie wychodzimy z Liatem do ogrodu. Może Bennett chciałby pójść z nami?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Panicz Bennett nie wychodził z domu od dawna, proszę panienki.

- Czy jest tak słabego zdrowia, że nie może odetchnąć świeżym powietrzem?

- Chyba nie. Po prostu... - Minerva urwała, przygryzła wargę i rozejrzała się, nim dokończyła zdanie: - Najmniejsza zmiana trybu dnia zupełnie wytrąca go z równowagi. Chyba tylko w swoim pokoju czuje się bezpiecznie.

- Bezpiecznie. Rozumiem. - Olivia zerknęła na zamknięte drzwi i powzięła decyzję. - Tata zawsze mi powtarzał, że kto nie ryzykuje, niczego nie zyskuje. Propo-

nuję, żeby zaprosić Bennetta na spacer i niech on sam zdecyduje, czy miałby na to ochotę.

Zanim młoda służąca zdążyła zagrozić jej drogę, zapukała, po czym weszła do środka. Bennett siedział przy oknie, skulony na krześle, okryty szalem.

- Dzień dobry, Bennecie. Prawda, jaki ładny dzień?

Przez długą chwilę po prostu się w nią wpatrywał, jakby nie przywykł, by ktoś się bezpośrednio do niego zwracał. Potem skinął głową.

- Idziemy z Liatem na spacer po ogrodzie - powiedziała. - Może poszedłbyś z nami i Minervą?

Rudowłosa służąca wpadła tuż za nią.

- Paniczu Bennecie, usiłowałam wytłumaczyć...

Olivia przerwała jej z łagodnym uśmiechem:

- Któryś ze stajennych by cię zniósł i posadził na ławce. Mamy takie piękne, słoneczne popołudnie. Mógłbyś siedzieć i podziwiać przyrodę.

Wpatrywał się w nią, nie okazując żadnych uczuć, i już była gotowa przyznać się do porażki, gdy nieśmiało skinął głową.

- Poszedłbyś z nami?

Ponownie skinął głową.

- Wspaniale. - Olivia odwróciła się do Minery. - Może sprowadzisz stajennego, a ja wyjdę z Liatem i poszukam odpowiedniej ławki w słońcu.

- Tak, panienko - odparła służąca, niespokojnie spojrzała na Bennetta i pośpiesznie wyszła, pełna obaw, co na to wszystko powie gospodyni.

- Zamierzam objechać całe włości i osobiście porozmawiać z dzierżawcami, Pembroke. - Quenton przemierzał gabinet dziadka z rękami założonymi do tyłu.

- Tak, milordzie.

- Sytuacja jest doprawdy zagadkowa - mruknął Quenton i zatrzymał się z chmurną miną. - Jak zdążyłem zorientować się do tej pory, plony są obfite, a stada się powiększają. A jednak dochody maleją.

- Szanowny lord Stamford w ostatnich latach szwankował na zdrowiu, więc może liczby są błędne.

- Tak też początkowo sądziłem, ale dotychczas nie znalazłem żadnej pomyłki w księgach. - Znowu zaczął spacerować. - Nieważne. Dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. W ostateczności sam pojedę do Londynu i porozmawiam z prawnikami o... - Podniósł wzrok, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Weszła gospodyni.

- Tak, pani Thornton?

- Chodzi o pańskiego brata, wasza lordowska mość.

Quenton zbladł.

- Coś mu dolega?

- Nie, wasza miłość, ale zamierza wyjść na dwór.

- Sam podjął taką decyzję?

- Nie, wasza miłość. Panna St. John zaprosiła panicza na spacer do ogrodu i panicz Bennett się przy tym uparł. O, już wyszli, wasza lordowska mość widzi?

Quenton podszedł do okna i ujrzał dziwny pochód. Potężny stajenny niósł na rękach Benneita, za nimi szła słu-

żąca Minerva ze stertą koców i poduszek, a na końcu jeszcze jeden stajenny, dźwigający ciężki fotel.

- Nie widzę w takim spacerze nic złego, pani Thornton.

- Pański brat nie opuszczał swego pokoju od... - Urwała, szukając wsparcia u Pembroke'a. - Trzeba się nim opiekować jak dzieckiem.

- Ty też tak uważasz? - spytał Quenton Pembroke'a.

Kamerdyner ze smutkiem pokręcił głową.

- Dziadek waszej miłości zawsze bardzo się obawiał, że panicz Bennett może się przeziębic. W jego stanie byłoby to bardzo niebezpieczne. Jeśli wasza miłość sobie życzy, pani Thornton każe służbie natychmiast wnieść pani-cza do środka.

- Nie trzeba. - Quenton uspokajająco dotknął jego ramienia, po czym pospiesznie przeszedł przez pokój. - Sami to załatwimy, Pembroke.

Gdy wyszli i na drugim końcu ogrodu ujrzał Olivie zmierzającą do Bennetta i reszty, nachmurzył się. Ta dziewczyna wciąż wtyka nos w nie swoje sprawy. Najwyższy czas jej przypomnieć, że przede wszystkim ma się opiekować chłopcem i dbać o jego wykształcenie.

- Tak się cieszę, że zgodziłeś się dołączyć do nas, Ben-netcie - powiedziała Olivia i przystanęła obok jego fotela. - Dźwięki i zapachy ogrodu działają bardzo kojąco, prawda, Minervo?

- Tak, panienko. - Na twarzy służącej, wbrew jej słowom, malował się niepokój, nie była bowiem wcale pewna, czy postąpiła słusznie.



Obie kobiety podniosły wzrok, gdy padł na nie długi cień.

- Proszę, proszę, panno St. John - wycedził Quenton przez zęby. - Przyprawiła pani nieszczęsną panią Thornton o palpitacje.

- I czemuż to?

- Ponieważ wyprowadziła tu pani mego brata bez jej zezwolenia.

- Zapytałam Bennetta, a on powiedział, że chętnie do nas dołączy.

- A jakże on to zrobił?

- Tak jak każdy. - Odwróciła się do młodego człowieka, który kulił się pod kocami, jakby panował trzaskający mróz. - Bennecie, czy chcesz tu zostać?

Spojrzał na brata, potem na młodą kobietę i wreszcie z wahaniem skinął głową.

Olivia popatrzyła z uśmiechem na Quentona, lecz on, zamiast przyznać, że niesłusznie ocenił sytuację, nasrożył się jeszcze bardziej. Powiódł spojrzeniem dookoła.

- A gdzie jest chłopiec, który miał się znajdować pod pani czujną opieką?

- Liat będzie tu za chwilę. Skacze po ścieżce przez skakankę. Zachęcam go, by skakał, biegał i zażywał jak najwięcej ruchu na świeżym powietrzu.

- Doprawdy? I po cóż to?

- Gdy go zobaczyłam po raz pierwszy, uznałam, że jest zbyt błądy i niemrawy. Dzieci powinny jak najwięcej ha-

sać na dworze i od czasu do czasu pokrzyczeć, żeby wyrabiać sobie płuca. Zgodzisz się ze mną, Bennecie?

Młody człowiek był najwyraźniej zdumiony ponownym włączeniem go do rozmowy, ale uśmiechnął się lekko i kiwnął głową.

- Widzi wasza lordowska mość? - Olivia uśmiechnęła się jeszcze promienniej. - Jaka szkoda, że nasze angielskie lata są takie krótkie. Musimy je w pełni wykorzystać. Staram się wychodzić z Liatem na dwór jak najczęściej, od późnego ranka do wczesnego wieczora. Zauważyłam, że lepiej sypia. A już na pewno polepszył mu się apetyt. - Zwróciła się do Bennetta. - Ty też możesz spróbować tej samej kuracji. Zdumiewające, ile dobrego może zdziałać parę godzin na świeżym powietrzu.

Quenton czuł, że ogarnia go pasja.

- Mój dziadek uważał, że na świeżym powietrzu można się też przeziębic, panno St. John.

- Moi rodzice nigdy nie uznawali tej teorii, lordzie Stamford. Bardzo pilnowali, bym dużo czasu spędzała na dworze. Mama opowiadała, że często drzemałam w cieniu drzewa, podczas gdy oni rysowali i studiowali okoliczne rośliny. Zabierali mnie na wspinaczki, gdy już byłam na tyle duża, by za nimi podreptać. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek się przeziębila.

- Rzeczywiście ma paru szczęście, panno St. John. Widać natura obdarzyła panią żelaznym zdrowiem. - Quenton nie rozchmurzył się ani odrobinę. - Zdrowie mojego brata jest słabe.

- Właśnie o to mi idzie. - Przesłała mu urzekający uśmiech. - Bennett wzmocni się na powietrzu, a poza tym spędzi przyjemne popołudnie w ogrodzie.

- Może się...

- Proszę pani, proszę pani! - Pełne podniecenia krzyki Liata sprawiły, że Olivia popędziła przez ogród, a za nią puścili się biegiem Quenton i Pembroke.

- Co się stało? - krzyknęła Olivia, gdy ujrzała, że chłopiec kłęczy na porośniętej trawą ścieżce.

- Proszę spojrzeć. Motyl. - Wskazał na krzewy szkarłatnych róż. Wśród pąków widać było delikatne, blade skrzydełka o niezwykłych odcieniach fosforyzującego różu i lawendy.

- Wielki z ciebie szczęściarz, Liacie. - Olivia uklękła obok niego. - To *Lycaena helle*, jeden z najpiękniejszych motyli.

- Naprawdę, proszę pani?

Gdy motyl przefrunął na inny kwiat, podniosła się na nogi, wygładzając spódnicę.

- Mówiono mi nawet, że sam król uważa je za cenne okazy.

- Naprawdę?

Przytaknęła.

Stojący obok Quenton rzucił jej zdumione spojrzenie.

- Król, panno St. John? Mam nadzieję, że ta informacja pochodzi z dobrego źródła?

- Z najlepszego, od mojego ojca. Powiedział mi, że król Karol ma ogromny zbiór motyli, ale wysłał do niego

prośbę o *Lycaena helle*, gdyż brakowało mu go do kolekcji.

- Czy pošlemy mu tego? - zapytał chłopiec.

Miał tak poważną minę, że Olivia musiała się roześmiać.

- Żeby go wysłać, trzeba by go najpierw zabić. Chcesz zabić motylka, Liacie?

- O, nie, nigdy bym tego nie zrobił. - Oczy chłopca rozszerzyły się ze zgrozy

- Cieszę się. Ja też nie. A może chciałbyś pracować tak jak moja matka i ojciec? - Zapytała po chwili namysłu.

- Rysowali motyle, opisywali ich kolory i odnotowywali, gdzie je znaleźli. Chciałbyś narysować *Lycaena helle*?

- Bardzo chętnie, proszę pani.

- Więc chodźmy po przybory do rysowania.

Gdy ruszyli z powrotem ścieżką, Liat skakał z przodu, ogar biegł za nim, Olivia i Quenton szli z tyłu, a Pembroke dyskretnie zamykał pochód. Olivii coraz bardziej ciążyło złowróżbne milczenie Quentona. Jakby z najwyższym trudem hamował gniew. Gdy tylko doszli do fotela Bennetta, Liat rozgadał się, opisując motyla ze szczegółami.

- Był różowy i lawendowy i panna St. John powiedziała, że nazywa się... hm... *Lycae* ... *Lycaena helle* i że to jeden z ulubionych motyli króla. Ale nie chciałem go zabić i wysłać królowi, więc przyniesiemy przybory do rysowania i naszkicuję go. - Odwrócił się do swojej opiekunki. - Myśli pani, że mógłbym posłać rysunek do pała-

cu królewskiego? Król Karol mógłby go umieścić w kolekcji zamiast prawdziwego motyla.

Olivia uśmiechnęła się do chłopca łagodnie.

- Zastanowimy się nad tym. Co prawda, przypuszczam, że do tej pory król chyba już znalazł parę własnych *Lycaena*. - Wyciągnęła do niego rękę. - Chodź, Liacie. Przyniesiemy te przybory.

- Nie ma potrzeby, panno St. John - powstrzymał ją Quenton.

Był zdumiony nie tylko potokiem słów, płynących z ust milkliwego dotychczas chłopca, lecz także reakcją swego brata na żywą paplaninę Liata. Oczy Bennetta rozszerzyły się, gdy słuchał barwnego opisu motyla. Śledził każdy ruch ręki chłopca, a nawet skinął z aprobatą głową na myśl o narysowaniu cennego okazu. Może dzieje się tu coś więcej nad zwykłą wizytę w ogrodzie?

Spojrzał na Pembroke'a.

- Niech służący przyniesie przybory do rysowania panny St. John - polecił.

- Tak, milordzie. - Pembroke odwrócił się z kamienną twarzą.

- Może powinnam zabrać już panicza Bennetta na herbatę? - Minerva rzuciła niespokojne spojrzenie w kierunku domu.

- Nie ma potrzeby. Pembroke! - zawołał Quenton w stronę oddalających się pleców kamerdynera. - Powiedz pani Thornton, żeby przyniosła nam herbatę i biszkopty.

Kamerdyner przystanął i odwrócił się.

- Herbatę i biszkopty? Do ogrodu, wasza miłość?

- Tak, do ogrodu. - Quenton zignorował nutkę dezaprobaty w głosie Pembroke'a i odprawił go niecierpliwym gestem.

Niebawem pojawiło się kilku służących, którzy nieśli stół, obrus, nakrycie do herbaty, różne biszkopty i ciasteczka, a także mięsa, sery, konfitury i galaretki.

Liat, wyciągnięty na brzuchu w trawie, rysował motyla, który fruwał z kwiatka na kwiatek. Fotel Bennetta ustawiono tuż obok, tak by mógł obserwować, jak szkic nabiera kształtu i wypełnia się kolorami. Minerva krążyła wokół nich, okrywając chorego kocem, jeśli zsunął mu się z ramion, i pilnując, by młodemu człowiekowi niczego nie brakowało.

- Czy wasza miłość zostanie tu na herbacie? - zapytała pani Thornton.

Quenton pomyślał o księgach rachunkowych w gabinecie dziadka. Nie chciało mu się stąd odchodzić. Nie ze względu na siebie oczywiście. Nie trzymała go też tutaj obecność młodej guwernantki ani paplanina chłopca czy rozkoszne aromaty kwiatów. Zostanie dla Bennetta, postanowił leniwie. Nie może przecież pozwolić, żeby te głupiutki kobiety wyzuły jego delikatnego brata z całej energii.

- Tak, oczywiście, pani Thornton - odparł i zasiadł na jednej z ławek. Ogar ułożył się u jego stóp.

Gospodyni nalała herbaty i rozdała filiżanki, a potem powiedziała:

- Jeżeli wasza miłość niczego więcej nie potrzebuje, wzywają mnie obowiązki.

- Dziękuję. - Quenton odprawił ją gestem i sącząc herbatę, myślał, jak przyjemnie jest wygrzewać się na słońcu.

- Czekają na ciebie biszkopty, Liacie! - zawołała Olivia.

- Wiem, proszę pani. Mogę najpierw skończyć obrazek?

- Oczywiście.

- Biskopota, Bennecie?

- Panicz Bennett nie spożywa południowego posiłku - rzekła cicho Minerva. - Może napiłby się herbaty?

- Bzdura. - Gdy Minerva podawała choremu herbatę, Olivia nałożyła na talerz mięso, ser, biszkopty i ciasto. - Świeże powietrze dobrze wpływa na apetyt - powiedziała, wręczając Bennettowi sporą porcję.

Ku zdumieniu Quentona jego brat wziął talerz i zaczął jeść, przez cały czas przypatrując się rysunkowi Liata. Bezwiednie zjadł wszystko, co do okruszyny.

- Miałbyś ochotę na coś jeszcze? - spytała Minerva.

Z roztargnieniem skinął głową.

Służąca podeszła do stołu, przy którym Olivia i Quenton delektowali się herbatą.

- Nie mogę uwierzyć, że panicz Bennett tyle zjadł - wyszeptała.

- Tak właśnie działa świeże powietrze - odparła Olivia. - Odkąd zaczęliśmy spacerować na wrzosowiska i po ogrodzie, Liat ma lepszy apetyt i śpi przez całą noc.

- To byłyby prawdziwy cud, gdyby panicz Bennett mógł przespać choć jedną noc bez tych swoich koszmar-nych snów - powiedziała cicho Minerva, zerkając na lorda Stamforda.

Quenton z trzaskiem odstawił filiżankę. Wzmianka o nocnych strachach brata pozbawiła go wszelkiego apetytu.

Olivia spojrzała na młodą służącą.

- Zostajesz na noc z paniczem Bennetem?

- Śpię na podłodze koło jego łóżka, tak że zawsze jestem przy nim, gdy mnie potrzebuje.

- Bardzo się starasz.

Zauważyła, że nie tylko ją zaskoczyło wyznanie Minervy. Również Quenton spojrzał na dziewczynę ze zdumieniem.

- Zawsze podziwiałam panicza Bennetta. Kiedy był jeszcze chłopcem i odwiedzał naszą wioskę z dziadkiem, odnosił się do mnie bardzo miło. Gdy więc stary lord Stamford poprosił panią Thornton, by przydzieliła służącą do jego obsługi, sama się zgłosiłam.

- Musisz być bardzo zmęczona, skoro troszczysz się o niego dzień i noc bez chwili wytchnienia. - Olivia dotknęła jej dłoni. - Jestem pewna, że jeśli poprosisz panią Thornton, znajdzie kogoś, kto cię od czasu do czasu zastąpi.

- O, nie, panienko. Nie chcę go odstępować ani na chwilę. Naprawdę. Nikt nie potrafi się nim zająć tak jak ja. - Minerva napełniła swój talerz i pospieszyła do chorego.



- Mój brat ma szczęście, że trafił na taką oddaną służącą - mruknął pod nosem Quenton, przyglądając się dziewczynie.

Olivia przytaknęła, lecz przyszło jej na myśl, że Minerva jest być może dla Bennetta kimś więcej niż tylko wierną służącą.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim domu w Oksfordzie, panno St. John. - Quenton sączył herbatę i patrzył, jak twarz dziewczyny łagodnieje.

- To uroczy mały domek, nie większy niż tutejsza oboara. Ale czuliśmy się tam tak dobrze. Moi rodzice byli ze sobą bardzo szczęśliwi. - Zarumieniła się pod jego badawczym wzrokiem - Uwielbiali swoją pracę. Mnie też zachęcali, bym rozwijała zainteresowania.

- Skoro ma pani takie miłe wspomnienia, co panią skłoniło do wyjazdu?

- Gdy rodzice zginęli, dowiedziałam się, że ich majątkiem zarządza mój kuzyn. Jego matka zabrała mnie ze sobą do Londynu. - Olivia opuściła wzrok. - Nie mogłam tam zostać.

- Dlaczego?

Popatrzyła na ogród, nie chcąc napotkać spojrzenia ciemnych oczu, których właściciel musiał dobrze znać życie.

- To było... przykre przeżycie - powiedziała cicho.

Domyślił się, że bardziej niż przykre. W jak rozpaczliwej musiała się znaleźć sytuacji, skoro przyjęła posadę opiekunki obcego dziecka?

- Bardzo żałuję, że spotkały panią przykrości, panno St. John, ale dla nas złożyło się bardzo szczęśliwie.

Odchrząknął, gdy uniosła ku niemu wzrok.

- To znaczy, bardzo szczęśliwie dla Liata - dodał.

Uśmiech powrócił jej na usta. Po raz pierwszy nazwał chłopca po imieniu.

- Jest pan zadowolony z mojej pracy?

Gdy uśmiechnęła się wprost do niego, poczuł, że myśli mu się mąca, a krew żywiej krąży w żyłach. Nie dowierając własnemu głosowi, tylko skinął głową.

- Czuję, że z Liatem idzie mi coraz lepiej. Stał się trochę bardziej otwarty. Widzi pan, jak się zachowuje wobec Bennetta.

Quenton zerknął na chłopca, który podniósł się i pokazywał swój rysunek Bennettowi i Minervie, uśmiechając się szeroko.

- Stał się mniej bojaźliwy - rzekła Olivia - ale ciągle wyczuwam w nim smutek i tęsknotę za dawnym życiem.

- Czy często o tym mówi?

- Niezbyt.

- Wolałbym, by nie pytała go pani o przeszłość, panno St. John - powiedział z naciskiem. Wyczuła w nim nagłe napięcie. Jednak w chwilę później, gdy Liat pospieszył, by pokazać im swoje dzieło, Quenton uważnie obejrzał niezdamny rysunek i nie krył zadowolenia.

- Dobra robota, Liacie. Każdy, kto zobaczy ten rysunek, będzie wiedział, że przedstawia *Lycaena helle*.

Olivia aż pokręciła głową. Jak on może tak szybko

zmieniać nastrój? Widocznie jego wcześniejszy niepokój był tylko wytworem jej wyobraźni. Zwróciła się do chłopca:

- Skoro już skończyłeś rysować motyla, może zjesz biskopta?

- Owszem, chętnie. - Chłopiec wspiął się na krzesło i wziął sobie biskopta z dżemem. W oddali słychać było huk przypływu. Liat spojrzął na Quentona.

- Dlaczego tu, w Kornwalii, ocean zawsze się tak wścieka?

- Wcale się nie wścieka. To skały na dnie i powstałe na skutek nich wiry powodują ten ryk.

- Słyszę go czasem nocą, kiedy się budzę. - Liat odłożył biskopta. - I zawrodo wiatru. W każdym razie panna St. John powiada, że to wiatr. Za pierwszym razem, gdy go usłyszałem, rozplakałem się. Nie lubię tego dźwięku.

Quenton zerknął na Oliwię i ujrzał lekki rumieniec na jej policzkach. Z tego wniosek, że nawet niewinne kłamstewko, które wymyśliła tylko po to, by uspokoić chłopca, wywołuje w niej poczucie winy.

- Ja też czasami słyszę go po nocach - odparł z powagą. - I też mi się nie podoba.

Liat znowu ugryzł kęs biskopta.

- Panna St. John powiedziała mi, że w Anglii są piękne motyle, ale jej nie wierzyłem. Myślałem, że wszystkie motyle na świecie żyją na mojej wyspie.

Olivia spostrzegła, że Quenton znowu z lekkim niezadowoleniem zmarszczył brwi. Czy zawsze tak reaguje

na jakąkolwiek wzmiankę o Jamajce? A może to wspomnienie matki Liata chmurzy mu czoło? Aby się nie zdradzić, że zauważyła jego reakcję, pochyliła się nad psem.

- Czy on się jakoś nazywa?

- Thor. Nie radziłbym go głaskać, panno St. John. Może ugryźć.

- Jak się masz, Thor? Chyba lubiłbyś, gdyby ktoś podrapał cię za uszami, prawda, przyjacielu?

Potarła go po łbie, a on polizał ją w nagrodę po rękę.

- Lubi panią - stwierdził z radością Liat.

- Najwyraźniej. - Odłamała kawałek biszkopta i dała psu. - Boisz się psów, Liacie?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

- Raczej nie. Chyba kiedyś, na wyspie, miałem psa. Nie jestem pewien.

Quenton gwałtownie odsunął się od stołu i wstał. Natychmiast i ogar podniósł się na nogi.

- Bennettcie! - powiedział Quenton. - A może przeszlibyśmy się kawałek przed powrotem do domu?

Minerva spojrzała na młodego człowieka w fotelu, po czym wypowiedziała jego nieme pytanie:

- Wielmożni panowie przeszliby się? Ale przecież stajenni wrócili już do swoich obowiązków.

- Nie są nam potrzebni. Sam go poniosę.

Podszedł do brata i bez najmniejszego wysiłku podniósł go z fotela.

Minerva pospiesznie poutykała koc wokół ramion Bennetta.

Nie czekając na innych, Quenton zaczął leniwie spacerować po starannie utrzymanych ścieżkach, przystając od czasu do czasu, by brat mógł dokładnie wszystko obejrzeć.

- Chcę iść z nimi! - zawołał Liat.

- Nie wolisz zostać tutaj i dokończyć biskopata?

Chłopiec potrząsnął głową.

- Chętniej poszedłbym z lordem Quentonem i panią Bennettem.

- Proszę bardzo.

Liat puścił się biegiem za spacerującymi braćmi.

Zamyślona Olivia ruszyła za nimi.

Jeszcze niedawno ten chłopczyk, z powodu swojej tajemniczej przeszłości obawiający się potworów, wolałby zostać sam w pokoju. Teraz biegł tak szybko, jak tylko zdołały go ponieść nogi, by dogonić dwóch mężczyzn związanych jakąś mroczną tajemnicą. Czy znalazła w tym domu bezpieczną przystań? - zastanawiała się. Czy, niczym przypływ, który słyszała u podnóża skał, i ona zostanie ciśnięta w wir?

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Koszmar powrócił. Olivia znowu była osaczona. Przytłaczało ją ciężkie ciało zwalistego Wyatta. Całą ją podrapał, gdy przesuwiał szorstkimi rękoma po jej ciele. Nie mogła się spod niego wydobyć. A potem, tuż przed nią, zamajaczyła jego złowieszcza twarz. Usta wykrzywiał dziwny uśmiech. Miotła się na wszystkie strony, by uwolnić się z brutalnego uścisku. Usiłowała krzyżeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Usiadła wyprostowana na łóżku. W pokoju panowała ciemność, tylko węgle na kominku żarzyły się, rzucając czerwone ogniki.

Jej nocna koszula była wilgotna od potu, serce biło jak szalone, a oddech rwał się co chwila. Kilkakrotnie zaczerpnęła powietrza, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Zaczęła chodzić po pokoju. Nienawidziła tego łajdaka za to, że nadal jeszcze potrafił zadać jej ból. Choć był tak daleko, w Londynie, wciąż wpełzał do jej snów, z których budziła się przerażona i bezradna.

Zastanawiała się, czy coś podobnego przytrafiło się Bennettowi. Może został zraniony tak głęboko, że cierpi do tej pory? Czy coś takiego zdarzy się i jej? Czy obawy

zaczynają paraliżować coraz bardziej, aż w końcu całkiem im ulegnie i stanie się zupełnie bezradna?

Nie, pomyślała ze złością. Może nadal lękać się Wyatta, ale nie jest bezbronna. To tylko koszmarny sen. Gdyby jednak *coś* takiego zdarzyło się naprawdę, wyteżyłyaby wszystkie siły i tym razem znalazłaby dość uporów i odwagi, żeby się obronić. Nadal bolało ją, że ratunek zawdzięcza starej służącej. Gdyby nie Letty... wstrząsnęła się na myśl, ile niewinnych dziewcząt skrzywdził jej zwyrodniały kuzyn.

Kiedy się trochę uspokoiła, przestała krążyć po pokoju. Mimo że do rana pozostało jeszcze wiele godzin, wiedziała, że już na pewno nie usnie, toteż nawet nie próbowała. Narzuciwszy szal na ramiona, wyszła z pokoju. Może filiżanka herbaty ukoi jej rozdygotane nerwy.

W korytarzu migotliwe światło świec rzucało ruchome, zniekształcone cienie na ściany i sufit. Olivia poczuła, że ogarnia ją strach. Może ktoś ją obserwuje? Może za nią idzie? Musiała przystanąć i zebrać całą odwagę. Czyż ojciec często nie powtarzał jej, że ma zbyt bujną wyobraźnię? Gdy była dzieckiem, w promieniach księżycy widziała pyłki, które strząsają wróżki. Albo, jak Liat, potwora w powykręcanych gałęziach starego drzewa. Jest dorosła, potrafi przecież trzeźwo patrzeć na świat, w końcu została wychowana przez dwoje przyrodników. Wyprostowała się i schodząc ze schodów, starała się trzymać lęki na wodzy. Bose stopy nie czyniły najmniejszego hałasu, kiedy szła do olbrzymiej kuchni.

Rankiem ogrzeje ją żar płomieni spod piekących się całych prosiąt, jagniąt i ptactwa. Z pieców będzie unosić się cudowny aromat dochodzących chlebów i herbatników. Wokół będzie się krzątać służba, pochłaniając pospieszny posiłek, nim rozpocznie codzienną harówkę. Ale teraz, w środku nocy, kuchnia jak i reszta pomieszczeń rezydencji, pogrążona była w ciszy.

Olivia ucieszyła się, że na palenisku nadal płonie ogień. Nalała dzban wody do czajnika i postawiła go na ogniu. Kiedy się odwróciła, dostrzegła w półmroku jakąś postać. Zakryła usta dłonią, by stłumić krzyk.

- Och, lord Stamford. - Odetchnęła z ulgą. - Bogu dzięki, że to pan.

Gdy Quenton postąpił krok bliżej, z nieodłącznym ogarem przy nodze, cofnęła się jednak gwałtownie.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. - Dostrzegł strach w jej oczach, jeszcze zanim zdołała się opanować.

- Nie spodziewałem się tu nikogo zastać o tej godzinie.

- Po prostu... nie mogłam spać.

Znał to uczucie. Aż nazbyt dobrze.

- Filiżanka herbaty powinna pani pomóc.

- Tak właśnie pomyślałam. Czy pan również się napije?

Uniósł rękę, w której trzymał szklanekę, wypełnioną bursztynowym płynem. W drugiej miał karafkę.

- Znalazłem własne lekarstwo na bezsenne noce, pan-  
no St. John.

Nie wiedząc, co powiedzieć, bąknęła:



- Mój ojciec często wypijał przed snem szklaneczkę brandy.

- Doprawdy?

Skinęła głową.

- Czasami udawało mu się namówić mamę, żeby z nim wypić.

- Pani matka była niezwykle śmiałą osobą. Smakowało jej?

Olivia uśmiechnęła się na to wspomnienie.

- Powiedziała, że wcale nie pomaga jej to zasnąć. Przeciwnie, alkohol ją pobudzał. - I po co ona wygaduje takie rzeczy? Zaczerwieniła się. Miała nadzieję, że lord przypisze jej rumieniec żarowi z paleniska.

- Pani ojciec miał szczęście. - Choć Quenton nadal miał chmurną minę, w jego głosie zabrzmiał tłumiony śmiech. Uniósł karafkę. - Może zechciałaby się pani do mnie przyłączyć, panno St. John? Przekonamy się, czy odziedziczyła pani usposobienie po matce.

- Wolę herbatę. - Odwróciła się i zalała herbatę wrzątkiem, rada, że ma jakieś zajęcie. Nie zdawała sobie sprawy, że blask ognia oświetla zarysy jej ciała, teraz wyraźnie widoczne pod cienkim materiałem nocnej koszuli. Quenton od razu to zauważył.

Siedział nieruchomo, rozkoszując się tym widokiem. Szal rozchylił się, już nie maskując krągłości ukrytych pod koszulą. Talię miała tak cienką, że z pewnością objąłby ją dłońmi. Podziwiał biodra i długie, szczupłe nogi. Widok gołych stóp, wystających spod koszuli, rozśmieszył go

i rozczulił. Włosy, zazwyczaj związane w ciasny węzeł, teraz spływały jej na ramiona gęstymi, ciemnymi falami. Światło paleniska rzucało na ich końce ognisty poblask.

Spędzanie bezsennej nocy w towarzystwie innej osoby ma pewne zalety. Zwłaszcza gdy tą osobą jest młoda kobieta o niezaprzeczalnym uroku.

Kiedy herbata już się zaparzyła, Olivia nalała sobie pełną filiżankę, zamierzając wymknąć się z nią do swego pokoju.

Quenton obserwował jej sztywne, niezgrabne ruchy, mając świadomość, że to z powodu jego obecności czuje się tak skrępowana. Jak i on, przyszła tu, by być sama ze swoimi myślami.

- Proszę usiąść, panno St. John. - Wskazał ławkę przed kominkiem. - Herbata najlepiej pani zrobi, jeśli wypije ją pani, siedząc wygodnie przy ciepłym ogniu.

Choć pragnęła czym prędzej czmychnąć, nie potrafiła zręcznie się wykręcić. Usiadła więc, ze złączonymi kolanami, sztywno wyprostowana, przyciskając filiżankę do piersi jak tarczę.

- Przyjemnie się pani tu pracuje, panno St. John? - Quenton postawił karafkę na krawędzi kominka i odwrócił się twarzą do niej.

- Bardzo. Liat to uroczy chłopiec. Bardzo sympatyczny. Ma lotny, dociekliwy umysł.

Quenton przytaknął.

- Pani opieka dobrze mu robi. Dzięki spacerom nabrał rumieńców. - Wpatrzył się w dno szklanki. - Miała pani

rację co do pożytków ze świeżego powietrza. Minerva powiedziała, że po wizycie w ogrodzie mój brat przespał spokojnie całą noc. Po raz pierwszy od lat nie obudziły go zmory.

Uśmiechnęła się promiennie.

- Jakże miło mi to słyszeć. Nie byłam pewna, czy nie posunęłam się za daleko. Wiem, że pani Thornton nie była tym zachwycona.

- Pani Thornton ma ostry język, ale to dobra kobieta. Na swój sposób kocha mojego brata. Widziała, jak leżał już prawie bez życia, i dlatego tak się o niego boi.

Olivia pokiwała głową.

- Chyba zachowałabym się podobnie, gdyby cokolwiek przytrafiło się Liatowi.

- Obiecuję, że chłopcu nic złego się nie stanie.

Tłumiona pasja w jego głosie poruszyła w Olivii jakąś strunę. Zdawała sobie sprawę, że Quenton Stamford, tak impulsywny i obdarzony gorącym temperamentem, może być niebezpiecznym przeciwnikiem. Albo nadzwyczaj troskliwym, opiekuńczym sprzymierzeńcem. A także fascynującym, namiętym kochankiem, pomyślała nagle.

Skąd jej to przyszło do głowy? Zaniepokojona swymi rojeniami, zapomniała o herbacie i rozlała ją na rękaw koszuli. Syknęła z bólu.

- Sparzyła się pani.

Ukląkł przed nią, wyjął jej filiżankę z rąk i postawił na bocznym stoliku, obok szklanki brandy.

- Nic się nie stało.

Bardziej doskwierało jej zażenowanie niż ból. Było jej wstydy, że spowodowała takie zamieszanie.

- Proszę się nie ruszać.

Zdjął z szyi fular i przycisnął go do jej ręki.

Od jego dotyku poczuła żar aż w ramieniu, więc instynktownie cofnęła dłoń. Quenton, zamiast odsunąć się, by mogła ochłonać, przysunął się jeszcze bliżej i ujął jej rękę w swoje dłonie. Pochylił głowę, by przyrzeć się jej dokładnie.

- Ma pani szczęście. Ani śladu oparzenia.

Ogarnęła ją ochota, by pogłaskać go po włosach. Uniosła dragą rękę i poczuła mrówki w palcach, gdy lekko musnęła go po głowie.

Nagle podniósł się, pociągając ją za sobą. Nadal trzymał jej dłoń.

- Czy to boli? - Pochylił twarz tak nisko, że czuła ciepło jego oddechu, owiewające jej policzek.

Nie dowierzając własnemu głosowi, potrząsnęła tylko głową. Gdy uniosła wzrok, ciemne, władcze oczy przykuły jej spojrzenie.

- Nie mogę patrzeć, jak pani cierpi - powiedział i uniosł jej dłoń do ust.

- Ależ mnie...

- Ciii... - Odwrócił jej dłoń i pocałował. Puls Olivii natychmiast przyspieszył. Musiał to zauważyć, bo palcami obejmował jej rękę w nadgarstku.

Była zbyt zaskoczona, by się wyrwać. Zaskoczona nie tylko jego nieoczekiwaną czułością, ale także gwałtowną reakcją swego ciała.

- Widzę, że zaniepokoiłem panią. - Ujął twarz Olivii w obie ręce i wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby chciał zapamiętać jej rysy. Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - Ponieważ przekroczyłem już granice przyzwoitości, zaniepokoję panią jeszcze bardziej.

Pochylił ku niej twarz. Gdy usiłowała się wyrwać, przytrzymał ją mocno i dotknął wargami jej ust. Oboje zapamiętali się w namiętym pocałunku.

Quenton obejmował Olivię tak mocno, że prawie pozbawił ją tchu. Jęknęła cicho i chwyciła gors jego koszuli, a on objął ją jeszcze mocniej. Przesuwał dłońmi po jej plecach, pieszcząc ją i tuląc. Pocałunek wyzwolił wszystkie uczucia, które tak długo w sobie tłumił. Smutek, żal, a także pragnienie tak dotkliwe, że nic nie mogło go zaspokoić.

Olivia wyczuwając te wszystkie silne emocje, zareagowała instynktownie, w jedyny właściwy sposób: przestała mu się opierać, stała się miękka i uległa. Otworzyła się przed nim jak kwiat.

Pomyślał, że wdał się w niebezpieczną grę. Kobieta, którą trzyma w ramionach, jest niewinna. Nie wolno mu ciągnąć tego ani przekroczyć pewnej granicy. Uważał się za rozsądnego człowieka, ale przy niej tracił cały rozum. Postanowił sobie, że pocałuje ją tylko, a potem się wycofa. Okazało się jednak, że nie może przestać jej całować.

Gdy przyciskał wargi do ust Olivii, znów zachwyił go jej zapach. Uzmysłował sobie, że to lawenda. Pachniała jak letni ogród. Musiał skupić całą siłę woli, by się od niej

oderwać. Widział jej szeroko otwarte, nieprzytomne oczy i nabrzmiałe usta. Odsunął się.

- Z pewnością chciałaby już pani powrócić do swego pokoju, panno St. John.

Zdumiał się, że tak trudno mu mówić. Gardło miał wyschnięte na wiór. Musi zakończyć to teraz, zanim popełni straszliwy błąd.

- Tak... Tak - wykrztusiła.

Odwrócił się, by nie widzieć konsternacji w jej oczach.

- Dokończy pani herbaty?

- Nie.

- W takim razie życzę dobrej nocy. - Podniósł szklankę. - Odprowadziłbym panią na górę, ale zostało mi jeszcze trochę brandy. Nie lubię marnować dobrego trunku.

- Oczywiście. - Wyprostowała się. Jeżeli on ma zamiar zachowywać się tak, jakby przed chwilą nic między nimi nie zaszło, ona postąpi podobnie. - Dobranoc. - Odwróciła się, prosząc Boga, by nie zawiodły jej drżące nogi.

- Dobranoc. - Patrzył, jak odchodzi, po czym dokończył brandy. Zauważył, że trzęsie mu się ręka.

Podszedł do krawędzi kominka, ponownie napełnił szklankę i opróżnił ją jednym długim haustem. Może, jeśli mu się uda wypić całą karafkę, alkohol zatrze smak słodczy i niewinności, który uderzył mu do głowy niczym mocne wino.

Wpatrywał się w płomienie, a jego myśli były mroczne jak niebo za oknem. Choć miał zamiar odłożyć to jeszcze na jakiś czas, teraz postanowił, że jutro rozpocznie inspe-

kcję rodowej posiadłości. Może uda się przeciągnąć wyjazd na parę tygodni. Przynajmniej tyle musi potrwać podróż, by czas i odległość zagłuszyły pragnienie, które wzbudziła w nim ta skromna guwernantka.

Mógł winić tylko siebie. Zanadto zbliżył się do płomienia. Nic dziwnego, że się sparzył.

- Dzień dobry, panienko - powiedział Pembroke, stojąc u podnóża schodów.

- Dzień dobry, Pembroke. - Olivia usiłowała otrząsnąć się z lęku, który dręczył ją przez całą noc. Miała wrażenie, że znowu ktoś za nią szedł, gdy zostawiła Quentona w kuchni.

Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, jak zareaguje, gdy go znowu zobaczy. Do rana chodziła po pokoju, rozpamiętując namiętną scenę, do której między nimi doszło. Nawet teraz krew zaczynała szybciej krążyć w jej żyłach na wspomnienie uścisku i pocałunku Quentona.

Choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, poranną toaletę zrobiła wyjątkowo starannie. Włożyła błękitną suknię i upięła włosy grzebieniami. A potem tuż przed zejściem uszczypnęła się w policzki, by stały się bardziej różowe. Zwykła babska próżność. I to wszystko z powodu ponurego, gniewnego mężczyzny, który pewnie nieźle się z niej uśmieł.

- Idziemy z Liatem na poranny spacer. Może panicz Bennett i jego brat chcieliby pójść z nami?

- Musi panienka zapytać służącej Minery i pani Thornton o panicza Bennetta. Lorda Stamforda nie ma.

- Nie ma?
- Ano nie. Wyjechał dziś wcześniej rano, żeby zrobić inspekcję w swoich dobrach. Nie będzie go chyba przez parę tygodni.
- Ach, tak. - Odwróciła się, by ukryć rozczarowanie.
- W takim razie pójdę poszukać Minervy.
- Znajdzie ją pani na górze, przy paniczu Bennecie.
- Dziękuję, Pembroke.

Olivia poszła na górę, wciąż rozmyślając o Quentionie. Czemu sobie ubzdurała, że na tak światowym człowieku zrobi wrażenie zwykły pocałunek? Wbiła sobie do głowy, że będzie wyczekiwał, aby ją zobaczyć, że sam jej widok sprawi mu przyjemność. Bo, prawdę mówiąc, ona lubiła na niego patrzeć. Z pewnością nigdy nie widziała przystojniejszego mężczyzny.

Ale jeśli w tym, co o nim mówią, kryje się choć ziarno prawdy, nie był dobrym człowiekiem i nie zasługiwał na jej uczucie.

Dostrzegła w nim jednak również dobre, czułe strony. Jeżeli już zwracał uwagę na brata, był dla niego delikatny i troskliwy. Rzadko spoglądał na Liata, ale bardzo dbał o jego bezpieczeństwo. I naprawdę się przejął, gdy myślał, że się sparzyła.

A może to tylko gierki? Może nie jest dość spostrzegawcza? Albo może zbyt często kierowała się w swej ocenie emocjami? Za mało zna świat, by umiała sobie poradzić z takim człowiekiem jak lord Quention Stamford.



Gdy dziewczyna poszła na górę, Pembroke powrócił do biblioteki. Ogar z nadzieją podniósł łeb, lecz widząc, że to nie jego pan, położył go z powrotem między łapami i ponuro wpatrzył się w ogień.

- Wyglądasz tak smutno jak nasza młoda guwernantka. - Pembroke pochylił się i z roztargnieniem podrapał psa za uszami. - Trzeba cię trochę rozruszać. Chodź ze mną.

Ruszył ku drzwiom, a wielkie psisko poszło jego śladem. Przystanęli przy drzwiach kuchni. Za nimi pani Thornton strofowała Kucharcie.

- Nie ma powodu gotować tyle jedzenia, skoro jego lordowska mość wyjechała. Kto to zje?

- Służba.

Kucharcia patrzyła prosto w twarz gospodyni, podparłszy się pod boki. Mimo że była wyższa i potężniejsza niż większość służących, a ręce miała duże i miękkie niczym ciasto na chleb, jej głos brzmiał łagodnie.

- A dlaczegóż to przygotujesz specjalny posiłek tylko dla nich? - zapytała pani Thornton.

- Bo się skarżyli.

Gospodyni prychnęła z niezadowoleniem.

- To ta marudna Edlyn, co ma pstro w głowie? Miele jeźorem i znowu podbechtuje ludzi.

- A jeśli nawet, to co? Ma prawo się wypowiedzieć.

- Jeżeli jeszcze raz się wypowie i wyprowadzi mnie z równowagi, odeślę ją do wioski, gdzie będzie mogła zarabiać na chleb, nosząc pomyje świniom lorda

Thane'a. A teraz... - Gospodyni urwała, widząc w drzwiach kamerdynera. - A, Pembroke. Potrzebujesz czegoś?

Zawahał się chwilę, nim wszedł na to obce terytorium. Te dwie wciąż darły ze sobą koty. Chyba że zajrzała tu mała guwernantka. Ona zawsze umie załagodzić sytuację, pomyślał, wyciągnąć z ludzi to, co w nich najlepsze. Żałował, że jej nie ma.

- Chętnie napiłbym się herbaty. I może znajdą się jakieś resztki dla biednego starego Thora?

Cienkie usta gospodyni rozciągnęły się w uśmiechu. Od razu złagodniała.

- Chyba z herbatą nie będzie kłopotu. I dla psa też się coś wygrzebie. Rozgość się.

Po chwili kamerdyner popijał herbatę i jadł mięso pieczone oraz ser, a pies wylizywał miskę.

- O co chodzi z tym odesłaniem Edlyn? - zapytał Pembroke.

- Ta pyskata zakuta pała jest jak garnek z wrzątkiem. Ciągłe bulgocze w niej złość. Rozsiewa ziarna niepokoju, a potem czeka, aż wydadzą plon.

- Jeśli chcesz, mogę mieć na nią oko. Przypilnuję, żeby... nie rozsiewała tych ziaren.

- A to z jakiej racji?

Potrząsnął głową, dopił herbatę.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Po prostu chciałem pomóc.

- Aha. Będę ci bardzo wdzięczna.

Skinął głową.

- Dzięki za herbatę.
- Proszę bardzo.

Odchodząc z psem przy nodze, zastanawiał się, co mu właściwie przyszło do głowy. Spędził w Stamford czterdzieści pięć lat. Podobnie jak przed nim jego ojciec. Zaczął w stajniach, machając łopatą większą niż on sam. Potem przeniósł się do rezydencji, gdzie przynosił drewno, palił w piecach i robił wszystko, by zadowolić swych wymagających chlebobawców. Gdy jego ojciec był już zbyt stary, by wykonywać swoje obowiązki. Pembroke musiał zdobyć niezbędną ogładę, żeby objąć po nim stanowisko kamerdynera.

Przez te wszystkie lata zawsze udawało mu się trzymać się z daleka od drobnych utarczek, które musiały wybuchnąć w tak dużej siedzibie. Dlaczego więc dał się uwikłać właśnie w tę? Chyba znał odpowiedź. Panna St. John. Odkąd tu przybyła, wszystko się zmieniło. I, musiał przyznać, że raczej na lepsze.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dni stawały się coraz ładniejsze, nadchodzące lato pokryło ziemię soczystą, zieloną trawą i przepędziło chmury, odsłaniając błękit nieba. Ogród urzekał feerią barw. Powietrze przesycił zapach lawendy.

Olivia i Liat wracali ze spaceru po wrzosowiskach. Choć nigdy przedtem nie widziała tak dzikiego, wyludnionego krajobrazu, pociągał ją jego surowy urok. Stłoczone głązy, wyrzucone przez morze, wielkie jak okręty tworzyły dziwne kształty. Nad nimi krążyły mewy i dzikie ptactwo, a ich krzyki roznosiły się po niebie.

- Proszę spojrzeć. - Liat wskazał jeźdźca, który zbliżał się do Blackthorne. - Czy to nie lord Stamford?

- Owszem. - Serce Olivii zabiło niespokojnie. - Wracaj z objazdu swoich włości.

Patrzyli, jak zsiada z konia, a jeden ze stajennych popieszczył się, by wziąć wodze. Quenton odwrócił się i przyglądał okolicznym wzgórzom, póki nie wypatrzył dwóch sylwetek. Nawet z takiej odległości Olivia czuła siłę jego mrocznego spojrzenia. Otwarto szeroko wrota, w których z boku stanął Pembroke. Thor rzucił się

do stóp swego pana, szcękając na przywitanie. Quenton odwrócił się i wraz z psem zniknął we wnętrzu rezydencji.

Gdy Olivia i Liat wrócili do domu, siedział już w gabinecie, przeglądając księgi i rachunki.

Później, w ciągu dnia, do drzwi Olivii zapukała Edlyn, jeszcze bardziej ponura niż zazwyczaj.

- Lord Stamford prosi, by pani i chłopiec zjedli z nim dziś wieczorem kolację.

- Dzięki, Edlyn. A panicz Bennett?

- Też tam będzie. - Służąca prychnęła z niesmakiem.  
- Z tego, co mówi Minerva, cały czas dygocze jak listek w czasie burzy.

Olivia doskonale to rozumiała. Sama również czuła jakiś niepokój.

- Chodź, Liacie. Musimy się porządnie wyszorować. Nie chcemy przecież pokazywać się lordowi Stamfordowi umorusani po spacerze, prawda?

Gdy przeszli do jadalni, Olivia zdołała się już całkowicie uspokoić. Postanowiła, że będzie chłodna i opanowana. Całą uwagę poświęci zachowaniu Liata.

Jak zwykle, przed potężnymi, podwójnymi drzwiami trzymał straż Pembroke.

- Dobry wieczór, Pembroke - Olivia uśmiechnęła się do niego szeroko.

Liat wsunął rączkę w jej dłoń.

Kamerdyner uklonił się i przywitał, po czym otworzył drzwi i odsunął się, by ich przepuścić.

- Wasza lordowska mość, przyszła panna St. John z chłopcem.

- Dziękuję, Pembroke.

Olivia zebrała całą odwagę, gdy Quenton odwrócił się od ognia. Mocniej ujęła dłoń Liata.

- Witamy w domu, lordzie Stamford.

Omali się nie uśmiechnęli. Jakże uroczy obrazek tworzyli razem. Wzorowa guwernantka i jej ciemnooki mały podopieczny o miedzianej skórze. Chłopiec był świeżo umyty, we włosach miał jeszcze mikroskopijne kropelki wody. Ubrany był w ciemne spodnie i wykrochmaloną białą koszulę, z którą kontrastowała śniada twarzyczka o szelmowskim wyrazie. Mocno trzymał opiekunkę za rękę, by dodać sobie odwagi.

Quenton z ulgą zauważył, że Olivia pozostała tą samą uroczą dziewczyną, którą tyle razy widywał w marzeniach. Wydawała się nawet ładniejsza, niż ją zapamiętał. Miała na sobie tę samą niebieską suknię, którą nosiła już wiele razy. Uświadomił sobie nagle, że zawsze widywał ją tylko w dwu sukniach: tej niebieskiej i prostej, szarej. Musi to jakoś naprawić, nie raniąc jej dumy.

- Herbaty, panno St. John? - zapytał, gdy Olivia i Liat usiedli przy małym okrągłym stole.

- Dziękuję, chętnie.

- A dla ciebie, chłopcze, mleko.

- Tak, proszę pana.

- Uczyłeś się, kiedy mnie nie było?

Liat skinął głową i przyjął kubek mleka od opiekunki.

- Zapisywałem w dzienniku wszystkie owady i zwierzęta, na jakie natrafiłem podczas spacerów. Panna St. John pomagała mi je nazywać, ale rysunki są moje. Chciałby pan obejrzeć?

- Bardzo. Może później zajrzę do twoich pokoiów i wszystko mi pokażesz.

Otworzyły się drzwi i Pembroke oznajmił donośnie:

- Wasza lordowska mość, panicz Bennett.

Patrzyli, jak stajenny wnosi Bennetta i sadza na krześle przed kominkiem. Minerva szła tuż za nimi, z kocem. Gdy upewniła się, że choremu jest wygodnie, odwróciła się, by wyjść.

- Zaczekaj, Minervo! - zawołał Quenton. - Zostaniesz z nami na kolacji.

- Aha, żeby pomóc paniczowi Bennettowi przy jedzeniu?

Quenton potrząsnął głową.

- To też, oczywiście. Ale będziesz z nami jadła. Zauważyłem, że ostatnim razem nie wzięłaś do ust nawet kęsa.

- Wasza miłość... - Twarz służącej stała się równie czerwona jak jej włosy. - To nie uchodzi.

- Chcesz powiedzieć, że już jesteś po kolacji?

- Nie, wasza miłość.

- W takim razie jesz z nami, i nie chcę już słyszeć na ten temat ani słowa.

Dziewczyna umilkła.

Olivia nabrała do Quentona większego szacunku. Zda-

wał sobie sprawę, że służąca musi obyć się bez kolacji, by zatroszczyć się o jego brata. A choć zaprosił ją krótko i szorstko, jakby wydawał polecenie, widać było, że chodzi mu o dobro Minery. Nie sprawiał wrażenia, że robi jej łaskę.

Do sali wpadła pani Thornton, jak zwykle strofując służących:

- Dołóż parę polan do kominka, ty gamoniowaty, niedowarzony głąbie kapuściany!

Chudy wyrostek rzucił na palenisko kilka potężnych kłód, po czym ociężale wyszedł z sali.

- Ej, ty, gadatliwa sroko. - Gospodyni pociągnęła za ucho ospałą służącą, której płowe włosy sterczały w sztywnych kosmykach. - Rusz no się i postaw ten talerz.

Spojrzała na Quentona.

- Wszystko gotowe, milordzie.

- Dziękuję, pani Thornton.

Poprowadził gości do dużego stołu. Jego brata posadzono po lewej stronie, a Olivia i Liat zajęli miejsca po prawej.

- Może pani zacząć podawać, pani Thornton.

Gdy już wszyscy *domownicy* siedzieli nad pełnymi talerzami, zwrócił się do gospodyni:

- Proszę powiedzieć Kucharci, że gęś to wspaniały pomysł.

- Tak, wasza miłość. Powiedziałam tej górze mięsa, że jeśli jeszcze raz ośmieli się choć pomyśleć o baraninie, wygotuję jej tyłek.



Zauważył, że Liat i jego opiekunka krztuszą się z powstrzymanego śmiechu. Jemu również lekko drgnęły wargi, nim surowym skinieniem odprawił gospodynię.

- Minervo, jak czuł się Bennett podczas mojej nieobecności?

- Dobrze, milordzie.

- Wychodził do ogrodu?

Służąca skinęła głową.

- Gdy tylko pogoda pozwoliła.

- A czy... - Kiedy Olivia dotknęła jego ręki, rzucił jej ostre spojrzenie. - O co chodzi?

Powiedziała szeptem, przeznaczonym tylko dla jego uszu:

- Dlaczego nie zapyta pan wprost Bennetta? Przecież pański brat dobrze słyszy. A on tak lubi, jak pan z nim rozmawia.

Przeniósł wzrok z niej na brata.

- Powiedz mi, Bennecie, czy uważasz, że po pobycie na świeżym powietrzu lepiej śpisz?

Przez chwilę młody człowiek był tak oszołomiony, że tylko wpatrywał się w Quentona z otwartymi ustami. Przy stole zapadła cisza. Nawet Pembroke, zazwyczaj tak opamięniony, zeszywniał.

Bennett powoli skinął głową.

- Zatem zgadzasz się z panną St. John, że godziny spędzone w ogrodzie przynoszą zbawienne skutki?

Bennett znowu skinął głową i uśmiechnął się. Po raz pierwszy Olivia pomyślała, że mimo straszliwie wychu-

dzonych rąk i nóg, jest bardzo przystojnym młodzieńcem. Niemal tak przystojnym jak jego starszy brat.

Quenton odwzajemnił uśmiech. Sącył piwo i z zadowoleniem obserwował współbiedników. Minerva pomagała Bennettowi jeść. Surowe oblicze Pembroke'a promieniało, gdy napełniał szklankę lorda. Quenton sądził, że już nigdy nie zazna chwili radości w tym domu, ale uśmiech na twarzy brata wymazał lata bólu. Oczywiście miło jest, gdy ogień buzuje za plecami, a piwo rozgrzewa krew. Już tylko z tych powodów mógłby być zadowolony. Ale miło też, że ta młoda guwernantka siedzi tak blisko niego, że może wdychać zapach jej lawendowej wody.

Rozległo się głośne pukanie i Pembroke pospieszył otworzyć podwójne drzwi. Przez dłuższą chwilę szeptał o czymś z zaferowaną gospodynią, po czym wyprostował się i podszedł do szczytu stołu.

- Wasza lordowska mość - wręczył Stamfordowi zwinęte pismo - posłaniec czeka na odpowiedź.

Quenton przeczytał wiadomość, po czym polecił:

- Dopilnuj, by Kucharcia dała mu posiłek i trochę piwa. Ponieważ godzina jest już późna, proponuję, by spędził tu noc, nim wróci z moją odpowiedzią.

- Oczywiście, milordzie.

Gdy Pembroke odszedł, Quenton dopił piwo i widząc, że wszyscy spoglądają na niego z ciekawością, powiedział:

- Król odwiedzi Blackthorne.

- Król Karol? - Olivia zatrzymała widelec w połowie drogi do ust. - Przyjedzie tutaj?

- Tak, tutaj.

- Ale dlaczego? - Olivia pokręciła głową, niezdolna wyobrazić sobie takiego szczytu. - Dlaczego król miałby tu przyjeżdżać?

Quenton zerknął przez stół na brata.

- W latach naszej niezbyt przykładnej młodości często wraz z Bennettem spędzaliśmy wakacje u króla, w Greenwich Park i w Whitehall.

- Spędzał pan wakacje z rodziną królewską?

Przytaknął, nieco rozśmieszony jej pełnym oszołomienia wzrokiem. Czy ona zdaje sobie sprawę, jak wyrazistą ma twarz?

- Gdy jego ojciec, pierwszy król Karol, został ścięty, rodzina się rozproszyła. Młody Karol wiele czasu spędzał w Paryżu i w Hadze, a ja często dotrzymywałem mu towarzysztwa. Musiał długo czekać, zanim powrócił na tron, i nie były to przyjemne lata. A teraz postanowił przyjechać na wakacje tutaj, do Blackthorne.

Olivia poczerwieniała jak burak, przypominając sobie uwagi, jakie robiła owego dnia w ogrodzie. Nic dziwnego, że Quenton patrzył na nią z takim rozbawieniem. Nie tylko wiedział o królewskiej kolekcji motyli, ale zapewne też wielokrotnie ją oglądał.

Jakim głuptasem musi wydawać się Quentonowi! Jej kuzynka Catherine miała rację. Jest zwykłą wiejską gąską.

- Czy będziemy mogli zerknąć na króla z balkonu? -

spytał bojaźliwie Liat. - Albo patrzeć przez okno, jak spaceruje po ogrodzie?

- Cicho, Liat. - Olivia przyłożyła palec do ust, by przerwać ten potok pytań. - Jakie mamy prawo...

- Zerknąć na niego? Oczywiście, że nie, chłopcze. - Quenton odsunął się od stołu i wstał. - Wszyscy będziecie towarzyszyć królowi w przechadzkach po ogrodzie i wszędzie, dokądkolwiek się uda.

To już przechodziło wszelkie wyobrażenie Olivii.

- Towarzyszyć królowi? - spytała zduszonym głosem. Quenton podszedł do kominka.

- Oczywiście, panno St. John. - Odwrócił się i uśmiechnął. - Zamierzała się pani ukrywać, póki król nie opuści Blackthorne?

- Sądziłam... - Przez chwilę czuła się zbyt przytłoczona, by kontynuować myśl. - Jest przecież królem. Nie możemy tak po prostu spacerować obok niego, rozmawiać i zachowywać się jak zawsze.

- Dlaczego?

- O czym możemy z nim rozmawiać? Czy potrafimy odpowiednio się znaleźć w jego towarzystwie?

- Publicznie należy zwracać się do króla tylko wtedy, gdy sam o coś zapyta. Prywatnie po prostu będzie pani brała udział w rozmowie. Zauważyłem zresztą, że to nie sprawia pani najmniejszego kłopotu.

- Widzę, że podśmiewa się pan ze mnie. - Olivia wzięła Liata za rękę. - Chodź. Czas do łóżka.

- Jedno małe ostrzeżenie, panno St. John - powiedział

Quenton, gdy wychodzili - do króla nie wolno odwracać się plecami. I niech pani nawet do głowy nie przyjdzie, żeby opuścić pomieszczenie przed jego wyjściem. Nikt się nie oddała bez królewskiego zezwolenia.

Przystanęła.

- Zapamiętam to, wasza lordowska mość. A pan, mam nadzieję, zapamięta, że nie jest królem. Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, by udać się do swego pokoju.

Rzucił jej groźne spojrzenie, ale gdy wyszła, mocno ściskając Liata za rękę, a on zwrócił się do brata, w jego głosie nie było gniewu:

- Czy chciałbyś wrócić do siebie na górę, Bennecie?

Młody człowiek potwierdził. Nie czekając na pomoc, Quenton pochylił się, uniósł go z krzesła i zabrał na górę wraz z nieodłączną Minervą.

Zostawiwszy Bennetta pod opieką młodej służącej, poszedł szukać Liata. Wchodząc do apartamentu, usłyszał dochodzący z bawialni szmer głosów.

- Mogę pokazać królowi rysunek motyla.

Zapał chłopca wywołał uśmiech na twarzy Olivii.

- Wiem, że królowi na pewno spodobałby się twój rysunek. Podejrzewam jednak, że ma dużo ważniejsze sprawy na głowie.

- Wcale nie. - Quenton stanął w drzwiach i mrugnął do chłopca. - Sądzę, że królowi miło będzie pogawędzić z kimś, kto podziela jego zainteresowania.

- Przyszedł pan obejrzeć moje rysunki? - zapytał ochoczo Liat.

- Tak, chłopcze.

Po prawdzie, chciał spędzić jeszcze trochę czasu z jego guwernantką. Jakże uwielbiał się z nią droczyć! Rysunki stanowiły doskonałą wymówkę.

Liat, ubrany w długą nocną koszulę, pomknął do drugiego pokoju, skąd powrócił z plikiem kartek. Rozrzucił je na podłodze i Quenton musiał uklęknąć, by przyjrzeć się rysunkom.

Nie były to wcale nieporadne dziecięce malunki, jakie spodziewał się ujrzeć. Nawet bez starannie wykaligrafowanych ręką Olivii nazw zdołałby rozpoznać rozmaite gatunki motyli i owadów, a także kwiatów, przedstawionych z najdrobniejszymi szczegółami.

Popatrzył na chłopca uważnie.

- Są bardzo dobre.

Liat uśmiechnął się nieśmiało, lecz z radością,

- Dziękuję panu.

- A teraz, skoro je widziałem, będę nalegał, byś pokazał je królowi.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Król zna się dość dobrze na malarstwie, sztuce i naukach. Chyba znajdzie w tobie pokrewną duszę. - Spojrzył w górę. - I w pani, panno St. John.

Skinęła tylko głową, nie ufając własnemu głosowi. Widok mężczyzny i chłopca, klęczących obok siebie, z głowami pochylonymi nad rysunkami, sprawił, że ścisnęło jej się serce. Jakim cudem jej gniew tak łatwo przerodził się we wzruszenie?

- No dobrze, chłopcze. - Quenton pomógł malcowi zebrać rysunki. - Chyba pora, żebyś poszedł do łóżka, inaczej dostanie się nam obu od panny St. John.

Chłopiec położył rysunki na stoliku, po czym wskoczył do wielkiego łóża. Olivia opatuliła go kołdrą i ucałowała, a potem wyszła za Quentonem z pokoju. Przystanęła przed drzwiami swojej sypialni.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że pozwolił mi pan dotrzymywać towarzystwa królowi. Niestety, nie mogę z tego skorzystać.

- A to dlaczego?

- Zajmuję w tym domu pozycję niewiele wyższą niż służąca. Nie mam prawa przebywać w towarzystwie króla.

Nie mógł odmówić sobie lekkiego sarkazmu.

- Skoro uważa się pani wyłącznie za skromną służącą, skąd u pani ta śmiałość wobec mnie, pana tych włości?

Jej oczy rozbłysły.

- Czyżby wolał pan kobiety, które sączą słodkie słówka i mają pustkę w głowie?

Poczuł ogarniający go gniew.

- Boże drogi, kobieto, nie nadużywaj mojej cierpliwości. Pamiętaj, że jesteś tutaj na moje życzenie. Jeśli mi się spodoba, odeślę panią jutro rano do Londynu.

Odrzuciła dumnie głowę i wyprostowała się.

- Czy każe mi pan pakować kuferek?

- Proszę mnie nie prowokować - Położył ręce na jej ramionach. - A pani mnie prowokuje - dodał cicho. - Wolę nie mówić, jak często.

Poczuła lekkie podniecenie, jak zawsze pod jego dotykiem. Była pewna, że ją pocałuje. Czuła na wargach palące spojrzenie i jej puls zaczął bić szybciej.

Ale on w tej samej chwili cofnął się i oświadczył:

- Każę pani Thornton wezwać szwaczkę. Potrzebuje pani garderoby.

- Garderoby...?

- Odpowiedniej dla królewskiej świty.

Odszedł szybko, a ona poczuła lekki zawód, że jej nie pocałował. Była jednak szczęśliwa, że zamiast kazać jej się pakować, właśnie ją upewnił, że pozostanie trochę dłużej. Przynajmniej do końca królewskiej wizyty.

Gdy się odwróciła, dostrzegła cień ludzkiej sylwetki na korytarzu. Nie, z pewnością tylko sobie ubzdurała, że ktoś ją śledzi. Po co i dlaczego miałby to robić?

A jednak trudno było jej pozbyć się tego wrażenia. Weszła szybko do środka i oparła się o zamknięte drzwi, nasłuchując odgłosów z korytarza, ale niczego nie usłyszała. Stare domostwo w ciszy szykowało się do snu.





## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Quenton stał przy wysokich oknach biblioteki, obserwując, jak Olivia i Liat spacerują po ogrodowej ścieżce. Ostatnio zbyt często wypatrywał znajomej sylwetki, zamiast ślęczeć nad księgami. Chociaż doprowadzenie pogmatwanych rachunków do ładu było sprawą pilną, dla niego jednak dużo ważniejsza była scena za oknem.

- Pembroke, jak pani Thornton radzi sobie z przygotowaniami do zbliżającej się wizyty króla? - zapytał.

- Jak można się było spodziewać, milordzie, jest trochę podenerwowana.

Usta Quentona wykrzywił drwiący uśmiech. To tak, jakby powiedzieć, że ocean jest trochę wilgotny.

- Obserwowałem, jak pouczała grupę wiejskich dziewcząt, sprowadzonych do pomocy. Gdy je zostawiła, w powietrzu było aż gęsto od jej wymyślnych przekleństw.

- Tak, wasza miłość. Ma barwny język.

- Może podesłać pani Thornton więcej kobiet z wioski, żeby jej ulżyć?

- Nie, milordzie. Pomyśli sobie, że pańskim zdaniem nie da sobie rady z należyтым wykonaniem wszystkich obowiązków, które na nią spadną podczas wizyty króla.

- A da sobie radę, Pembroke?

- Bez wątpienia. W razie potrzeby sama potrafiłaby wszystkich obsłużyć. Po prostu trochę ją ponosi. Jest bardzo sprawna. I mimo tych przekleństw ma dobre serce. Czy powiedzieć jej, żeby podała herbatę w ogrodzie?

- Tak. - Czując na sobie wzrok Pembroke'a, Quenton uznał za konieczne dodać: - Chyba powinienem się dowiedzieć, jak czuje się mój brat w tak piękny dzień.

Gdy odszedł z psem przy nodze, kamerdyner pozwolił sobie na uśmiech. Jak to się dobrze złożyło, że panicz Bennett i panna St. John jednocześnie znaleźli się w ogrodzie.

Widząc Quentona, Liat puścił się pędem i zatrzymał z podskokiem. Wyciągnął rysunek motyla.

- Proszę zobaczyć, co narysowałem.

- No, no. *Brintesia circe*. Narysowałeś to dla króla?

- Tak, proszę pana. Panna St. John uważa, że to mój najlepszy rysunek.

- I chyba ma rację. - Quenton rozejrzył się. - A gdzie jest teraz?

- Tam. Rozmawia z paniczem Bennettem.

- Przespacerowałbyś się ze mną?

- Nie, proszę pana. Jeśli pan pozwoli, poszukam jeszcze motyli.

Quenton kiwnął głową i chłopiec puścił się biegiem. Wizyta króla najwyraźniej ekscytowała nie tylko panią Thornton. Wszystkich w Blackthorne, jak to tramie ujął Pembroke, ponosiło. Gdy zbliżał się do brata i Olivii, usłyszał jej głos:

- ..miałam jakieś dziesięć lat i byliśmy na wakacjach. Włożyłam nową sukienkę. Cytrynowożółtą, z dużą żółtą szarfą. Tata nazwał mnie swoją małą stokrotką. Czułam się taka dumna z tej sukienki. Spotykaliśmy się w pobliskim parku z grupą wykładowców z Oksfordu. Po drodze tata zauważył rzadkiego motyla. Był to piękny, brązowo-pomarańczowy *Apatura ilia*. Pobiełam za nim, bo chciałam go schwytać, gdy usiądzie.

Przystanął, nie chcąc przerywać tej opowieści. Pies położył się przy jego nodze. Olivia, odwrócona plecami, nie miała pojęcia, że Quenton jest obok. O ileż pogodniejsza i bardziej ożywiona wydawała się w towarzystwie brata i służącej. Bardzo by chciał, żeby i przy nim była taka swobodna. Jednak między nimi panowało wyraźne napięcie. Może z czasem uda się im jakoś je wyciszyć?

Wiatr poniósł jej śmiech, dźwięczny i radosny.

- Tak się zapatrzyłam na motyla, że nie zwracałam uwagi, gdzie idę, i wpadłam w jakieś bagienko.

- Och, panienko! - Zasłuchana Minerva przykryła usta ręką. - I co panienka zrobiła?

- A co mogłam zrobić? Było za późno, żeby ratować sukienkę, ale złapałam motyla. A kiedy pokazałam moją

zdobycz, spodziewając się, że rodzice będą na mnie źli, tak się śmiali, że aż upadli na trawę.

- Śmiali się? - W głosie Minery dźwięczało niedowierzenie. - Mimo że zniszczyła pani nową sukienkę?

- Mimo to. - Olivia znów się roześmiała. - Mama powiedziała, żebym się nie przejmowała, bo błoto się zmyje. A zdaniem taty jeszcze raz dowiodłam, że jestem jego nieodrodną córką. Pocieszał mnie, że jemu też przytrafiły się podobne historie, i wcale mu to na złe nie wyszło.

- Z tego widać, że byliście dobrą, kochającą się rodziną, panienko.

- Nie moglibyśmy być bardziej szczęśliwi. Jeszcze teraz trudno mi uwierzyć, że już ich nie ma na świecie.

Słyszac ból w głosie Olivii, Minerva spojrzała na nią i zobaczyła Quentona. Zerwała się na nogi, strzepując spódnicę.

- Bardzo przepraszam, lordzie Stamford.

- W porządku, Minervo. Zostań na miejscu. - Zrobił krok ku nim. - Z przyjemnością wysłuchałem opowieści panny St. John.

- Może lepiej poszukam Liata. - Olivia zarumieniła się, zakłopotana.

- Proszę się o niego nie martwić. Świetnie się bawi. Robi to, o czym właśnie pani mówiła: szuka motyli. W naszym ogrodzie nie ma bagien - dodał z lekkim uśmiechem. Odwrócił się do brata. - Jak się dziś czujesz? Dobrze spałeś?

Bennett przytaknął.

- Tak myślałem. Od świeżego powietrza nabrałeś kolorów. Myślisz, że królowi spodoba się nasz ogród?

Bennett ponownie przytaknął.

Olivia baczniej przyjrzała się swojemu chlebobdawcy. Jeszcze nigdy w towarzystwie brata nie był taki spokojny i pogodny.

- Poszukam Liata i sama się przekonam, czy nic mu się nie stało - rzekła, podnosząc się z miejsca.

- Pójdę z panią, panno St. John - oświadczył Quenton.  
- Kazałem podać herbatę na dworze. Pani Thornton niebawem ją przyniesie. Nie czekajcie na nas - zwrócił się do Minery i Bennetta. - Wiem, że mój brat lubi gorącą herbatę.

- Tak, jaśnie panie.

Oni również zauważyli dobry humor lorda Stamforda. Odprowadzili go wzrokiem, gdy wraz z Thorem u nogi odchodził w towarzystwie Olivii.

- Chłopiec jest tam. W ogrodzie różanym. Rysuje kolejnego motyla - powiedział Quenton.

Olivia uśmiechnęła się, widząc, jak ochoczo jej podopieczny macha ołówkiem.

Pies podszedł do chłopca. Liat pogłaskał go, po czym znów zabrał się do pracy.

Quenton poprowadził Olivię ku kamiennej ławce.

- Zaczekajmy tu, aż chłopiec skończy rysować.

Stał, póki nie usiadła, a potem zajął miejsce koło niej. Słońce przeświecało przez gałęzie nad ich głowami, rzu-

cając koronkowe wzory na spódnicę Olivii, która skromnie złożyła ręce na kolanach. Kosmyk włosów wysunął się z ciasnego węzła, muskając policzek dziewczyny.

- Pański brat z niecierpliwością wyczekuje króla - rzekła.

- Skąd pani wie?

- Czuję, że jest podniecony. Ma silne rumieńce, a oczy żywsze niż kiedykolwiek.

- Chciałbym, by brał udział we wszystkich zajęciach króla, ale może się to okazać kłopotliwe. Zwłaszcza jeżeli Karol będzie chciał udać się na polowanie.

- Och. - Bezwiednie dotknęła jego ramienia. - Nie może pan zostawić Bennetta. Byłby bardzo nieszczęśliwy.

Przykrył ręką jej dłoń.

- Myśli pani, że o tym nie wiem? Za nic w świecie nie chcę robić mu przykrości. Ale ta wizyta wymaga tyle zachodu, że nie jestem pewien, czy będziemy mogli przydzielić stajennego tylko do noszenia Bennetta. A samo polowanie, zwłaszcza z monarchą tak pełnym wigoru jak Karol, może okazać się zbyt wyczerpujące dla mego słabowitego brata. - Zniżył głos: - Nie zniósłbym, gdyby znowu stał się bladym, zmarniałym cieniem.

- Nie dopuścimy do tego. - Gdy tylko Quenton odśladniał czułą stronę swojej natury, serce Olivii topniało. Uścisnęła mu rękę. - Musimy znaleźć sposób... - Spojrzała na wóz z sianem, toczący się po odległym wzgórzu. - Oczywiście. Tu mamy odpowiedź.

Pobiegł za jej spojrzeniem i prychnął z dezaprobatą.

- Myśli pani, że wiozłbym brata drabiniastym wozem przy królu?

- Czy ktoś w wiosce nie mógłby zrobić mniejszego wozu, na miarę Bennetta? Gdyby koła były mniejsze, parobek mógłby go ciągnąć bez większego wysiłku.

Widziała, że Quenton zaczyna się nad tym zastanawiać.

- Musi być na tyle głęboki, żeby pański brat mógł się oprzeć i odpocząć, gdy poczuje się zmęczony. I na tyle duży, by zmieściło się w nim jakieś pośłanie, może pled, poduszka pod głowę.

- Taak... - Zmrużył oczy, namyślając się. - A skoro już jesteśmy przy tym, przydałby się też fotel na kółkach do domu.

- Och, tak! - W zapale zapomniała o formach. - Quentonie, pomyśl, jakie dałoby mu to poczucie wolności. I ile radości!

Przez parę sekund wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Powtórz to jeszcze raz - zażądał.

- Powiedziałałam, że dałoby mu to poczucie...

- Nie, to, co powiedziałaś wcześniej.

Spojrzała na niego skonsternowana.

- Odezwałaś się do mnie po imieniu.

- Doprawdy? Proszę o wybaczenie...

- Olivio - położył palec na jej ustach, by przerwać przeprosiny - powtórz to jeszcze raz. Powiedz moje imię

Oszołomiona, zaczerpnęła tchu, po czym wyszeptła.

- Quentonie.

- Jeszcze raz. Proszę.

- Quentionie - powtórzyła drżącym głosem.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy. Potem odgarnął kosmyk z policzka, przesuając przez palce jedwabiste pasma. Gładząc ją po policzku, pochylił głowę i zbliżył wargi do jej ust.

- Czy wiesz, jak bardzo stałaś mi się droga?

Bała się odezwać. Bała się nawet oddychać, by nie zepsuć tej chwili.

- Muszę cię pocałować, Olivio...

Pochylił się i musnął wargami jej usta. Palcami błędził po jej włosach. Zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek z żarliwością, która zaskoczyła ich oboje.

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie. Pod jej sukienką wyczuwał jędrne piersi, napierające na jego tors. Przesunął po nich rękami, pieszcząc miękkie zagłębienia, muskając już zeszywniałe sutki.

Usiłowała się od niego oderwać. Pocałował ją jeszcze namiętniej i pogładził po plecach. Gdy poczuł, że przywiera do niego, opuścił ręce na jej krągłe biodra.

- Quentionie... - Podniosła ku niemu oczy.

- Ciii. Jeszcze chwileczkę.

Całował jej skroń, policzki, czubek nosa. Obcałowywał linię jej ust i kąciki warg, aż Olivia, niezdolna opierać się dłużej, rozchyliła usta i pocałowali się znowu. Z jękiem zwarli się w uścisku pełnym namiętności.

- Panno St. John!

Na dźwięk głosu Liata oboje zastygli.



- Proszę tu szybko przyjść! - wołał chłopiec. - To chyba mój najlepszy rysunek.

- Zaraz... - Olivia z trudem wydobyła z siebie głos. Oddychała tak szybko, że paliło ją w gardle. - Zaraz przyjdę, Liacie.

Spojrzała na Quentona, który przyglądał się jej czujnie. Po chwili w jego oczach zapaliły się iskierki wesołości.

Pochylili ku sobie głowy. Olivia usłyszała stłumiony śmiech. Był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszała.

Jego śmiech był zaraźliwy. Po chwili i ona zaśmiewała się do łez.

Wyjął chusteczkę z kieszeni i przyłożył jej do oczu.

- Kiedy następnym razem ogarnie mnie miłosne uniesienie, pamiętaj, żebyśmy znaleźli bardziej ustronne miejsce.

- Powinniśmy być wdzięczni przynajmniej za osłonę tego drzewa. W przeciwnym razie dalibyśmy służbie temat do plotek.

- Niech sobie plotkują. Uwielbiają to. - Pomógł jej wstać i razem podeszli do chłopca.

Liat wyciągnął rysunek.

- Czy pani zdaniem można to pokazać królowi?

- Oczywiście. - Olivia podała rysunek Quentonowi, który uważnie go obejrzał.

- Świetnie, Liacie - rzekł, zwracając chłopcu jego dzieło. - A teraz chodźmy na herbatę.

Gdy szli ogrodową ścieżką, Olivia czuła w sercu nie znaną przedtem lekkość.

Cóż to za niezwykły dzień! Quenton znowu odezwał się do chłopca po imieniu. Wymyślili też razem sposób, by włączyć Bennetta we wszystkie królewskie zajęcia. A najbardziej niezwykłe było to, że Quenton Stamford wzbudził w niej uczucia, których przedtem nie znała.

Jej serce przepełnione było szczęściem. Wierzyła, że nic nie zdoła go zmaćić. Była tak ufna i spokojna, że nawet przestała obawiać się spotkania z królem.

- Proszę stać spokojnie, panno St. John.

Szwaczka miała na sobie dziwaczny fartuch, którego liczne przepastne kieszenie kryły igły, nici, nożyczki, szpilki. Na łóżku piętrzył się ogromny stos wytwornych tkanin, eleganckich szali, kapturków i piór.

Dwie wiejskie dziewczki biegały po pokoju, dopasowując suknie do kapturków i dodatków.

Olivii polecono stanąć na stołku, a szwaczka upinała tkaniny i mierzyła, wciąż upominając modelkę, by wyprostowała ramiona i przestała się kręcić. Olivia nie potrzebowałaby tych pouczeń, gdyby była sama. Wiedziała jednak, że w pokoju obok czeka Quenton, który chciał obejrzeć każdą suknię, i to napawało ją niepokojem. Nigdy jej ubiorów nie oceniał żaden mężczyzna z wyjątkiem ojca.

- Gotowe, panno St. John. Proszę. - Szwaczka wy-

ciągnęła rękę, by pomóc Olivii zejść ze stołka. - Zobaczymy, co o tym powie lord Stamford.

Olivia poszła za szwaczką do saloniku i stała w milczeniu, podczas gdy kobieta starała się zrobić jak najlepsze wrażenie na bogatym panu okolicznych włości.

- To najpiękniejszy atłas, wasza miłość. Widzi pan, jak mieni się w świetle? A rubinowa czerwień pięknie podkreśla kolor włosów pani. Zrobię do stanika kilka koronkowych wstawek.

Olivia poczuła, że oblewa się rumieńcem, widząc wzrok Quentona. Gdy przypomniała sobie scenę w ogrodzie, jej rumieniec stał się jeszcze mocniejszy.

- I więcej koronki przy rękawach. Pani będzie wyglądała jak królowa, wasza miłość.

- W istocie. - Quenton kiwnął głową. - Co tam jeszcze mamy?

- Za chwileczkę, wasza miłość. - Szwaczka ujęła Oliwię za ramię i poprowadziła z powrotem do sypialni, wykrzykując polecenia dwóm dziewczkom. Po półgodzinie wróciły do saloniku, tym razem prezentując kreację z aksamitu w odcieniu głębokiego błękitu.

Kiedy i ta suknia zyskała aprobatę Quentona, zamówił jeszcze kilka sukien, strój jeździecki, płaszcz podróżny i buciki z najdelikatniejszej jagnięcej skórki, jakie Olivia w życiu miała szczęście przymierzać.

Gdy w końcu szwaczka wychodziła, do jednej z kieszeni swego fartucha wsuwała monety.

- Bez obawy, wasza miłość. Zdamę z robotą na czas.

Wyuczyłam dwie siostrzenice, które pracują razem ze mną. Szyją prosto i równo, zresztą sama osobiście dopatrzę każdego szwu. W razie potrzeby będziemy siedzieć po nocach, żeby tylko suknie pani były gotowe na czas.

- Dziękuję, pani Smeed. Pani Thornton odprowadzi was do drzwi.

Dokładnie w tym momencie wyszła z za rogu gospodyni. Włosy opadały jej na oczy, a czoło pokrywały kropelki potu.

Quenton uśmiechnął się do niej.

- Pani Thornton, może pani odprowadzić panią Smeed do drzwi?

- Oczywiście, milordzie.

Obie kobiety pospieszyły do wyjścia, a za nimi biegły dwie dziewczki z materiałami.

Quenton odwrócił się do Olivii, stojącej w drzwiach swojej sypialni.

- Co mam zrobić z fatałaszkami, które zostawiła pani Smeed? - zapytała.

- Jakimi fatałaszkami?

- Wstążkami, grzebieniami, koronkowymi chusteczkami... no i tym pięknym szalem.

- Są pani, Olivio.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę tego wziąć. Ojciec powiedział mi kiedyś, żebym nie przyjmowała więcej, niż mogę zarobić.

Podszedł do niej i zamknął jej rękę w swoich dłoniach. Zauważył, że drży.

- Zarobiła pani na to wszystko z naddatkiem.  
- Jestem dobrze opłacana i mam wspaniały apartament w pięknym domu. Dlaczego mam przyjmować takie kosztowne rzeczy?

- Bo robienie pani prezentów sprawia mi przyjemność. - Gdy znów zaczęła protestować, dodał szorstko:  
- Przyjmie je pani, bo taka jest moja wola. Do Blackthorne zjeżdża król i chcę, żebyśmy wszyscy wypadli jak najlepiej.

Zobaczył urazę w jej oczach i poczuł do siebie głęboką niechęć. To przecież dla jej własnego dobra, powiedział sobie.

- Jedno mogę obiecać. Gdy król wyjedzie - rzekł łagodniej - nie będzie pani musiała ich nosić. Wybór należy do pani. Zgoda?

Po chwili wahania skinęła głową.

- Doskonale. - Odgarnął jej za ucho niesforny kosmyk i pomyślał, że chciałby ją pocałować. Ale tu, w jej apartamencie, trudno byłoby mu się potem pohamować.

Najrozsądniej będzie wycofać się. I to im szybciej, tym lepiej.

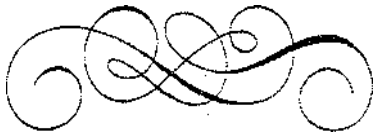
Kiedy wracał do siebie, miał dziwne uczucie, że ktoś go śledzi. Odwrócił się. Korytarz był pusty, ale zauważył jakiś cień, który szybko zniknął.

Rozejrzał się za swoim psem. Gdzie on się podział? Gdy przechodził obok szafki na pościel, usłyszał skrobanie. Kiedy otworzył drzwiczki, z szafki wypadł

ogar. Zajrzawszy do środka, ujrzał resztki baraniego udźca.

- Podkradasz, co, Thor? To poniżej twojej godności. Gdy Kucharcia się zorientuje, przetrzepie ci zad.

Zamknął z powrotem drzwiczki szafki. Przynajmniej dziś wieczorem nie będzie baraniny.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Był pogodny, wspaniały dzień. Gorące słońce wypaliło resztki mgły, którą wiatr nawiał znad morza. Łagodna bryza lekko kołysała listkami drzew.

Dzień w sam raz na przyjazd króla do Blackthorne, pomyślała Olivia, wydając polecenia służącej, która wykądała ubrania Liata i przygotowywała mu kąpiel.

Oddział gwardii królewskiej, niosący królewską chorągiew, przegalopował już przez wioskę i kręty podjazd prowadzący do posiadłości. Gdy tylko król Karol postawi stopę na włościach Blackthorne, flaga zostanie wywieszona, by powiadomić okoliczną ludność o bytności królewskiego gościa.

Ludzie ściągali ze wszystkich pobliskich wiosek. Przybywali w drabiniastych wozach lub piechotą, a potem leżeli pod drzewami lub stali przy drodze, czekając na króla. Wiejskie kobiety sprzedawały przy trakcie ciasta. Minstrele i mimowie zabawiali zebranych w nadziei, że w uznaniu ich kunsztu sięgną do sakiewek. Młode niewiasty flirtowały z przybyszami. Działwa wspinała się na drzewa, wyszukując miejsca, z których najlepiej widać będzie monarchę. W ciżbie uprawiali swą profesję złodzieje kie-

szonkowi. Zebrało się gwarne, rozradowane mrowie ludzkie.

Quenton wyjechał wcześniej rano, by powitać królewski orszak. Późnym popołudniem Bennett i Minerva dołączyli do Olivii i Liata, by wspólnie oglądać powitanie króla z balkonu. Bennett pierwszy zauważył coś w oddali i wskazał swoim towarzyszom, gdzie mają wypatrywać króla.

- Ojej! - Olivia zmrużyła oczy i osłoniła je przed słońcem. - Widzę ich. Spójrz, Liacie. To herb królewskiej gwardii. Widzisz?

- Tak. - Trzymając się barierki balkonu, chłopiec zachłannie wpatrywał się w niezwykle widowisko.

Po wielu dniach gorączkowych przygotowań nareszcie się doczekali.

- Minervo - Olivia odwróciła się do służącej - dopilnujesz, by zniesiono Bennetta na dół?

- Tak, proszę panienki. Stajenny czeka na mój znak.

- Dobrze. A my z Liatem uprzedzimy Pembroke'a i panią Thornton, że królewski gość nadjeżdża.

Wzięła Liata za rękę i oboje pobiegli szukać gospodyni. Znaleźli ją w olbrzymiej izbie kuchennej, gdzie nadzorowała grupę wieśniaczek przysłanych do pomocy kucharce.

- Król jest już w wiosce - oznajmiła Olivia bez tchu.

Pani Thornton odwróciła się do Pembroke'a i zaskrzeczała:

- Musimy natychmiast zgromadzić tych gamoniowa-



tych, kostropatych oberwańców na dziedzińcu, żeby nie przynieść wstydu jego lordowskiej mości.

Pembroke nie stracił swojej zwykłej flegmy.

- Dopilnuję tego, pani Thornton. Ale byłoby dobrze, gdyby pani udała się do swego pokoju i trochę ogarnęła.

- Ogarnęła...?

Wyglądała niczym kot, którego wyciągnięto z wiadra pełnego wody. Jej włosy zbiły się w zlepione potem, sterzące kosmyki. Fartuch, początkowo zawiązany w pasie, zwisał teraz gdzieś między biodrami i kolanami. Na brodzie i policzku bieliły się smużki mąki.

- Z pewnością chce pani jak najlepiej zaprezentować się najjaśniejszemu panu - powiedziała Olivia.

- Ano tak, panienko. - Gospodyni wyglądała na nieco oszołomioną, jakby dopiero zaczynała do niej docierać waga całego wydarzenia. - Ale nie wiem... od czego zacząć.

- Chodźmy. - Olivia położyła jej rękę na ramieniu. - Pomogę pani.

- Naprawdę? - zapytała w oszołomieniu pani Thornton i zwróciła się do Pembroke'a: - Dopilnuje pan służby?

- Dopilnuję, żeby przynieśli zaszczyt jego lordowskiej mości i pani.

- Dziękuję.

Pozwoliła Olivii poprowadzić się do swego pokoju, przylegającego do kuchni. Lśniaca czystością izba zupełnie nie pasowała do jej mieszkanki.

- Proszę. - Olivia poprowadziła gospodynię do krzes-

ła i zabrała się do rozczesywania splątanych kosmyków.  
- Ma pani piękne włosy, pani Thornton - powiedziała po chwili.

- Naprawdę? - zdziwiła się gospodyni.

- Naprawdę. - Olivia zręcznymi ruchami ściągnęła włosy pani Thornton w schludny węzeł, po czym umocniła go grzebieniem. - A teraz fartuch. Ma pani czysty?

- A jakże. - Gospodyni podeszła do małej szafy i wyjęła z niej biały fartuch, obsyty koronką. Wyglądał na nie używany. - Na specjalne okazje - wyjaśniła.

- Jest doskonały. - Olivia nałożyła go gospodyni i zawiązała piękną kokardę.

- Jak się pani sobie podoba? - Podąła jej małe lustro.

- Och! Wyglądam... - Gospodyni uśmiechnęła się nieśmiało. - Wyglądam prawie ładnie.

- Wygląda pani wspaniale, pani Thornton. A teraz biegnę poszukać Liata.

Gdy wychodziła, gospodyni wciąż jeszcze wpatrywała się w swoje odbicie.

W kuchni Olivia chwyciła Liata za rękę.

- Chodź. Chyba już pora, żeby wyjść na przywitanie króla.

Choć nadal się uśmiechała, jej serce biło jak szalone. Nie była pewna, czy potrafi sprostać temu wyzwaniu.

Było to oszałamiające widowisko. Na dziedziniec wtoczyła się biało-złota królewska karetka, zaprzężona w szó-

stkę siwków. Eskortowała ją królewska gwardia, odziana w purpurowe mundury szamerowane złotem. Za nimi jechała reszta królewskiej brygady, w błękitnych mundurach o złotym szamerunku, a potem kilkanaście karet, wiozących królewską świtę.

Żołnierze zsiadli z koni i stanęli na baczność przy ogłuszającym huku trąb. Z tyłu karety zeskoczył lokaj w libeirii i otworzył drzwi.

Quenton wyszedł pierwszy. Rzucił okiem na brata, usadowionego w nowym fotelu na kółkach, i uśmiechnął się do Olivii, trzymającej Liata za rękę. Odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem i poczuła, jak jej serce zaczyna bić w przyspieszonym rytmie. Boże drogi! Czy cała ta pompa i uroczystości doprowadza ją do omdlenia? Nigdy w życiu nie zemdlała. Teraz też tego nie zrobi. Mocniej ścisnęła rączkę Liata i dla uspokojenia zaczerpnęła kilka głębokich oddechów.

Quenton, spojrzawszy na swoją gospodynię i kamerdynera, doznał przyjemnej niespodzianki. Pani Thornton jakimś cudem zdołała poskromić swoje włosy, zmienić fartuch i opanować się na tyle, na ile było to możliwe w tak niezwyklej sytuacji.

Pod bacznym okiem Pembroke'a cała służba Blackthorne, od kucharki i pomywaczki po lokajów i zarządcę stajni, stanęła na trawniku w idealnym porządku.

Trąby umilkły. Zdawało się, że cały zgromadzony tłum wstrzymał oddech. Król wysiadł z karety i rozejrzał się wokół. Wszyscy mężczyźni zdjęli kapelusze, a kobiety przyklęły w głębokim ukłonie.

- Ach, lordzie Stamford. Blackthorne wydaje się jeszcze ładniejsze niż dawniej.

Miał głęboki i dźwięczny głos, z dziwnym zaśpiewem. Olivia wiedziała, że Karol spędził młodość we Francji i w Szkocji. W jego mowie słychać było naleciałości z obu krajów.

Był młody, przystojny i niedawno skończył trzydziestkę. Zuchwale unosił podbródek, a w jego oczach błyskały przekorne iskierki. Ubrany był w czarne aksamitne spodnie i kamizelkę wyszywaną w purpurowe i czarne wzory. Przez ramię przerzucił płaszcz z czarnego aksamitu, przybrany gronostajem. Na głowie nosił kapelusz z szerokim rondem, nasunięty zawadiacko na oko. Wiedząc, jakie wrażenie wywiera na tłumie, przystanął na chwilę, po czym jednym ruchem wrzucił płaszcz i kapelusz do karety.

Gdy odwrócił się i zobaczył Bennetta, podszedł do niego i objął go.

- Wspaniale wyglądasz, Bennecie. Quenton powiedział mi, że w ciągu ostatnich tygodni twój stan uległ ogromnej poprawie. Czy tak jest w istocie?

Bennett, bardzo rad z tego powitania, uśmiechnął się i przytaknął.

Quenton ujął Liata za rękę i podszedł z nim do króla.

- Oto chłopiec, o którym mówiłem waszej królewskiej mości.

- Liat, czy tak? - Król pochylił się, by zajrzeć mu w oczy. - Lord Stamford mówił mi, że lubisz motyle.

- Tak, wasza wysokość. - Niepomny na wszelkie po-

uczenia Olivii, chłopiec wpatrywał się wprost w oczy królowi.

- Może razem natrafimy tu na jakiś rzadki okaz. Ucieszyłbyś się z tego, Liacie?

Chłopiec uśmiechnął się szeroko.

- Tak, wasza królewska mość.

- Doskonale. - Król zerknął ku młodej kobiecie, stojącej tuż za Liatem. - A kim jest to urocze stworzenie?

- Olivia St. John - odparł Quenton. - Guwernantka Liata.

Olivia skłoniła się, pochylając głowę.

- Jaka szkoda, że nasze guwernantki tak nie wyglądały, gdy byliśmy chłopcami, prawda, lordzie Stamford?

- Rzeczywiście, szkoda, wasza wysokość.

- Nasze młode lata byłyby dużo przyjemniejsze, gdyby takie opiekunki jak panna St. John zawiadywały pokojem dziecinnym. Dopilnuj, proszę, by chłopiec i jego guwernantka często z nami wieczerali. - Król uśmiechnął się. - Chyba wolę jej towarzystwo od twojego, przyjacielu.

- Wedle życzenia, wasza królewska mość - odparł Quenton i skłonił głowę.

- Właśnie tego sobie życzę. - Karol przypatrywał się jeszcze przez chwilę Olivii, a potem skierował uwagę na czekającą cierpliwie służbę. - O, widzę twarze znajome z dzieciństwa. - Uśmiechnął się szeroko. - Pembroke?

Kamerdyner skłonił się.

- Witamy w Blackthorne, wasza królewska mość.

- Nie postarzałeś się ani o dzień, odkąd cię ostatnio widziałem. Czy ta urocza kobietka to Gwynnith?

Gospodyni spłonęła rumieńcem aż po szyję i zdobyła się na niezgrabny ukłon.

- Teraz to pani Thornton, wasza wysokość - podszepnął Quenton.

- Więc wyszłaś za mąż, Gwynnith.

- Tak, wasza wysokość. Za londyńczyka, Ruperta Thorntona. - Znowu spłonęła rumieńcem. - Ale żył mniej niż rok.

- Założę się jednak, że umierał jako szczęśliwy człowiek - powiedział król.

Quenton uniósł dłoń, ogarniając tym gestem całą służbę.

- Przedstawiam moje wierne sługi, które dołożą wszelkich starań, by uprzyjemnić pobyt waszej królewskiej mości w Blackthorne.

Mężczyźni zgięli się w pół, kobiety pochyliły się w głębokim ukłonie. Wszyscy mieli wzrok wbity w ziemię, choć kilka osób spojrzało ukradkiem w królewskie oblicze.

- Wiem, że to trudne wyzwanie, ale wierzę, że wszyscy mu sprostacie. - Król uniósł dłoń i z jego świty wystąpili słudzy, trzymający w rękach drewniane klatki. - Przywiozłem parę tłustych kokoszek z mojego wiejskiego majątku i jagniąt ze szkockich gór. To podarek dla Kucharci.

- Wielkie dzięki, wasza królewska mość. - Quenton

dał znak jednemu z wioskowej starszyny, który pokuśtykał ku władcy, podtrzymywany przez syna i córkę. - Ludność naszej skromnej wioski czuje się tak zaszczycona przyjazdem waszej wysokości, że chce ofiarować swemu królowi tę oto złotą szkatułę.

Karol uśmiechnął się szeroko i przemówił do zgromadzonych, wiedząc, że jego słowa będą powtarzane w wiosce i okolicznych miejscowościach.

- Sprawiliście swemu królowi wielką radość. Przyjmuję ten dar w imieniu Boga i ojczyzny.

Wyraźnie wzruszony tym zaszczytem, ocierając łzy, starszy wioski pokuśtykał z powrotem do swych ziomeków.

Król wręczył szkatułę lokajowi i poszedł za Quentonem, który pchał fotel z Bennettem. Pembroke otworzył drzwi i król pierwszy wkroczył do środka.

W drzwiach odwrócił się i pomachał poddanym, którzy zaczęli wznosić entuzjastyczne okrzyki. Król pochylił się i powiedział coś Quentonowi, który z kolei szepnął słówko Pembroke'owi. Kamerdyner natychmiast podszedł do Olivii.

- Jego wysokość życzy sobie, by panienska i chłopiec dołączyli do jego świty - powiedział.

Przez chwilę Olivia wpatrywała się w niego bez słowa, a potem, wciąż oszołomiona, wzięła Liata za rękę i poszła za kamerdynerem.

Tłum zaczął się powoli rozpraszać. Wieśniacy, z wyjątkiem paru osób ze starszyny zaszczyconych zaprosze-

niem na wieczerzę z królem, powracali do swych domostw i pól, przeżywając jeszcze raz każdą chwilę tej doniosłej uroczystości. Służba pospieszyła do wnętrza rezydencji, starając się spełnić najdrobniejsze życzenie dostojnego gościa. Królewska gwardia udała się do stajni. Dopóki król będzie przebywał w Blackthorne, jego żołnierze będą też tu spać, na sianie obok swych wierzchowców.

Królewskiemu lokajowi przydzielono łóżko w którejś z mniejszych komnat.

Kiedy zawarto drzwi, król odwrócił się. Olivia i Liat poszli za nim, nieco oszołomieni wspaniałością ceremoniału.

- W ogóle się pani nie odzywa - wyszeptał Liat.
- Nie. - W istocie, przepych królewskiego orszaku zrobił na niej takie wrażenie, że niemal odjęło jej mowę.
- Dokąd teraz idziemy?
- Nie mam pojęcia. Chyba do jadalni.
- Będziemy wieczerzać z królem?
- Nie mnie o tym decydować. Póki król jest w Blackthorne, wszyscy pod tym dachem muszą spełnić każde jego życzenie.

Idąc w orszaku królewskim, Olivia myślała tylko o jednym: ona, prosta dziewczyna, córka skromnych rodziców, znalazła się twarzą w twarz z królem Karolem II władcą Anglii. W tym dniu i ona stała się częścią historii swego dumnego kraju.



Na cześć króla jadalnię przyozdobiono jeszcze wspólniejszymi draperiami wyszytymi ręcznie przez miejscowe wieśniaczki, przedstawiającymi historię królewskiego rodu. Wyhaftowano na nich postaci ojca obecnego króla, Karola I, matki, Henrietty Marii, z pochodzenia Francuzki, oraz braci i sióstr.

Kobiety, których dziełem były owe hafty, sprowadzono przed oblicze króla, który baczenie przyjrzał się wszystkim podobiznom, po czym bardzo pochwalił zręczne mistrzynie igły.

Były to proste chłopki, które nie znały świata poza własną wioską. Gdy król Karol zwrócił się do nich z łaskawym słowem, czerwieniły się i jękały, a kilka z nich dostało nawet ataku szlochów i trzeba je było wyprowadzić.

Następnie monarchę poprowadzono w asyście do stołu, ustawionego na podium, by widzieli go wszyscy biesiadujący. Królewskie krzesło było bogato zdobione rzeźbieniami, a tył i siedzenie obito aksamitem barwy królewskiej purpury. Za przykazaniem władcy Quenton zasiadł po jego prawej, a Bennett po lewej stronie.

Spostrzegłszy Olivie i Liata w tłumie gości, Karol wskazał na nich palcem.

- Przyrowadźcie do mnie chłopca i guwernantkę.

Olivia ze wszystkich sił starała się powściągnąć emocje, gdy w asyście sług szła do królewskiego stołu. Quenton wstał i wysunął krzesło obok siebie. Nie mając wyboru, musiała je zająć. Oniemiała patrzyła, jak biesiadnicy zasiadają przy innych stołach. Gdy wszyscy zajęli wyzna-

czony miejsca, służba zaczęła roznosić puchary wypełnione specjalnym rodzajem piwa. Rozpoczęto toasty: za zdrowie króla, jego rodziny, za pomyślne panowanie. Każdemu toastowi towarzyszyła długa przemowa. Król znosił to wszystko z pogodnym uśmiechem i iskierką rozbawienia w oku.

Podczas jednego ze szczególnie przedłużających się toastów, wygłaszanych przez miejscowego wójta, Karol pochylił się w stronę Quentona i przesłał uśmiech Liatowi oraz jego guwernantce.

- Dobrze się bawisz, chłopcze? - zapytał.

- Tak, najjaśniejszy panie. - Liat wierzchem dłoni otarł mleczne wąsy. - Zastanawiam się, kiedy przyniosą jedzenie?

Karol puścił do niego oko.

- Dobrze pytanie, chłopcze. Po podróży jestem wygłodniały. A pani, panno St. John? Ma pani apetyt?

- Sama nie wiem, najjaśniejszy panie. Jestem taka przejęta, że aż mi motyl podskakuje.

Karol spojrzał na jej szarfę zawiązaną w talii w motyla, odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się głośno.

- Kolejna miłośniczka motyli. Quentonie - szturchnął łokciem gospodarza - panna St. John jest przeurocza. Muszę ją lepiej poznać.

- Tak, najjaśniejszy panie.

Quenton wiedział, że król przepada za czarującymi młodymi kobietami, toteż jego niefrasobliwy nastrój prysł. Obrzucił wściekłym spojrzeniem wójta w nadziei, że

wzrokiem wymusi szybszy tok przemowy. Ale starzec, dumny ze swego oratorskiego kunsztu i zdecydowany wykorzystać tę rzadką okazję, by popisać się przed królem, wcale nie zamierzał kończyć.

Zdenerwowanie Quentona rosło, a tymczasem król stawał się coraz bardziej jowialny. Znowu przechylił się do Olivii.

- Proszę mi opowiedzieć coś o sobie, panno St. John. Jak długo jest pani guwernantką?

- Tak krótko, że nie ma o czym mówić. Obawiam się, że więcej się uczę od Liata, niż jestem mu w stanie przekazać.

- Ileż skromności... - Karol odwrócił się do gospodarza i widząc jego nachmurzoną minę, z przewrotnym uśmiechem dodał: - Zawsze urzekało mnie połączenie piękna i skromności, prawda, lordzie Stamford?

- Tak, najjaśniejszy panie - odparł krótko Quenton.

- Chcesz coś powiedzieć, lordzie Stamford? Mów śmiało, masz moje pozwolenie.

- Nie, najjaśniejszy panie. - Quenton zacisnął zęby tak mocno, że z trudem wydusił z siebie te słowa.

Król oparł się wygodnie na krześle i uśmiechnął do pompatycznego mówcy, który połowę biesiadników przyprowadził o senność.

Wreszcie, gdy wszyscy nabrali przeświadczenia, że zrobili wystarczające wrażenie na monarsze, mowy dobiegły końca. Pani Thornton przyprowadziła Kucharcię, która wiodła orszak pomocników. Każdy niósł swój specjał ku

głównemu stołowi. Po kolei kłaniali się królowi i podsuwali mu tace. Karol kiwał głową, uśmiechał się i obsypywał ich pochwałami przed wzięciem każdego dania. Obsłużono też innych, siedzących przy tym samym stole. Nikt jednak nie ośmielił się zacząć jeść, póki król nie ugryzł pierwszego kęsa. Skan Anula, przerobiła pona.

Karol pochylił się ku Olivii.

- Co pani mi poleca, panno St. John?

Olivia popatrzyła na swój talerz.

- Wołowina Kucharci jest wyborna, najjaśniejszy panie. Gotuje ją, póki nie odpadnie od kości. I chyba jeszcze łoś. Wieśniacy złowili go dziś rano.

- Moje ulubione dania. - Karol dał Quentonowi kusańca, za co w nagrodę otrzymał kolejne ponure spojrzenie. - Mamy z tą oto panną te same gusta. - Odwrócił się do Benneita i zauważył służącą, która siedziała tuż za nim, pomagając mu nabierać z talerza.

- Cóż to? Czy jest jeszcze ktoś w Blackthorne, kogo mi nie przedstawiono?

Minerva oblała się gorącym rumieńcem, a Bennett ze szczękiem upuścił widelec.

- Najjaśniejszy panie - pospiesznie dopełniał formalności Quenton - to Minerva, dziewczyna ze wsi, która dogadza memu bratu we wszystkim.

- Dogadza mu we wszystkim... - Karol zamilkł na chwilę. - Jakże szlachetnie z jej strony - dodał, przenosząc wzrok od Benneita do dziewczyny. - Zawsze uważałem, że rude włosy są oznaką płomiennego serca.

Nieszczęsna służąca oblała się jeszcze gorętszym rumieńcem.

- Tak, najjaśniejszy panie. - Quenton chciał oszczędzić dziewczynie dalszych dociekań. - Minerva ma gorące i czułe serce.

- Więc urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą, Bennecie. - Karol rzucił Quentonowi spojrzenie spod oka. - Może będę musiał skorzystać z mego prawa do dzielenia się szczęściem mych lojalnych poddanych.

Quenton pograżył się w milczeniu. Olivia zauważyła, że prawie nie tknął potraw. I to jakich potraw! Po mięsie i rybie podano pieczone ptactwo, a potem wniesiono miski sezonowych warzyw i klarowanego rosółu. Służba krążyła wokół stołu z ogromnymi talerzami chleba i bułek. Puchary co chwila napełniano miodem lub piwem. Gdy podano ciasta z owocami i ciastka z rodzynkami nasączonymi koniakiem, większość biesiadników miała już wypchane brzuchy.

Mały Liat z ogromnym trudem starał się siedzieć spokojnie i zachowywać tak jak pozostali goście. Gdy sok z mięsa trysnął mu na gors białej koszuli, pośpiesznie wytarł go ręką, rozmazując go jeszcze bardziej. Wyglądał, jakby się pokrwawił.

W tym właśnie momencie Olivia pograżona była w ożywionej rozmowie z królem.

- Trudno byłoby mi porównywać Oksford z Londynem, najjaśniejszy panie. W Londynie spędziłam bardzo niewiele czasu, ale...

- W takim razie musimy to naprawić, panno St. John. Może rozkażę, by towarzyszyła mi pani w drodze powrotnej do Londynu. W ten sposób będzie pani mogła dokonać porównań.

Siedzący obok dziewczyny Quenton zeszywniał. Rzucił królowi spojrzenie spode łba, po czym odwrócił głowę w stronę Olivii. Ze zdziwieniem zauważyła, że minę ma coraz bardziej ponurą. Pomyślała, że najwyraźniej nie tylko ją zawodzą nerwy z powodu wizyty królewskiego gościa.

- Niezbyt lubię Londyn, naj... - Urwała, słysząc oburzone syknięcie Quentona. Idąc za jego spojrzeniem, dostrzegła powód tej dezaprobaty. - O Boże! Proszę mi wybaczyć, najjaśniejszy panie. Zanedbuję swoje obowiązki.

Liat rozlał mleko, które teraz skapywało ze stołu, brudząc spodenki chłopca.

Olivia zerwała się na nogi i zaczęła wycierać białą kałużę, co tylko pogorszyło sytuację. Mleko płynęło strużkami po stole, grożąc, że poleje się na kolana królowi.

Zaniepokojony Quenton skinął na służącego, który pośpieszył z całym naręczem ścierek, by doprowadzić stół do porządku.

- Proszę mi wybaczyć, najjaśniejszy panie. To jeszcze mały chłopiec i...

Widząc jej konsternację, król powiedział:

- Nic się nie stało, panno St. John. Pewnie już za długo siedzi przy stole. Chyba powinna go pani odprowadzić do pokoju.

- Musiałabym pogwałcić protokół, najjaśniejszy panie.
- W takim razie rozkazuję pani, panno St. John, by zostawiła nas pani i zabrała chłopca.

- Słucham, wasza królewska mość.

Przesłała mu uśmiech pełen wdzięczności i wzięła na rękę umorusanego Liata. Zarzucił jej rączki na szyję i obdarzył wszystkich gości uśmiechem cherubinka.

- Dobranoc, chłopcze - rzekł król.

- Dobranoc, najjaśniejszy panie. Przepraszam za mleko.

- Nic nie szkodzi, chłopcze. Nic się nie stało. Dobranoc, panno St. John - dodał ze śmiechem Karol.

Odwróciła się, złożyła ukłon tak głęboki, jak tylko potrafiła, po czym wyszła z jadalni.

Król odprowadzał ją wzrokiem, póki nie znikła, wiedząc, że siedzący obok mężczyzna również na nią patrzy.

- Piękny tworzą razem obrazek, nieprawdaż, lordzie Stamford? - zagadnął, a widząc, że mina Quentona staje się coraz bardziej ponura, wybuchnął gromkim śmiechem.

- Tak się cieszę, że znalazłem się w Blackthorne. Jestem pewien, że mój pobyt będzie niezwykle... urozmaicony.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nieumyślnie rozlałem mleko. - Liat podskakiwał, wciąż podekscytowany.

- To się rozumie.

- Jadłem z królem Anglii, prawda?

Olivia uśmiechnęła się.

- W rzeczy samej.

- Czy był kiedyś małym chłopcem?

- Z całą pewnością - odparła, choć absolutnie nie mogła wyobrazić sobie niczego podobnego.

- Myśli pani, że rozlał kiedyś mleko?

- Bardzo możliwe. - Otworzyła drzwi do ich apartamentów i weszła za podopiecznym.

Podbiegł do okna i wspiął się na swój kufer, by wyrzeć w gęstniejącą ciemność.

- Wczoraj, gdy piła pani w kuchni herbatę ze służącymi, zwiedzaliśmy wraz z Thorem oborę.

- Przyjemnie jest zwiedzać, prawda?

- O, tak, proszę pani. - Odwrócił się i patrzył, jak wyciąga jego nocną koszulę. - Zwiedzałem też komnaty w Blackthorne. Czy pani wie, że lord ma wielki pokój, cały wypełniony zakurzonymi księgami?



Przytaknęła i skinęła na chłopca, by podszedł do niej.

- To biblioteka. Bardzo ważny pokój - tłumaczyła, ściągając mu zaplamioną koszulę. - Tam spędza większość czasu, przeglądając rejestry.

- Co to są rejestry? - Znowu przebiegł przez pokój, wskoczył na kufer i zatopił wzrok w mroku.

- Księgi, w których są rachunki z wszystkich jego dóbr. - Odwróciła się i nalała wody do miski, po czym po-grzebała w bieliźniarce w poszukiwaniu miękkiej ściereczki do delikatnej buzi chłopca. - A teraz, Liacie, umyję cię i przygotuję do pójścia spać.

- Jakich dóbr?

- To gospodarstwa, domy, całe wioski i hrabstwa, wchodzące w skład rodzinnego majątku - tłumaczyła, myjąc mu twarz, ręce i wilgotną od mleka pierś. - Lord Stamford musi dopilnować, żeby oddano mu odpowiednią część wszystkiego, co się sieje czy hoduje na jego ziemiach jako zapłatę za użytkowanie gruntów.

- Musi być bardzo bogaty.

- Chyba tak. - Wzruszyła ramionami. - Ma też liczne zobowiązania. Jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo i pomyślność całej ludności zamieszkującej jego ziemię. W razie nieurodzaju musi zadbać, by ludzie i ich trzoda mieli co jeść. Jeżeli poluje, musi dopilnować, by część ubitej zwierzyny oddano chłopom. A gdy ktoś z jego dóbr zachoruje, zapewnia mu opiekę.

Oczy chłopca zrobiły się okrągłe.

- To tak jak król.

- Chyba tak. - Wzięła jego nocną koszulę, odwróciła się i zorientowała, że chłopiec znikł. - Liacie...?

Rozejrzała się po pustym pokoju, po czym przeszła do saloniku. Ale on też był pusty. Zdziwiona, poszła do własnych apartamentów, myśląc, że może mały chciał sobie coś stamtąd przynieść. Tam również go nie znalazła.

Drzwi prowadzące na korytarz były otwarte. Wyjrzała na zewnątrz.

- Liacie, wracaj natychmiast, dosyć tych żartów.

Korytarz był jednak pusty. Pospieszyła do schodów. Gdy stanęła na ich szczycie, zdążyła dostrzec, jak znika w bibliotece. Wciąż ściskając w rękę jego nocną koszulę, pobiegła za nim.

I pomyśleć tylko, że gdy tu przybyła, obawiała się, że już nigdy nie wyciągnie tego chłopca z jego pokoju.

Gdy weszła do biblioteki, zobaczyła, że mały obejmuje Thora za szyję. Pies aż dygotał z radości, że ma wreszcie towarzystwo po dłuższym wygnaniu.

- Przyjaźnimy się z Thorem - wyjaśnił Liat ze śmiechem.

- Dobrze jest mieć przyjaciela - przyznała Olivia. Podrapała psa za uszami, po czym potrząsnęła koszulą nocną. - A teraz, kawalerze, najwyższa pora, byś to włożył i powiedział swojemu druhowi dobranoc.

Kiedy wciągała mu ją przez głowę, usłyszeli czyjeś zbliżające się kroki.

- Dobry Boże... Nie powinniśmy byli tu wchodzić.

- Proszę pójść ze mną. - Liat złapał ją za rękę i po-

ciągnął w kierunku szafy. - Ukryjemy się tu, dopóki nie odejdą.

Zanim zdążyła zaprotestować, otworzył drzwi. Nie miała czasu zastanawiać się, czy postępuje rozsądnie. I choć nigdy w życiu nie zrobiła niczego podobnego, weszła tam na czworakach, wzięła Liata na kolana i zamknęła szafę.

Zaproszono wiejskich grajków, by zaprezentowali swój kunszt przed królem. Podczas ich przydługiego występu Karol uśmiechał się i klaskał uprzejmie. Gdy w końcu machnął ręką na znak, że stracił zainteresowanie muzyką, Quenton odetchnął z ulgą. Może teraz ten ciągnący się niemiłosiernie wieczór dobiegnie wreszcie końca.

- Czy wasza królewska mość nie pragnęłaby odejść do swoich pokoi?

- Chciałbyś tego, co, lordzie Stamford? - zapytał Karol z szelmowskim uśmieszkiem.

- Chodzi mi tylko o wygodę waszej królewskiej mości - odparł Quenton, ścisząc głos, by ich rozmowy nie usłyszała służba.

- Miło mi to słyszeć. Wobec tego idziemy. Weź ze sobą brata. - Karol wstał i natychmiast wszyscy w jadalni podnieśli się na nogi.

Lekko skłaniając głowę, król obdarzył zgromadzonych łaskawym uśmiechem, po czym ruszył do drzwi. Gdy wyszli na korytarz, podążył szybko naprzód.

- Jeśli dobrze pamiętam, biblioteka twego dziadka to w tę stronę?

- Biblioteka...?

- Właśnie. Przez cały dzień wyczekiwałem chwili, gdy znajdę się w prywatnym apartamencie, usiądę w wygodnym fotelu i wychylę szklanę piwa, nie czując na sobie dziesiątków oczu, które śledzą każdy mój ruch.

Kiedy weszli do pokoju, Thor, kręcący się koło szafy, podskoczył do swego pana. Pozwolił też pogłaskać się królowi. Po chwili wniesiono Bennetta.

- Masz coś do picia? - zapytał Karol, rozglądając się wokół.

Na znak Quentona Pembroke, który im cały czas towarzyszył, pospiesznie wyszedł i niebawem powrócił z tacą, na której stał dzban piwa i kilka wysokich szklanek. Rozlał trunek, po czym dyskretnie wyszedł.

Gdy zostali sami, zniknęły wszelkie pozory ceremoniału.

- Cóż, stary przyjacielu, właśnie o tym marzyłem. - Król poklepał Quentona po plecach. Zdjął brokatową kamizelkę i podwinął bufiaste rękawy koszuli. Quenton uczynił to samo, po czym podał królowi szklanę.

Karol, pociągnąwszy kilka długich łyków piwa, wydał z siebie westchnienie ulgi.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że dotarłem wreszcie do Blackthorne. Podczas całej tej przekłętej podróży ledwo mogliśmy jechać, takie tłumy bez przerwy otaczały karecę. Torowaliśmy sobie drogę z trudem.

- Poddani kochają waszą królewską mość. - Quenton przysiadł na brzegu biurka.

- Mam nadzieję, że tak jest w istocie. Czasami sięgam myślą do naszych chłopięcych lat. Wtedy wszystko wydawało się o wiele prostsze.

- Bo i było - roześmiał się Quenton. - O ile pamiętam, zaprzataliśmy sobie głowy tylko tym, jak przechrzyć opiekunów. Teraz jesteśmy dorośli i nam powierzono troskę o innych. Musimy sobie radzić z dorosłymi kłopotami.

Karol usadowił się wygodnie w przepastnym fotelu i rozpiął górne guziki koszuli.

- Problemy na miarę człowieka, a w moim przypadku na miarę królestwa. Czy macie pojęcie, jak trudno mi przebrnąć przez te pompy i parady, od których nie mam ani chwili wytchnienia?

Quenton rzucił spojrzenie bratu i obaj uśmiechnęli się.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Zapominasz, że znamy się od dziecka. Teraz się na to uskarżasz, ale kiedy byłeś chłopcem, powiedziałeś, że zabijesz każdego, kto stanie ci na drodze do tronu.

- Tak mi się tylko powiedziało. Jestem prawym dziedźcem. Tron przypada mi z racji urodzenia, choć rzeczywiście musiałem długo czekać, by nań wstąpić.

- Właśnie. A teraz chcesz, byśmy się nad tobą użalali, bo musisz znieść trochę pompy i parady?

Karol wybuchnął głębokim, dźwięcznym śmiechem.

- Gdybyście byli prawdziwymi przyjaciółmi, pozwolilibyście mi się jeszcze trochę poużalać nad sobą.

- Jeśli chcesz łać łyzy, lej je nad biednymi wieśniakami,

którzy zimą będą musieli się obyć bez ciepłych okryć, żeby napełnić złotem twoją szkatułę.

- Sam powiedziałaś, że mój lud mnie kocha. A ja kocham mój lud.

- Ponieważ obdarowuje cię złotem, łatwo go kochać - zaśmiał się Quenton.

- Bennecie, twój brat stał się zjadliwy.

Bennett uśmiechnął się. Quenton uniósł dzban, by dolać mu piwa.

- Ja też się jeszcze napiję. - Karol wyciągnął swoją szklankę. Kiedy Quenton ją napełnił, posmakował i uśmiechnął się. - Widzę, że w Blackthorne nadal warzą najlepsze piwa. Pamiętacie, jak ukryliśmy się w tej szafie? - Wskazał na stojący przy ścianie mebel, przy którym znowu krążył, Thor.

Quenton usadowił się w fotelu naprzeciwko króla.

- Tak... czekaliśmy, aż dziadek zejdzie ze schodów, a potem dobraliśmy się do jego whisky.

- Albo to była bardzo mocna whisky, albo mieliśmy słabe głowy. Musiałem pomóc wam położyć się do łóżek.

- Chyba pamięć trochę cię zawodzi - powiedział Quenton z powątpiewaniem. - Pewnie to oznaka twojego podeszłego wieku. To ja pomogłem ci się położyć.

- No, może - przyznał Karol. - Ale najpierw zniosłem biednego Bennetta po schodach i trzymałem go za głowę, kiedy użył grządkę warzywne Kucharci.

Król opróżnił swoją szklankę i sięgnął po dzban.

- Pamiętasz, jak się przeżywaliśmy? Ja byłem Mrozkim.

- Bo zawsze byłeś zimny - mruknął Quenton.

- Nie. Nazywaliście mnie tak, ponieważ już wtedy doskonale opanowałem sztukę rzucania mrozących spojrzeń, od których ciarki przechodziły nawet dorosłych ludzi. Nie zaprzeczaj. Wiesz, że to prawda.

- Być może. Ale nadał obstaję przy tym, że byłeś też zimny. - Quenton spojrział na brata. - Bennecie, ty byłeś Dwidziusem, choć nienawidziłeś tego przezwiska. Pewnie dlatego w młodości byłeś taki bojowy. Nie znałem bardziej wojowniczego chłopaka.

Bennett wydawał się niezmiernie zadowolony z tego opisu.

Król odwrócił się do Quentona.

- A ty we wszystkich naszych zabawach zawsze byłeś Q, szpiegiem na usługach Korony. - Obaj zaśmiali się, po czym król zwrócił się do Bennetta: - Czy wiesz, że twój brat miał szansę przeżyć swoje rojenia w rzeczywistości?

Widząc uniesione brwi Bennetta, Karol wyjaśnił:

- Gdy Q wypłynął na morza, ruszał z moim błogosławieństwem. I oddał swojej ojczyźnie ogromne usługi. Zyskał sławę nieustraszonego kapitana korsarskiego brygu, pilnującego, aby angielskie statki żeglowały bezpiecznie. Nikt w Anglii nie wie, że wysyłał też do mnie zaszyfrowane wieści, żeby nasze okręty wojenne wiedziały, dokąd udaje się nieprzyjaciel.

Widząc zdumioną minę Bennetta, roześmiał się zadowolony.

- Nie wiedziałeś? No, no, Quenton, ty szczwany lisie. Nie zwierzyłeś się nawet bratu?

Quenton wpatrzył się w swoją szklanę.

- Przyzwyczajenie staje się dragą naturą. Tak przywykłem pracować w pojedynkę, w sekrecie, że już nie umiem z nikim dzielić się swoim życiem.

- W takim razie dobrze, że tu do was zjechałem. Teraz będziemy robić wszystko wspólnie, jak wtedy, gdy byliśmy chłopcami. Polować, jeździć konno, uganiać się za dziewczkami, grać w różne gry. Chcę się dobrze zabawić w Blackthorne. I kiedy jesteśmy we trzech, nie nazywajcie mnie najjaśniejszym panem. Mówcie do mnie Mrozek. A wy jeszcze raz będziecie Dzidziusiem i Q.

Trzej mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. Czuli się w swoim towarzystwie tak dobrze i swojsko, jakby nigdy się nie rozstawali.

Olivia była oszołomiona zasłyszanymi rewelacjami. Wstydziała się podsłuchiwać tak szczerą rozmowę, ale nie widziała wyjścia z tej krepującej sytuacji. Gdyby się ukazała wywołałaby gniew króla. Poza tym zostałaby natychmiast zwolniona z posady guwernantki i w niełasce odesłana do Londynu.

Energia Liata wyczerpała się i chłopczyk usnął na jej rękach. Musiała tkwić w wyładowanej, dusznej szafie ze zgiętymi kolanami, sztywno wyprostowana. Już od dawna nie czuła ramion.



Nerwy również miała napięte do granic wytrzymałości. Zaczynała już myśleć, że lepiej, by ją złapano, niż żeby miała spędzić tu jeszcze choćby minutę.

- Wygnanie we Francji wspominam jako ciężki okres - mówił Karol. - Krajem rządził Cromwell i wszyscy mówili, że monarchia angielska nie jest żadną monarchią.

Świece skapywały w kałużach wosku. Trzej przyjaciele skończyli już pić piwo i zdążyli opróżnić kilka karafek przedniej whisky.

- Byłem w Holandii - powiedział Karol z urywanym śmiechem. - Wyobraźcie sobie, że akurat grałem w tenisa, kiedy przyniesiono mi wieść, że Cromwell nie żyje. Padłem na kolana z wdzięczności, że kata mego ojca spotkał wreszcie zasłużony los.

- Musiałeś być zdruzgotany, gdy się dowiedziałeś, że wyznaczył syna na swego następcę.

- Początkowo tak, ale z wieści, jakie otrzymywałem, wynikało, że Richard jest słabeuszem. W istocie rządził zza grobu jego ojciec. Wiedziałem, że prędzej czy później odbędzie się mój triumfalny powrót. - Wpatrzył się w zamysleniu w szklanekę z trunkiem. - Jednak mój triumf był krótkotrwały. Przekonałem się, że rządzenie to nie tylko zdobywanie względów poddanych. Z tym nie mam kłopotów. Zdobyć poparcia parlamentu to już zupełnie inna sprawa.

- Masz wielu przyjaciół w parlamencie, Mrozku.

- Tak. I potężną grupę wrogów. Tych, którzy nienawidzili mojego ojca i nienawidzą mnie za to, że jestem jego synem. Oskarżają mnie, że pustoszę skarbiec.

Quenton przyjrzał się uważnie swemu królewskiemu przyjacielowi.

- Masz kłopoty?

Karol wzruszył ramionami.

- Finanse Anglii są w opłakanym stanie. Parlament nie zebrał nawet połowy podatku.

- Co zrobisz? - zapytał Quenton i dołął królowi trunku.

Karol wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Może powinienem objechać wszystkie wioski, pozwalając, by złożyli mi hołd w postaci szkatuły złota?

Quenton i Bennett wymienili uśmiechy.

- Biorąc pod uwagę, ile trudu kosztowało zebranie go tutaj, wątpię, czy chciałbyś powtarzać to w całej Anglii. Nawet gdybyś w nagrodę otrzymał złoto.

Karol pokręcił głową.

- Musi być jakiś sposób. Zwróciło się do mnie dwóch bardzo wpływowych ludzi, ale nie mam do nich zbytniego zaufania. Chodzą słuchy, że łączyły ich bliskie więzi z Cromwellem. Niektórzy uważają, że był to z ich strony wybieg, by utrzymać majątki. Jednak niezależnie od powiązań politycznych, są niezwykle bogaci. Zaproponowali mi część swych dochodów w zamian za... pewne przyśługi polityczne.

- Jakiego rodzaju?

Karol zatrzymał się i ujął w dłoń rączkę laski stojącej w rogu pokoju, jakby sprawdzając jej wytrzymałość.

- Pamiętam, że używał jej twój dziadek. Nie tylko do spacerów, ale spuszczał nam nią także lanie, gdy stawaliśmy się zbyt zuchwali.

Quenton zaśmiał się na to wspomnienie, ale rozbawiło go również zachowanie przyjaciela, który wyraźnie unikał drażliwego tematu.

- Jakie polityczne przysługi?

- Ojca interesuje tytuł i posiadłości. Syn pragnie tylko zostać przyjęty do mojego ścisłego kręgu, może jako doradca lub członek wielkiej rady.

- To mu daje dostęp do tajemnic państwowych, przyjacielu.

- A mnie pieniądze, żebym mógł przeciągnąć parlament na swoją stronę. Powodem upadku mojego ojca była wojna, a raczej brak funduszy na jej prowadzenie. Nie mogę popełnić tego samego błędu.

Quenton podszedł do niego i objął go ramieniem.

- Nie rób niczego pochopnie. Może mógłbym się poprosić i dowiedzieć co nieco o tej rodzinie i jej majątku.

Na usta króla natychmiast wypłynął uśmiech.

- Przemawia przez ciebie stary Q, prawda?

- Jak powiedziałem, przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Zdradź mi ich nazwiska, a ja postaram się uzyskać o nich jakieś informacje.

Król rozważał to przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Zastanowię się nad tym jeszcze. Może poznasz ich pod koniec tygodnia.

- A gdzie, jeśli wolno zapytać?

- Tu, w Blackthorne. Nie wspomniałem ci, że zamierzam wydać w twoim zamku bal z okazji spotkania z dobrymi przyjaciółmi?

Quenton potrząsnął głową.

- Doprowadzisz moją gospodynię do obłądu.

- Bzdura. Na pewno z przyjemnością weźmie na swoje barki ciężar przygotowania balu dla króla. - Karol spojrział zaniepokojony na psa, gdyż Thor znów zerwał się i zaczął węszyć wokół szafy. - Chyba masz tu jakiegoś gryzonia, Q. Otwórz drzwi i pozwól psu go złapać.

Quenton przeszedł przez pokój.

- O co chodzi, staruszkule? Myszka? W takim razie zapoluj sobie.

Gdy otworzył drzwi, Thor natychmiast wskoczył do środka, machając ogonem. Trzej mężczyźni zastygli z otwartymi ustami.

Olivia sztywno podniosła się na nogi i wyszła z szafy, trzymając śpiącego Liata w ramionach.

- Co do... - Przez chwilę wydawało się, że Quenton postradał głos. Potem zażądał przez zaciśnięte zęby: - Panno St. John, proszę się natychmiast wytłumaczyć.

- Tak, wasza lordowska mość. - Zerknęła na króla, który wpatrywał się w nią z rozbawieniem. - Kładłam Liata spać, gdy nagle... wymknął się. Pobiegłam za nim aż tutaj, a kiedy wychodziliśmy, usłyszeliśmy kroki i...

- I pomyślała pani, że wskoczy do szafy i będzie nas szpiegować?

- To nie było tak... wcale nie mieliśmy zamiaru szpiegować. Po prostu...

Liat obudził się. Potarł oczy, rozejrzał się, a potem uśmiechnął.

- Dobry wieczór, wasza królewska mość. Pobiegłem tu, żeby powiedzieć Thorowi dobranoc. A gdy usłyszeliśmy, że ktoś nadchodzi, wciągnąłem pannę St. John do mojej nowej kryjówki. Czy nie jest wspaniała?

Król odwzajemnił uśmiech chłopca.

- Owszem. Sam się tu parę razy ukryłem.

- Naprawdę? - Oczy Liata zrobiły się okrągłe. - I zła-pali kiedyś waszą królewską mość?

- Dziadek lorda Stamforda raz nas tu znalazł. Potem nie mogliśmy siedzieć przez tydzień.

Liat spojrział na Quentona.

- Ma pan zamiar spuścić nam lanie?

- Powiniennem. - Gdyby nie był tak zły, myśl o wymierzeniu paru razów w tyłeczek guwernantki mogłaby być pociągająca. Jednak w tej chwili pragnął przede wszystkim jak najszybciej pozbyć się tej kłopotliwej pary.

- Proszę iść do swego pokoju, panno St. John.

- Tak, wasza lordowska mość.

- I tym razem proszę nie robić żadnych przystanków po drodze - dodał Quenton.

Gdy wychodziła, chłopiec, uczepony u jej szyi, obdarzył ich radosnym uśmiechem.

- Dobranoc, Liacie! - zawołał król.
- Dobranoc, najjaśniejszy panie.

Zaczekali, aż drzwi się zamkną i kroki Olivii ucichną. Przez kilka minut panowała kompletna cisza. Potem wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem.

- Nie ma co, ładną masz tu gromadkę, Q. Nalej mi jeszcze. Wypijmy za nasze dorosłe obowiązki. Taki jestem szczęśliwy z przyjazdu tutaj. Zawsze uwielbiałem Kornwalię, choć większość jej mieszkańców nawet nie uważa się za Anglików.

Quenton z trudem powstrzymał uśmiech, słysząc bełkotliwy głos króla.

- Zgadza się. To ludzie niezależnego ducha. Proponuję, żeby debatę na temat życia na tym wspaniałym pustkowiu przełożyć na inną porę. Chodźmy już spać, bo nie będziemy mieli sił do tych wszystkich polowań, jazdy konnej, tańców i uganiania się za dziewczkami, jak to sobie umyśliłeś.

- Skoro mowa o dziewczkach... - Król opadł na wysokie krzesło za biurkiem. - Widziałem, jak robicie do siebie słodkie oczy z tą śliczną małą guwernantką.

Quenton wolał umknąć dyskusji na ten temat. Odstawił szklankę na krawędź kominka i oparł rękę na jej wypolerowanej powierzchni.

- Nie wiem, o czym mówisz.
- Nie mam do ciebie o to pretensji, Q. Gdyby tak święte i niewinne stworzenie mieszkało ze mną pod jednym dachem, też zawróciłoby mi w głowie. Postaraj się jednak ukrywać swoje uczucia.

- Ukrywam je bardzo dobrze, dziękuję.

Gdy tylko te słowa wyszły z jego ust, uświadomił sobie, co właściwie powiedział. Król odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Bennett, który już przysypiał, ocknął się i spojrzał na nich.

- Ty też, Dzidziusiu - król wyciągnął dziadkową laskę w kierunku młodego przyjaciela - nikogo nie zwieziesz udawaniem cherlaka. - Widząc zdziwioną minę Bennetta, dodał: - Przez całą noc bez kłopotu podnosiłeś szklanekę, a pozwalasz, by ta śliczna wieśniaczka karmiła cię jak bezradne dziecko i dogadzała ci we wszystkim. Założę się, że wiem, w czym ci najlepiej dogadza...

Oczy Bennetta pociemniały. Wydobył z siebie dźwięk pełen niesmaku.

- Aha, widzę, że dotknąłem czułej struny. - Karol podniósł się z krzesła i zaczął siec powietrze laską. - Co powiecie na mały zakład, przyjaciele, by uczynić mój pobyt tutaj jeszcze ciekawszym?

Quenton zerknął na Bennetta, a potem na króla.

- Jaki zakład?

- Stawiam po tysiąc funtów, że obaj jeszcze przed moim wyjazdem wyjawicie swoje uczucia wymienionym damom.

Bracia wymienili spojrzenia. Quenton uśmiechnął się.

- Przyjmujemy ten zakład, Mrozku. Tysiąc funtów na każdego. Właściwie możesz nam od razu zapłacić. Po prostu wyjmij je ze szkatuły od wieśniaków.

- To ja miałem zaproponować, żebyście zapłacili z góry. Łatwiej wam to przyjdzie niż druga możliwość.

- Jaka droga możliwość?

- Ach, widzę, że zapomniałem powiedzieć o dalszej części zakładu. - Karol dźgnął Quentona laską w ramię.

- Jeżeli nie oświadczyicie, że obie panie pozostają pod waszą... szczególną opieką, nakażę tym dwóm ślicznotkom, żeby jechały ze mną do Londynu. Gdzie, jak dobrze wiecie, natychmiast rzuca się na nie te straszące piórka, dworskie koguty.

Cisnął laskę przez pokój i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy wylądowała w stojaku w rogu. Potem zarzucił Quentonowi rękę na plecy.

- Q, mój wierny szpiegu, zabierz swego króla do jego komnat. I połóż go do królewskiego łóżka. Taki jest królewski rozkaz.

Quenton i król, potykając się, chwiejnym krokiem pięli się po schodach, taszcząc między sobą Bennetta. Gdy wreszcie powierzyli go czulej opiece Minery, spał już smacznie.

Z królem nie poszło tak łatwo. Z pijackim uporem ciągnął przyjaciela do swych komnat na jeszcze jedną szklanczkę. Usnął jednak, nim zdążył pociągnąć więcej niż łyk. Quenton zostawił króla rozciągniętego w ubraniu na łóżku. Śpiący w przyległej komnacie lokaj na własnej skórze odczuje jutro skutki królewskiego gniewu.

Quenton zatrzymał się, przechodząc obok apartamentu



Olivii. Wizja dziewczyny spoczywającej w wielkim, miękkim łóżu stanowiła zbyt wielką pokusę, by minąć te drzwi. Uchylił je. Pies szedł przy jego nodze.

Potyając się, podszedł do łóżka i wbił wzrok w śpiącą Olivię.

Ciemne włosy, rozrzucone na poduszce, okalały twarz, która zawsze zachwycała go swą słodyczą. Widząc miarowo falującą pierś dziewczyny, poczuł nagły przypływ pożądania.

Nagle przypomniał sobie królewski zakład. Do diabła, nikt go nie zmusi, żeby publicznie wyjawiał swe zamiary. Tym bardziej że sam nie miał pojęcia, jakie są jego zamiary. Czy czuje do tej dziewczyny miłość i podziw dla jej niezależnego ducha, czy to tylko zwykła żądza?

Zacisnął pięści. Jakie to ma znaczenie? Pożądał i kochał już przedtem. I cóż z tego ma prócz złamanego serca i rozwianych marzeń? W rodzie Stamfordów jakimś zrządem losu wszystkie marzenia przeradzają się w koszmary.

- Do diabła, Mrozku - wymamrotał.

- Kto tu? - Rozespana Olivia odgarnęła kosmyki z oczu. Kiedy zobaczyła sylwetki mężczyzny i zwierzęcia, cofnęła się i krzyknęła. Potem, poznając Quentona, przykryła usta ręką. - Skąd się pan tu... Co pan tu robi?

Czując się dość głupio, postanowił pokryć to brawurą.

- Patrzę na ciebie. I muszę powiedzieć, że to bardzo ładny widok.

- Przyszedł pan w sprawie tego incydentu w bibliotece?

- Skądże. O całym tym incy... indy... o tej historii już zapomniałem.

Uklęła na środku łóżka. Jej oczy pociemniały jak burzowe chmury.

- Pan jest pijany.

- Owszem. Jestem. No i co z tego?

- Będę wdzięczna, jeśli opuści pan moją sypialnię.

Uśmiechnął się krzywo i oświadczył:

- Będiesz mi dużo wdzięczniejsza, jeśli zostanę.

- Och! - Wyskoczyła z łóżka i przeszła przez pokój. Thor łąsił się do niej.

- Dokąd idziesz?

- Zaprowadzę pana do pańskiego łóżka.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Grzeczna dziewczynka. Nie sądziłem, że pójdzie to aż tak gładko. - Leniwie zarzucił jej rękę na plecy.

Odepchnęła ją i przeszła przez salonik na korytarz, cicho zamykając drzwi. Za nic na świecie nie chciała, by ktokolwiek ją usłyszał. Rano cały dwór wrzałby od plotek.

Quenton wyszedł za nią z zadowolonym uśmiechem, znów zarzucił jej rękę na ramiona i ciężko się o nią oparł. Niemal ją przygniatając swoim ciężarem, zbliżył twarz do jej policzka.

- Chyba powinienem był cię poprosić o to już wiele tygodni wcześniej.

- O co poprosić?

- Żebyś przyszła do mnie do łóżka. Gdybym wiedział, że będziesz taka zgodna... - Przystanął i skubnął wargami jej kark.

- Proszę przestać, - Wymierzyła mu policzek. - Musimy się dostać do pańskiego pokoju.

- Aha, rozumiem. Spiesz ci się. W takim razie... - Spróbował iść szybciej, ale zatoczył się na ścianę, pociągając Olivię za sobą.

Zaklął przez zęby, rozprostował ramiona i ruszył do przodu. Zatrzymali się przed drzwiami jego pokoju, przy których stał Thor z wywieszonym językiem.

- Jesteśmy, ślicznotko - wybełkotał.

Gdy przystanęła, by łokciem otworzyć drzwi, przyciągnął ją do siebie i przycisnął wargi do jej ucha.

- Och, mam ci co pokazać - szepnął, zamykając ją w objęciach. - Pokażę ci niewiarygodne skarby, królowo mego serca. Ogród rozkoszy.

Olivia znieruchomiała, ale po chwili uwolniła się z jego ramion i zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi.

- Proszę, wasza lordowska mość. - Gestem wskazała mu łóżko.

- Bardzo chętnie. Nie mogę się doczekać, żeby pić nektar twoich ust.

- Chyba wypił pan dość nektaru jak na jedną noc.

Przystanęła przed łóżkiem i gdy ogar zwijał się w kłębek przed kominkiem, pomyślała, czyby nie zdjąć Quentonowi ubrania i butów.

Kiedy zaczęła go rozbierać, wziął ją w ramiona i wtulił twarz w jej włosy.

- Tak ślicznie pachniesz. Jak letni ogród. Czy mówię ci już, jak uwielbiam zapach lawendy?

- A od waszej lordowskiej mości czuć whisky.

Doszła do wniosku, że najlepiej będzie opuścić ten pokój jak najprędzej.

Gdy wypuścił ją z objęć i sięgnął do guzików jej sukni, oparła obie ręce na jego piersi i pchnęła z całej siły.

Upadł na łóżko i miotał się w pościeli, przypominając żółwia, przewróconego na grzbiet.

- Czy jesteś gotowa dołączyć do mnie, ślicznotko? - wybełkotał.

W odpowiedzi usłyszał trzask zamykanych drzwi, a potem odgłos pospiesznie oddalających się korytarzem kroków.

Po chwili pokój zawirował i Quenton pogrążył się w niebycie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Dzień dobry panience. - Edlyn, rzucając spode łba złe spojrzenia, weszła do pokoju Liata. Olivia właśnie uczyła swego podopiecznego liter. - Pani Thornton przysłała mnie po panienkę. Najjaśniejszy pan życzy sobie, by panienska i chłopiec przyszli do jadalni.

Olivia niespokojnie uniosła głowę.

- Powiedziała po co?

- Nie - odparła służącą z trudem maskując uśmiezek.

- Dziękuję, Edlyn. - Olivia usiłowała otrząsnąć się z niemiłego wrażenia, że gburowata dziewczyna przypa-  
truje się jej nieco zbyt natrętnie.

Dostrzegła cień w korytarzu, gdy wychodziła z komnaty Quentona, i odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Martwiło ją to, ale o wiele bardziej gryzła się tym, że zeszłej nocy podsłuchiwała tajemnice nie przeznaczone dla jej uszu.

Przygładziła Liatowi włosy, spojrzała na niego z zadowoleniem, po czym ujęła chłopca za rękę i ruszyła ku drzwiom.

- Myśli pani, że król ukarze nas za to, co się stało zeszłej nocy?

- W każdym razie na pewno nam się to należy. Postąpiliśmy bardzo źle.

Sprawy przybrałyby chyba jeszcze gorszy obrót, gdyby król dowiedział się o pijackich wyczynach Quentona i jej wizycie w lordowskiej komnacie. Czy zostanie publicznie upomniana? Czy swym zachowaniem przyniosła wstyd Quentonowi i jego rodzime?

Gdy zeszła do wielkiej sali, była już kłębkim nerwów, pulsowało jej w skroniach.

- Najjaśniejszy panie, panna St. John i młody panicz Liat.

- Dziękuję, Pembroke. - Król uniósł głowę znad talerza, na którym piętrzyły się plastry cienko pokrojonej wołowiny, pieczony drób i kilka kromek jeszcze ciepłego chleba. W rękę trzymał kufel gorącego, zaprawionego koreniami wina.

Z jednego boku króla siedział Bennett, blady jak wosk. Nie zwracał uwagi na błagania Minervy, by zechciał przełknąć choć kęs. Przy drugim boku monarchy ulokował się Quenton, trzymający w rękę szklanice wody. Obaj bracia wyglądali żałośnie, co potwierdziło tylko obawy Olivii. Czyżby ich wszystkich okryła wstydem?

- Ach, panna St. John. Proszę bliżej, bym lepiej panią widział.

Olivia poczuła, że się czerwieni, i przeklinała tę swoją skłonność do oblewania się rumieńcem z najbliższego powodu.

- Zje pani ze mną mięso i pieczonego ptaka?

- Zjeść z waszą królewską mością?! - Ugryzła się w język, by nie powiedzieć czegoś niezręcznego. - Już śniadaliśmy, najjaśniejszy panie.

- W takim razie niech pani siada i patrzy, jak ja jem. Tęsknię za jakimś miłym towarzystwem. Z żadnego z moich gospodarzy nie mam dziś pociechy.

- Może wypili coś, co im nie posłużyło - mruknęła pod nosem Olivia, zajmując miejsce obok Quentona.

Rzucił jej gniewne spojrzenie, po czym odwrócił wzrok.

- Niegdyś - zaczął Karol pomiędzy dwoma kęsami - zazdrościłem im obu żelaznego zdrowia. Najwyraźniej jednak zestarzelili się i osłabli. Obawiam się, że niebawem ktoś będzie musiał kroić im jedzenie i co wieczór układać ich do snu. - Zrobił efektowną pauzę, po czym dodał: - Może obaj potrzebują żon.

Quenton zacisnął zęby i przez chwilę zanosił się na to, że odpowie równie zjadliwie.

- Czy chce pan coś powiedzieć swemu królowi, lordzie Stamford? - zapytał Karol, unosząc brew.

- Nie, najjaśniejszy panie.

- Tak też myślałem - rzekł z uśmiechem Karol. - Cóż, może do wieczora odzyskasz głos.

- Z całą pewnością, najjaśniejszy panie.

Król zerknął na Olivię.

- Lord Stamford wielce uprzejmie zaplanował na dziś polowanie. Mam nadzieję, że dołączy pani do nas wraz z chłopcem.

- Oczywiście, najjaśniejszy panie. - Zgodziłaby się prawie na wszystko, byleby tylko nie doznać od króla publicznego upokorzenia.

- Doskonale. Pani Thornton! -zawołał, odsuwając talerz. - Proszę przekazać ode mnie Kucharci wyrazy uznania. Palce lizać. Nie mogę się doczekać następnego dania.

Quenton i Bennett westchnęli. Obaj marzyli tylko o tym, by wreszcie położyć się do łóżek.

- Chodź, stary. - Quenton otworzył drzwi i Thor śmignął do ogrodu.

Quenton potrzebował tej wieczornej przechadzki nie mniej niż pies, musiał uspokoić nerwy i uporządkować myśli. Znowu popijali i gawędzili z królem, wspominając wspólne chłopięce figle. Jakież snuli wówczas marzenia! Jak wspaniałe układali plany! Karol nade wszystko pragnął odzyskać tron. A teraz wiecznie się uskarża na niedogodności panowania.

Bennettowi, najmłodszemu z ich grona, ogromnie zależało na tym, by traktowano go jak dorosłego, i wreszcie wywalczył sobie uznanie. A teraz nosi się go jak niemowlę.

Jego własne marzenia o służbie na morzu dla monarchii spełniły się tylko z powodu rodzinnej tragedii. A choć służba ta przyniosła mu pewne zadowolenie, niczego nie rozwiązała. Mimo całej swej inteligencji nie umiał przejrzeć tajemnicy, otaczającej śmierć Antonii i straszliwe okaleczenia brata.



Kroczył szybko, dotrzymując kroku ogarowi. Dzisiaj zachował się już nieco rozsądniej, przechodząc na wodę, gdy miał dosyć piwa, a brata zaprowadził do łóżka, kiedy tylko Bennett zaczął ziewać. Po całym dniu spędzonym w siodle król poszedł w jego ślady.

Quenton z przyjemnością wdychał znajomy zapach oceanu. Spodziewał się, że będzie mu brakować kołysania statku i dreszczu niebezpieczeństwa, które było jego stałym towarzyszem na morzach. Tymczasem stwierdził, że wszedł w tryb życia w Blackthorne z nadspodziewaną łatwością.

Dzięki Olivii.

Spojrzał w jej okno i zobaczył, że w pokoju jeszcze się świeci. Widział wyraźnie jej sylwetkę, siedziała z głową pochyloną nad biurkiem. Może opisuje krewnym swe niezwykle przeżycia z Blackthorne? A może prowadzi dziennik? Jakżeby chciał poznać wszystkie jej sekrety. Przekonał się już, że za wizerunkiem wzorowej guwernantki, jaki prezentowała światu, kryje się jeszcze wiele innych zalet i ciekawa osobowość. Służba mówiła, że Olivia ma dobre serce, że się nie wywyższa, dzięki czemu czują się swobodnie w jej towarzystwie, a ona naprawdę się o nich troszczy.

Z Liatem obchodzi się łagodnie, ale stanowczo. I, po prawdzie, jest mu bardziej matką niż wychowawczynią. Znalazła też sposób, by wyprowadzić Bennetta z jego wewnętrznego świata i przywrócić go bliźnim. Dopiero Olivii udało się odegnąć strach przepełniający jego umysł.

Dokonała tego swoim dziewczęcym wdziękiem i zdumiewającym uporem.

Może właśnie za to ją pokochał. Pokochał? Przystanął w pół kroku, zaskoczony tak niesłychaną myślą. Miłość? To niemożliwe. Po śmierci Antonii poprzysiągł sobie, że więcej się już nie zakocha. Ale już w momencie, gdy to słowo przyszło mu do głowy, wiedział, że to prawda.

Boże drogi. Kocha ją. Jak sobie z tym poradzić?

Jej widok prześladował go za dnia, a nocami widział ją w snach. Nie chciał przyznać się przed Karolem, jak bardzo mu na niej zależy, ale król miał rację. Ta zuchwała guwernantka jakimiś sztuczkami doprowadziła do tego, że się w niej zakochał.

Olivia trudziła się nad napisaniem listu do wujostwa. Chciała, aby był zwięzły, lecz uprzejmy. Podziękuje im za to, że zaopiekowali się nią po śmierci rodziców. Zapewni ich, że obecna posada odpowiada jej i że jeśli nie będzie już potrzebna w Blackthorne, poszuka miejsca gdzie indziej. Dzięki temu w przyszłości nie będzie dla nich ciężarem. I na koniec, ponieważ nie zamierza utrzymywać z nimi dalszych kontaktów, poprosi, żeby bilans majątkowy jej matki, zakładając, że coś jeszcze pozostało, przesłano jej do Blackthorne.

Choć ciotka dawała Olivii do zrozumienia, że nic nie ma, widziała przecież, w jakim przepychu mieszkali w Londynie. Stara Letty powiedziała, że rodzina jej matki posiada zarówno pieniądze, jak i tytuł. Jeśli to prawda,

z majątku matki powinny pozostać jakieś resztki. Ciągłe chodziło jej po głowie pytanie, czemu Wyatt tak natarczywie domagał się, aby podpisała dokumenty dotyczące jej spadku.

Jakże pragnęła porozmawiać z kimś, kto znał się na tych sprawach! Jediną taką osobą był Quenton, ale przecież nie może zwrócić się z tym do niego. To absolutnie wykluczone. Uniosła głowę i spojrzała na ciemniejące niebo. Co pocnie ze swoim uczuciem do Quentona? Wiedziała bardzo dobrze, że o takim wielkim panu nawet nie ma co marzyć. Ale cóż ma poradzić na dziwną tęsknotę w sercu, która przepełniała ją, gdy znajdował się w pobliżu? I niezwykłą radość, gdy mile odezwał się do brata albo rozmawiał z Liatem? I coś na kształt dumy, kiedy ktoś ze służby mówił o nim pochlebne rzeczy.

W tajemnych zakamarkach serca żywiła doń miłość. Prawdziwą miłość. Była tego świadoma, ale lękała się, że jeśli wyjawi swe uczucie, ośmieszy się tylko. Nagle zobaczyła spadającą gwiazdę, więc mocno zamknęła oczy i w duchu wypowiedziała życzenie. Aż się zarumieniła na myśl o tym, czego sobie życzyła.

Quenton bezszelestnie piął się po schodach, z ogarem u nogi. Na ułamek sekundy przystanął przed drzwiami apartamentu Olivii, zdając sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak szaleniec. Bez pukania otworzył drzwi i wszedł do saloniku. Na znak swego pana Thor usadowił się przed kominem. Quenton przeszedł do sypialni i zajrzał do środka.

Siedziała przy biurku w małej alkwie, z twarzą uniesioną ku niebu. Spod nocnej koszuli wystawały bose stopy, a długie włosy, luźno puszczone, opadały na ramiona w ciemnych puklach.

Czując suchość w gardle, Quenton skrzyżował ramiona i oparł się o framugę.

Odwróciła się i ujrzała go. Przez chwilę wpatrywała się weń oniemiała. Wyglądał zupełnie jak kapitan korsarskiego brygu, o którym służba szeptała po kątach. Korsarz, który, jak skrycie śniła, uniesie ją na swój statek i razem pożeglą ku odległym, egzotycznym brzegom.

Pióro wypadło jej z ręki. Odsunęła krzesło i podniosła się na nogi.

- Nie słyszałam pańskiego pukania.
- Nie zwracałem sobie głowy takimi ceremoniami.

Z tonu, a także z jego zwężonych oczu poznała, że jest w niebezpiecznym nastroju.

-- Ach, tak. - Ruszyła w jego stronę, zamierzając odprowadzić go do drzwi. - Jeśli wydaje się panu, że może pan tu tak po prostu wejść...

- Mogę. - Chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Tu, w Blackthorne, mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Tu, tak jak na morzu, ja ustanawiam reguły. To moje małe królestwo.

Próbowała go odsunąć, lecz trzymał ją w mocnym uścisku.

- W takim razie musi pan znaleźć sobie uległych poddanych.

- Nie chcę uległych, Olivio. - Otoczył ją drugim ramieniem i przyciągnął jeszcze bliżej. - Chcę silnych, upartych, przekornych. Pragnę kobiety, która potrafi mi się oprzeć. Ale i wesprzeć mnie.

- Chce pan, tak? - usiłowała mówić szyderczym tonem, ale zabrzmiał w jej uszach dziwnie słabo. - A czy pomyślał pan o tym, czego ja chcę?

- Czego chcesz, Olivio? - Zbliżył wargi do jej ust. - Tego?

Jego pocałunek był namiętny, Quenton włożył weń całe zżerające go pożądanie. Gdy oderwał wargi i unióś głowę, Olivia odepchnęła go. Oddech miał równie świszczący i urywany jak ona. Czuła, jak wali mu serce.

- Jak pan śmie?

Gdy uniosła rękę, by go uderzyć, chwycił ją za przegub i mocno przytrzymał.

- Śmiem, bo tego chcę. I ty tego chcesz. Muszę cię mieć, Olivio.

Pochylił się i ponownie zawładnął jej wargami. Zaczęła drżeć na całym ciele. Czuła się bezwolna w jego ramionach. Nie miała dość siły woli, by mu się opierać. Smakował morzem. Ciemnymi, kłębiącymi się wodami i brykami, wezbranymi falami. Przyciągał ją do siebie i porwał z prądem swej namiętności.

- Powiedz teraz, że tego nie chcesz - wyszeptał.

Jeszcze przed chwilą była zdecydowana wyrzucić go z pokoju, nawet gdyby jej krzyki miały postawić na nogi cały dom. Teraz jednak nie mogła wydusić z siebie słowa.

Gdy nie odpowiadała, uniósł jej głowę.

- Powiedz, Olivio.

Stała na palcach, a on z pomrukiem rozkoszy pochylił się niżej, by zaspokoić swój dotkliwy głód, ukoić swoją samotność. Głaskał ją i pieścił, aż rozkosz stała się prawie nie do zniesienia.

- Widzisz? - Przesuwając ustami po jej szyi, poczuł, jak zadrżała w odpowiedzi. - Chcesz tego samego co ja, Olivio. Rozkosz, spełnienie, zależą tylko od nas.

Gdzieś w odległych zakamarkach jej mózgu zadźwięczał sygnał alarmowy. Wywołały go słowa, które Quenton przed chwilą wypowiedział. Przedzierała się przez fale rozkoszy, walcząc o powrót silnej woli, która dotychczas jej nie opuszczała. O zdrowy rozsądek, który pozwoli jej dokładnie zrozumieć propozycję Quentona.

- Ach, tak. - Zaczerpnęła głęboko powietrza, by się uspokoić. - Więc powiada pan, że nawzajem możemy dać sobie rozkosz.

- Właśnie. - Wyciskał pocałunki na jej skroniach, czo-  
le, policzku.

- Nic nie mówi pan o miłości, Quentonie, ani o tym, że będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Zaśmiał się krótko i aż się zdziwił, jak trudno mu wy-  
dobyć głos.

- W twoich ustach brzmi to jak bajka. Z doświadczenia wiem, że nie ma żadnego „długo i szczęśliwie”. Jest tylko chwila rozkoszy, to wszystko.

- Może dla pana. Bardzo mi przykro, jeśli tak jest w istocie. Ale ja nie zgodzę się na tylko tyle.

Odgarnął jej wilgotne włosy i ujął twarz w dłonie.

- Jesteś o wiele za rozsądna na takie bzdury.

- Nie, wasza lordowska mość. To pan jest zbyt rozsądny. Ja wolę wierzyć w bajki czy bzdury, jak pan to nazywa.

Cofnęła się o krok. Już się nie dotykali. Pomyślała, że on nigdy się nie dowie, ile ją to kosztowało. Gdy spojrzała w jego ciemne, niespokojne oczy, poczuła, że bardzo pragnie tego, co jej ofiarowywał. Nigdy jednak nie skorzysta z jego propozycji.

- Proszę opuścić mój pokój - powiedziała. - I następnym razem nie wchodzić bez zaproszenia.

Stała w oknie, wpatrując się w wieczorne niebo. Nawet nie próbowała położyć się do łóżka. Była tak wzburzona, że nie mogła znaleźć sobie miejsca. Odwróciła się, przeszła nerwowo kilka kroków, po czym wróciła do okna.

Co się z nią dzieje? Kiedy opuścił ją zdrowy rozsądek? Rodzice byliby zdumieni i rozgoryczeni, gdyby wiedzieli, że tak nisko upadła.

Przypomniała sobie dziewczynę z Oksfordu, która powróciła do domu z dzieckiem. Rodzice Olivii wyrazili wówczas dezaprobatę, a mama powiedziała, że są dwa rodzaje mężczyzn: tacy, którzy szanują swoje kobiety, i tacy, którzy bez skrępułów odbierają dziewczynie cnotę, a potem zostawiają ją na pośmiewisko. Tamta nieszczęsna dziewczyna trafiła właśnie na mężczyznę tego drugiego

rodzaju. Gdy Olivia spytała, jak rozpoznać charakter mężczyzny, mama tylko westchnęła.

- Och, Livvy. Zorientujesz się, gdy dorośniesz.

- Wiedziałaś od razu, że tata cię uszanuje?

- Nie wiedziałam, czy mnie uszanuje. - Oczy mamy przybrały dziwnie dziewczęcy wyraz. - Ale od chwili, gdy go ujrzałam, nie mogłam myśleć o innym mężczyźnie. Musiałam go mieć. A on musiał mieć mnie.

„Muszę cię mieć, Olivio”.

Boże drogi, co się z nią dzieje? Jej oczy niespodziewanie wezbrały łzami. Nie będzie płakać przez tego człowieka. Nie ma mowy. Mimo tego stanowczego postanowienia, łzy popłynęły. Rzuciła się na łóżko i pogrążyła w bezdennej rozpacz.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Olivia weszła do kuchni. Oczy nadal miała spuchnięte od płaczu i z braku snu. Po drugiej stronie, przy piecach, stali kamerdyner, gospodyni i kucharka.

- Lepiej dziś schodzić jego lordowskiej mości z oczu - rzekła pani Thornton. - Jeszcze go nie widziałam z tak ponurą miną.

- Wczoraj wieczorem, gdy go zostawiłem, był w dobrym humorze - powiedział Pembroke. - A teraz wygląda tak, jakby chciał komuś wygarbować skórę.

- Byle nie moją - mruknęła Kucharcia, unosząc głowę znad ciasteczek, które właśnie wyjęła z pieca. - Dzień dobry, panno St. John.

- Dzień dobry. - Olivia z wysiłkiem próbowała rozciągnąć usta w uśmiechu.

- Proszę, pani herbata. - Kucharcia postawiła dzbanek na tacy Olivii. - Ciasteczek, panienko?

- Dziękuję. Liat uwielbia pani ciasteczka.

- A panienka nie?

- Bardzo je lubię, ale dziś rano nic bym nie przełknęła. Straciłam apetyt.

- Z tego co słyszałam, straci pani coś więcej niż apetyt, jeśli znajdzie się pani w pobliżu jego lordowskiej mości.

- Będę o tym pamiętać.

Olivia przeszła przez kuchnię, by nałożyć sobie nieco konfitur. Napełniając talerzyk, słyszała przytłumioną rozmowę.

- Podobno jego królewska mość jest tak zadowolony z... pracy, którą lord Quenton dla niego wykonał, że chętnie wysłałby go znowu na morze. - Pembroke obok dzbanka herbaty ustawił na tacy pękata flaszkę wina zaprawionego korzeniami w nadziei, że rozchmurzy tym lorda.

- Więc to prawda? Jego lordowska mość naprawdę przysyłał raporty bezpośrednio do króla? - Pani Thornton podniosła głos z podniecenia. - Był piratem?

- Kapitanem statku korsarskiego - poprawił ją łagodnie Pembroke. - Podobno najlepszym, jaki kiedykolwiek żeglował po morzach. Wszyscy dowódcy nieprzyjacielskich okrętów śmiertelnie bali się, że wpadną w ręce kapitana Quentona Stamforda. Jak się niedawno dowiedziałem, robił to, żeby chronić króla i ojczyznę. W bitwie nie znał strachu. I nie znał litości, gdy w grę wchodziło bezpieczeństwo królewskiej floty.

- Wygląda na takiego. - Kucharcia zachichotała jak dziewczynka. - W każdej chwili pozwoliłabym mu spłądować mój statek.

Wszyscy troje unieśli głowy, gdy Olivia, brzękając talerzami, wzięła tacę i pospiesznie wyszła.

- Może jego lordowskiej mości zepsuło humor to samo co i pannie St. John.

- Może... - potwierdził Pembroke. - Coś w tym jest, pani Thornton. - Widział, jak tych dwoje patrzyło na siebie, gdy sądzili, że nikt ich nie obserwuje. - W rzeczy samej, coś w tym jest.

Na górze Olivia spiesznie szła korytarzem, pragnąc ukryć się w pokojach Liata. Nie miała ochoty słuchać służby piejącej peany na cześć Quentona żeglarza, Quentona korsarza, Quentona królewskiego bohatera.

- Ach, panna St. John! - rozległ się głośny głos króla. Brzmiał ogłuszająco w porannej ciszy.

Zastygła w pół kroku, gdy Karol wyszedł na korytarz tuż przed nią. Za nim stał Quenton, chłodny i opanowany.

- Dzień dobry, najjaśniejszy panie, witam, wasza lordowska mość. - Złożyła głęboki ukłon, starając się utrzymać tace i przeklinając się w duchu za tak długie przebywanie w kuchni. Tylko chwili zabrakło, by znalazła się bezpiecznie w pokoju Liata, z dala od wścibskich oczu.

- Wygląda dziś pani niezwykle nadobnie. - Król odwrócił się do Quentona. - Przyzna pan, lordzie Stamford?

Quenton spojrzał na nią obojętnym wzrokiem.

- Owszem, najjaśniejszy panie.

Była zła na siebie, bo poczuła, że jej szyję i policzki oblewa rumieniec.

- Dziękuję.

- Właśnie mówiłem lordowi Stamfordowi... - Karol

urwał i uśmiechnął się szeroko. - Chociaż dziś jest nie w humorze. Może wypił za dużo piwa albo ma za mało rozrywek w Blackthorne. W każdym razie powiedziałem mu, że życzę sobie dzisiaj pożeglować. Chciałbym, żeby towarzyszyła nam pani wraz z chłopcem.

- Pożeglować? - Usiłowała się uśmiechać, ale nie było to łatwe, skoro Quenton stał tak blisko, mierząc ją znużonym, dalekim spojrzeniem.

- Żeglujecie pani, panno St. John?

- Nie wiem, najjaśniejszy panie.

- Czy to znaczy, że nigdy nie była pani na pokładzie statku lorda Stamforda?

- Nie, najjaśniejszy panie. Nigdy nie byłam na pokładzie niczyjego statku.

Odwrócił się do Quentona.

- W takim razie dziewczyna pozna coś nowego. Zgodzisz się ze mną, stary przyjacielu?

- Tak, najjaśniejszy panie.

Słyszając tę mało entuzjastyczną odpowiedź, król odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Będziemy mieli świetną zabawę. Powiedz Kucharci, że obiad Spożyjemy na pokładzie. - Odwrócił się do Olivii. - Proszę przyprowadzić chłopca, gdy tylko zje śniadanie. Do portu pojedziemy moją kareta.

Gdy Olivia odchodziła, zawołał za nią:

- Aha, panno St. John!

Przystanęła i odwróciła się.

- Przynajmniej mam nadzieję, że humor lorda Stamforda będzie

się poprawiał z każdą chwilą. Na pokładzie zawsze był pogodnie usposobiony.

Olivia pospieszyła do Liata. Kiedy chłopiec jadł, nerwowo krążyła po pokoju. Jakże zdoła spędzić cały dzień, czując na sobie chłodne, beznamienne spojrzenie Quentona? Może powinna udać chorą? To tchórzliwy wybieg, ale czyż ma jakiś wybór?

- Co będziemy dziś robić, proszę pani? - Liat pokruszył herbatnik na kawałki i nałożył na nie mnóstwo konfitury.

Ponieważ z natury była prawdomówna, powiedziała:

- Król Karol zaprosił nas na statek, ale może... - Odwróciła się ku chłopcu z nadzieją, bo nagle wpadła na myśl, jak się z tego wywinąć: - Może cierpisz na chorobę morską?

- Nie, proszę pani. Przypłynąłem tu z lordem Stamfordem z mojej wyspy. Ani razu nie byłem chory. Och, tak lubię ocean i statki!

- Naprawdę? - Ogarnęło ją przygnębienie. Na nic cały pomysł.

- Brakuje mi pływania po morzu.

- Ależ jesteś jeszcze dzieckiem, Liacie. Często wypływałaś łódką?

- Prawie codziennie.

- Z... ojcem? - Jej serce niemal przestało bić.

Po raz pierwszy chłopiec napomknął cokolwiek o swoim życiu na Jamajce. Choć Quenton wyraźnie nie życzył sobie, by rozmawiała z podopiecznym na ten temat, nie zabronił Liatowi wspominać spędzonych tam lat.

- Z matką. - Na usta Liata wypłynął rozmarzony uśmiech. - Łowiła ryby, a potem sprzedawała je na targu. Codziennie wypływałem z nią na morze.

Czyżby Quenton pozwolił swej kochance trudnić się tak podrzędnym zajęciem jak rybołówstwo?

- Pamiętasz coś jeszcze? Może ojca?

Jego uśmiech znikł. Pobiegł do kufra w alkowie, wspiął się nań i zapatrzył na morze.

Pomyślała, że może chłopcu zabroniono mówić o ojcu. Bo z jakiego innego powodu miałyby się tak zachowywać?

Gdy się odwrócił, znowu uśmiechał się promiennie.

- Chodźmy, proszę pani. Nie mogę się doczekać, kiedy wsiądziemy na statek.

Stłumiła rozczarowanie. Najwyraźniej życie Liata na Jamajce owiane będzie równie nieprzeniknioną tajemnicą jak upadek Bennetta ze skał.

Jak każde przedsięwzięcie króla, również morska wyprawa wymagała obecności dziesiątków służących oraz karawany wozów i fur, przewożących ludzi i prowiant do portu. Wzdłuż całej drogi ustawił się rząd wieśniaków, pragnących choć przelotnie spojrzeć na monarchę. Karol machał do swych poddanych i skłaniał głowę, nieprzerwanie rozdając uśmiechy.

Gdy król wraz ze swoją świtą przybył do portu, zamieszanie zostało już opanowane, żywność przewieziono na statek, a służbę odprawiono.

Quenton rozejrzał się.

- Najjaśniejszy panie, gdzie są twoi służący?
- Odesłałem ich do Blackthorne.
- Jak poradzisz sobie bez służby? A twoi gwardziści?
- Kazałem im płynąć za nami w drugiej łodzi. Chcę ten dzień spędzić prywatnie, wśród przyjaciół.

No tak, oczywiście, pomyślał Quenton.

Doskonale rozumiał, że stary druh musi od czasu do czasu uwolnić się od ograniczeń, jakie narzucało sprawowanie władzy, choć nie zawsze akceptował te ucieczki od dworskiego ceremoniału. Skoro jednak straż znajdowała się w pobliżu, nic nie zagrażało bezpieczeństwu króla. Zasłużył sobie na dzień odpoczynku. Quenton wskazał na lśniący statek, zacumowany w pewnej odległości od brzegu.

- Oto „Utracjusz”, wasza królewska mość.
- Ach, lordzie Stamford. Statek twojego dziadka. Niejedno popołudnie spędziliśmy na nim na tych wodach. Wygląda jak nowy.

- Tak. Starzeje się z wdziękiem. - Quenton kazał muskularnemu parobkowi przynieść Bennetta z powozu, po czym poprowadził całe towarzystwo do łodzi. Pembroke pomógł gościom wsiąść na pokład i popłynęli ku „Utracjuszowi”.

Bennetta, pod czujnym okiem Minery, posadzono w wygodnym fotelu. Quenton natychmiast poszedł do steru, troskę o gości pozostawiając Pembroke'owi.

Statek żaglowy był mały, lecz wspaniale urządzone, z krytym pokładem, chroniącym pasażerów przed słoń-

cem i wiatrem. Niżej znajdowała się przytulna kabina, gdzie stały wyściełane ławki, na których można było się przespać, oraz stół i krzesła, przymocowane do podłogi.

Gdy tylko król znalazł się na pokładzie, zdjął żakiet i kapelusz z szerokim rondem, które oddał Pembroke'owi. Widząc zdumione miny Olivii i Minery, uśmiechnął się do nich łobuzersko.

- Jestem teraz wśród przyjaciół, moje panie. Mam nadzieję, że nie weźmiecie mi za złe, jeżeli zrezygnuję z paru punktów ceremoniału.

- Ależ nie, najjaśniejszy panie - wykrztusiła Olivia. - Pragniemy tylko wygody waszej królewskiej mości.

- Widzisz, lordzie Stamford? Są jeszcze lojalni poddani, którzy dbają o monarchę. Panno St. John, jest pani źródłem nieustającego zachwyty swego króla.

Quenton również zrzucił żakiet i kapelusz, po czym wiał się do żagli. Olivia z podziwem patrzyła, jak wypełnia je bryza. Jeszcze bardziej podziwiała widok barczystych pleców, muskularnych ramion i silnych, zręcznych palców żeglarza. Wiatr potargał mu ciemne włosy, zdmuchując je na czoło.

Z ręką na sterze wyprowadził statek z portu.

- Mogę posterować? - zapytał Liat.

Ku ogromnemu zdumieniu Olivii Quenton zgodził się.

- Zobaczymy, czego nauczyła cię twoja guwernantka. Chodź, chłopcze. Połóż tu rękę. - Stanąwszy za Liatem, pomagał mu utrzymać kurs.

- Każdy dobry żeglarz potrafi czytać kompas - powie-



dział po chwili. - Tu masz podaną naszą pozycję. Wiesz, co oznaczają te symbole?

- Tak, proszę pana. Panna St. John powiedziała, że N oznacza północ, S południe, E wschód, a W zachód.

Przysłuchujący się temu król z aprobatą skinął głową.

- A teraz, Liacie, następna rzecz - kontynuował Quenton. - Po wydeciu żagli można się zorientować, w którą stronę wieje wiatr. W jakim kierunku powinniśmy zwrócić łódź, żeby go wykorzystać?

Z wielkim skupieniem Liat wpatrywał się przez dłuższą chwilę w żagle i kompas, po czym rzekł:

- Wiatr wieje z południa. - Obrócił ster, aż wskazówka kompasu pokazała północ, w kierunku przeciwnym do wiatru. - Teraz, mając wiatr za plecami, powinniśmy pracować fale.

Quenton uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Masz rację, chłopcze. Cóż, widzę, że jesteś urodzonym żeglarzem. - Pozwolił małemu jeszcze przez jakiś czas trzymać ręce na sterze, wciąż pilnując, by statek nie zszedł z kursu. - Przejmę ster, jeżeli chcesz dołączyć do towarzystwa - powiedział, kiedy poczuł, że siły Liata się wyczerpują.

- Tak. Dziękuję panu.

Chłopiec, wielce rad z siebie, w podskokach wrócił na swoje miejsce obok Olivii. Zadowolona, przeczesła mu palcami włosy.

- A może teraz da pan lekcję opiekunce chłopca, lordzie Stamford? - zaproponował król.

- To nie jest konieczne, wasza królewska mość - odparła zarumieniona, ale król gestem ręki odrzucił jej obietkę.

- Nalegam, panno St. John. - Odwrócił się do Quentona. - No dalej, lordzie Stamford. Niech dziewczyna poczuje ster w rękach.

Olivia uniosła dumnie brodę i pomaszzerowała naprzód. Quenton cofnął się o krok, robiąc jej miejsce przy sterze. Gdy położyła na nim ręce, przestraszyła się siły fal. Choć mocno uchwyciła ster, ledwo zdołała go utrzymać.

- Mam wrażenie, jakby było... żywe.

- Tak. Morze żyje i oddycha. I ma własny rozum. - Stał za nią i położył ręce na jej dłoniach, by pomóc jej utrzymać kurs. Z bolesną ostrością widział każdy szczegół jej postaci. Ciemne loki, związane z tyłu zwykłą białą wstążką. Zaróżowione policzki. Oszałamiający zapach lawendy zdawał się częścią jej istoty na równi z miękkim głosem i dźwięcznym śmiechem. - Czasami jest łagodne jak zakochana kobieta. A czasem gwałtowne jak kobieta zdradzona.

- Dlaczego mówi pan o morzu jak o kobiecie?

- Bo ono jest kobietą. Wie o tym każdy żeglarz. Gdzie okiem sięgnąć, widać zrodzone i wykarmione przez nie życie. Tu, przed nami, płynie ławica marlinów. Widzi pani, jakie są zwinne? Suną przez wodę szybciej niż jakikolwiek statek. Szybciej nawet niż wiatr.

Olivia zobaczyła ich srebrnoniebieskie łuski, gdy śmiały przez fale. Uświadomiła sobie, jaki Quenton musi być

silny, skoro utrzymuje łódź na stałym kursie, choć morze jest wzburzone.

- A tam pluska się delfin - powiedział, pokazując kierunek.

Ujrzała swawolne niczym szczeniak zwierzę, które sunęło równoległe ze statkiem.

- Żeglarze uważają, że delfiny przynoszą szczęście. Nieważne, gdzie jesteśmy ani jak daleko od lądu, kiedy widzimy ich uśmiechnięte pyski, zawsze czujemy się mniej samotni.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś rozmyślać o samotności, Quentionie, gdy na tych egzotycznych brzegach groziło ci tyle niebezpieczeństw. A jakie miałeś przygody! - zawołał król.

- To prawda, niebezpieczeństw i przygód mi nie brakowało. I zwiedziłem mnóstwo przepięknych, dalekich wybrzeży. - Jego głos nabrzmiał uczuciem. - Ale to nie była Anglia. Żadna z egzotycznych piękności nie dorównuje jej niezwyklej urodzie.

Olivia zadrzała i bezwiednie zacisnęła ręce na kole.

- Fale będą mniejsze, gdy wypłyniemy z tego kanału i znajdziemy się na otwartym morzu. - Quenton wskazał ręką bezmiar wód. - Widzi pani, jak zmieniają się kolory? Tu pod nami morze ma prawie barwę nieba, ale wyżej jest bardziej zielone niż niebieskie. A tam daleko, na zachodzie, jest tak głęboko niebieskie, że wydaje się prawie czarne.

Spojrzała w dal i przytaknęła.

- Nigdy nie byłam na morzu. Zupełnie inaczej je sobie wyobrażałam. Jakbym znalazła się w innym świecie.

- Boi się pani? - Znowu położył rękę na kole. Ciepłymi, silnymi palcami przykrył jej dłoń, jakby chcąc ją uspokoić.

Odwróciła ku niemu twarz.

- Nie, nie boję się. Jestem oczarowana. Nawet nie marzyłam, że morze okaże się tak piękne.

Nic nie mogłoby Quentona bardziej ucieszyć. Był ogromnie rad, że dziewczyna zaczyna kochać morze tak jak on je kocha.

Minął mu zły humor. Poweselał.

- Jego piękno blednie przy twojej piękności, Olivio - wyszeptał, przyciskając wargi do jej skroni.

Stała nieruchomo, pragnąc, by ta chwila nigdy się nie skończyła.

- Spójrzcie! - zawołał nagle Quenton, pokazując coś w oddali.

Wszyscy odwrócili się.

- Koniec Ziemi.

- Naprawdę?

Znowu dotknął wargami jej skroni.

- To nazwa przyładka, ale i koniec ziemi angielskiej. Minęliśmy najdalej wysunięty na zachód skrawek Wielkiej Brytanii.

Kiedy się zbliżyli, Oliwię oczarowało dzikie, pierwotne piękno tej krainy. Urzekła ją też niezwykła nazwa. Ale jeszcze mocniej urzekł ją mężczyzna, dla którego odmęty morskie były domem.

Karol ze swego miejsca na pokładzie uważnie obserwował starego przyjaciela i uśmiechał się do siebie. Jego plan chyba okazał się skuteczny.

Królewski szpieg sądził, że posiadał umiejętność skrywania swych myśli. Ale gdy w grę wchodziła śliczna guwernantka, równie łatwo było go przejrzeć jak te lazururowe wody. Zakochał się, chociaż być może nie zdawał sobie z tego sprawy. Karol zamierzał powiadomić go o tym fakcie we właściwym czasie.

- Lordzie Stamford - król osłonił oczy przed słońcem i wskazał na dziób - może opuścimy kotwicę w tej zato-  
czce?

- Dobrze. Przekonajmy się, co Kucharcia przygotowa-  
ła nam na obiad. - Quenton poprowadził „Utracjusza”  
prawie do samego brzegu, po czym opuścił kotwicę i za-  
czął ściagać żagle.

Spod pokładu wynurzył się Pembroke z tacą pełną na-  
pojów. Bennett i Minerva siedzieli w cieniu baldachimu,  
a Olivia i Liat wraz z Karolem i Quentonem na słońcu.

Król głęboko wciągnął powietrze.

- Uwielbiam wyjeżdżać z Londynu. Choć często pły-  
wam po Tamizie, tamtejsze powietrze ani w połowie nie  
jest tak słodkie jak morskie. - Odwrócił się do Olivii. -  
Była pani kiedyś w Londynie, moja droga?

Pomyślała o swojej krótkiej wizycie u wujostwa i na  
jej szczęście padł cień.

- Tak, wasza królewska mość.

- I jakim się wydał?
- Dużo bardziej wolę wieś.
- Może nie znalazła się pani w odpowiednim towarzystwie. Chciałem zaprosić panią na mój dwór.

- Na... dwór? - Olivia zerknęła na Quentona i zauważyła, że się nachmurzył. Czyżby powiedziała coś niewłaściwego?

W tym momencie do króla podszedł Pembroke.

- Najjaśniejszy panie, posiłek jest już gotów.
- Dziękuję, Pembroke. Morski wiatr bardzo zaostrzył mi apetyt. - Wziął Olivię za rękę, po czym wsunął ją sobie pod ramię. - Chodź, moja droga. Poprowadzimy towarzystwo.

Poszli na czele, za nimi Quenton niósł Bennetta, a Minerva i Liat zamykali pochód.

Kiedy usiedli za stołem, król uniósł puchar piwa i patrzył, jak Pembroke napełnia jego talerz herbatnikami, delikatnymi, cienkimi płatkami gotowanego łososia i wołowiny oraz pasztetem z cynaderek. Po pierwszym kęsie westchnął z zadowoleniem.

- Lordzie Stamford, Kucharcia przeszła samą siebie.
- Tak, najjaśniejszy panie. - Quenton uśmiechnął się.
- Morskie powietrze też mogło pobudzić apetyt jego królewskiej mości.

- Już to mówiłem pannie St. John. Jeżeli nie będziesz uważał, stary druhu, porwę ją ze sobą do Londynu. Gdy opuścę Blackthorne, możesz się tu znaleźć sam z Bennettem. Wszystkie te uroczę, kuszące niewiasty, które tak

ci uprzyjemniają życie w Blackthorne, będą otaczać mnie na dworze.

Zamiast, jak zwykle spojrzeć spode łba, Quenton nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Jeżeli najjaśniejszy pan spróbuje to zrobić, w Blackthorne może wybuchnąć powstanie.

Olivia nie brała udziału w tych przyjacielskich przekomarzaniach, słuchała tylko i rozkoszowała się jedzeniem. Dawno nie spędziła tak uroczego dnia. Spod opuszczonych rzęs spojrzała na Quentona. Dzień był wspianiały, bo spędziła go w towarzystwie tego tajemniczego, fascynującego mężczyzny.

Po obiedzie wynieśli napoje na pokład, by wygrzewać się w słońcu.

Liat wskazał najeżony skałami brzeg, gdzie leżały wyrzucone przez morze kłody przypominające wieloryby, a sękaty drzewa wyciągały ku ziemi niekształtne konary.

- Czy możemy popłynąć do brzegu, proszę pana?
- Popłynąć...? - Olivia miała bardzo niepewną minę.
- Jak rozumiem, nie umie pani pływać.

Zerknęła na Quentona.

- Nie. A pan?
- Nie miałem wyboru. Musiałem nauczyć się pływać albo pójść na dno jak kamień.

- Jak to? Wrzucono pana po prostu do wody, żeby sam pan dał sobie radę?

- Tak właśnie było.

- Kto mógł tak okrutnie postąpić?! -jęknęła przerażona.
- Kilku pijanych marynarzy.

Karol mrugnął na Bennetta.

- Mam nadzieję, że zapłacili za swój żart.
- Byłem zbyt zajęty ratowaniem własnego życia. Trochę się podtopiłem i wypilem parę galonów wody morskiej, nim posiadałem podstawy nauki pływania.
- A potem poszedłeś dać nauczkę napastnikom?
- Niestety nie od razu, bo ich statek wypłynął już z portu.

Karol oparł się o barierkę.

- Szkoda.
- Na szczęście to był holenderski statek.

Bennett uśmiechnął się szeroko, a król zachichotał. Olivia był zdumiona.

- Dlaczego na szczęście?
- Popełnili błąd, wpływając na angielskie wody. Jako lojalny poddany króla Karola musiałem nauczyć ich porządku.

- Ich złoto, jak pamiętam, było pożądanym dodatkiem.
- Król uśmiechnął się z uznaniem. - Po raz kolejny mój lojalny przyjaciel wyróżnił się wtedy w służbie dla swego króla i kraju.

- A marynarze, którzy wrzucili mnie do wody, gorzko pożałowali swego brutalnego zachowania. - Quenton raptownie wychylił się za burzę. - Chodź, Liacie! - zawołał.
- Tu jest płytko, możesz popłynąć do brzegu.
- Pójdę z nim. - Karol zdjął buty z cienkiej



kożłłej skóry i zupełnie nie dbając o swe eleganckie atłasowe spodnie, wskoczył do wody i zaczął brodzić do brzegu.

- Idziesz, Olivio? - zapytał Quenton. - Czy wolisz zaczekać tu z moim bratem?

Olivia spojrzała na niego ze zdumieniem.

- A jak mam się dostać na brzeg?

- Możesz skoczyć i przepłynąć z Liatem. - Quenton uniósł ręce. - Albo cię przeniosę.

Rozejrzała się. Łagodne kołysanie statku sprawiło, że Bennett zapadł w sen. Obok jego głowy podskakiwała głowa Minery. Pembroke zszedł pod pokład, by sprzątać po posiłku. Olivia przeszła przez barierkę, pilnując, by wiatr nie podwiał jej falującej spódnicy.

- Nie upuści mnie pan?

Quenton zmierzył wzrokiem odległość, po czym wyciągnął ramiona.

- Daję słowo.

W co ona się pakuje, do diabła? Ufając, że Quenton dotrzyma swojej obietnicy, głęboko zaczerpnęła powietrza i skoczyła.

Schwycił ją bez trudu.

Musiła otoczyć jego szyję ramionami, co niebezpiecznie zbliżyło do siebie ich twarze. Czuła rumieniec na policzkach i wiedziała, że zauważył jej zażenowanie.

- Muszę porozmawiać z Kucharcią - powiedział, idąc przez mieliznę. - Niech dopilnuje, żeby lepiej się pani odżywała. Waży pani niewiele więcej niż pączek kwiatu.

- Wątpię, czy nadal by pan tak uważał, gdyby musiał mnie nieść dłużej.

Przystanął. Ich usta były tuż-tuż.

- Gdyby szepnęła pani choć słówko, przeniósłbym panią przez całą Anglię.

- Co wam tak długo zeszło? - zapytał król.

Dotarł już do brzegu i rozsiadł się na ciepłym piasku. Liat biegał po plaży, umykając przed falami, splukującymi ślady jego małych stóp.

- Musiałem nieść wielki ciężar - powiedział Quenton i roześmiał się, stawiając Oliwię obok króla.

- Aha, teraz jestem ciężarem. A jeszcze przed chwilą usiłował mi pan pochlebić, mówiąc, że ważę tyle co kwiat.

- Nigdy nie wierz słowom mężczyzny - ostrzegł ją żartobliwie Karol. - Wierz w to, co jego przyjaciele powiedzą ci za jego plecami. - Odwrócił się do Quentona. - Chyba chłopiec chce, żebyś pomógł mu się wspiać na to drzewo, Q.

- Rzeczywiście - przyznał Quenton i odszedł niespiesznym krokiem.

Olivia odwróciła się do Karola.

- Słyszałam, jak najjaśniejszy pan nazywał go tak poprzedniej nocy.

- Kiedy razem z Liatem ukrywaliście się w szafie?

Jej policzki oblały się rumieńcem.

- Tak. Mam nadzieję, że najjaśniejszy pan mi wybaczy. Karol roześmiał się.

- Za parę lat będziemy to opowiadać jako anegdotę. To fakt, że jestem sobą tylko w towarzystwie Dwidziusia i Q. Pamiętaj, że mówię ci to w najściślejszej tajemnicy. Jeśli powtórzysz z tego choć słowo, zaprzeczę. I skrócę cię o głowę. - Poklepał ją po ręce i zniżył głos. - Skoro możemy spędzić tych parę chwil na osobności, chcę opowiedzieć ci coś ciekawego o moim starym przyjacielu. Gdy był chłopcem, niewiele starszym od Liata, jego rodzice zginęli w wypadku. Wychowaniem braci zajął się surowy, ale kochający dziadek. Quenton zakochał się w pięknej kobiecie, która również go kochała. Ale potem ich miłość straszliwie się skomplikowała. I został sam, bolejąc nad utratą ukochanej żony, inwalidztwem brata oraz cierpiąc zjadliwe plotki, które krążyły wokół niego i jego nieszczęścia. A gdy wypłynął na morze, wielokrotnie ryzykował życie jako lojalny poddany swego króla.

Słuchała w milczeniu, oszołomiona. Gdy opowieść dobiegła końca, uświadomiła sobie, że król obdarował ją właśnie najcenniejszym podarunkiem. Teraz nareszcie ujrzała Quentona jako dziecko, młodzieńca, prawdziwego przyjaciela monarchy i bohatera.

Odwróciła się ku niemu ze łzami w oczach.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie.

- Za co? - Karol wstał i pomógł jej podnieść się na nogi.

- Wasza królewska mość opowiedziała mi to, co musiałam wiedzieć.

Uścisnął jej rękę.

- Twoje serce już wie, moja droga.

- Tak łatwo się zorientować?

Uśmiechnął się.

- Wiedziałem, co wy dwoje do siebie czujecie, jeszcze zanim sama zdałaś sobie z tego sprawę, droga panno St. John. Nie jestem pewien, czy Q już wie, jak głębokim darczy cię uczuciem. Ale ostrzegam: to człowiek, w którym wrą wielkie namiętności. Gdy przestanie trzymać je na wodzy, przygotuj swoje serce na wielkie wstrząsy.

- Nie wiem, czy jestem gotowa na to wszystko.

- A co ci mówi serce? - zapytał łagodnie.

- Moje głupie, płoche serce zachowuje się bardzo źle od jakiegoś czasu, gdy tylko jestem w pobliżu pańskiego przyjaciela Q.

- Moja droga panno St. John, zawsze wierz swemu sercu.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Ach, przyjacielu! - Karol stał przy barierce, wpatrując się w niebo. Promienie zachodzącego słońca odbijały się na grzbietach fal. „Utracjusz” zwinnie śmigał przez wzburzone wody, jego śnieżnobiałe żagle wydawały się jeszcze bielsze na tle ciemniejszego nieba. - Chciałbym, żeby ten dzień nigdy się nie skończył.

Quenton zręcznie prowadził statek przez kanał.

- Jeszcze nieraz wypłyniemy.

Karol spojrział na swe przemoczone spodnie i szeroko rozstawione bosc stopy, rozkoszując się poczuciem wolności.

- Obawiam się, że już nie będzie tak pięknie jak dzisiaj. Gdy postawię nogę w porcie, znowu będę zmuszony stać się królem. Nie mówiąć już o dniu jutrzejszym.

- Jak to?

- Nie mówiłem ci? Jutro moi goście zaczną przybywać na bal. Spodziewają się, że będę się zachowywał jak monarcha. Nie mogę ich zawieść.

- Podałeś ich nazwiska pani Thornton, żeby mogła przygotować dla nich pokoje?

- Tak. Spisaliśmy je razem, gdy tylko powiedziałem jej dobrą nowinę o balu.

Quenton wiedział, że nie będzie to skromna uroczystość. Gospodyni wyteży wszystkie siły, całą swoją pomysliwość, by wydać przyjęcie godne króla.

- Jak przyjęła tę wiadomość?

Karol uśmiechnął się.

- Jest równie ochocza jak ja. Mówiłem ci, przyjacielu. Nikt się nie oprze mojemu urokowi.

- Prawda. Tak mówiłeś. I nie ma to nic wspólnego z faktem, że jesteś królem. Mam rację?

Śmiech Karola zadźwięczał głośno w gęstniejącym mroku.

- Uspokój się, lordzie Stamford. Będiesz bawił się na moim balu równie dobrze jak ja. Poznasz najbardziej interesujących ludzi w Anglii.

Quenton wolał zachować swoje myśli na ten temat dla siebie. Rzucił kotwicę i opuścił żagle. Czyniąc to, zerkał co chwila w stronę Olivii, usadowionej obok Bennetta i Minery. Liat wyciągnął się obok niej, głowę złożył na jej kolanach i spał, oddychając lekko i równo.

Jakiż to uroczy obrazek. Piękna kobieta i niewinne pacholę. Widok ten wywołał w jego sercu nieoczekiwany ból.

- Ładnie razem wyglądają, co, Q?

Quenton wzdrygnął się, bo głos króla zabrzmiał tuż przy jego uchu.

- Nie widziałem, jak nadszedłeś.

- Nic dziwnego. Nie odrywasz oczu od dziewczyny. To całkiem zrozumiałe. Londyn zakocha się w niej. Bez wątplenia będzie najpopularniejszą damą na dworze. - Zerknął na płynącą ku nim łódkę. - Zdaje się, że pora wracać na brzeg.

Gdy Quenton odwrócił się, król ujrzał, że drga mu mięsień szczęki, i omal nie wybuchnął śmiechem. Ach, jakże lubił drażnić się z ludźmi! Tym bardziej że biednego Stamforda tak zaślepiła miłość, że całkiem stracił poczucie humoru.

Całe towarzystwo odwieziono do portu, gdzie na króla czekali żołnierze i służba, która pomogła wszystkim wsiąść do powozu. Rozpoczęła się podróż powrotna do Blackthorne. Przy drodze znowu stały rzędy wiwatujących wieśniaków. Karol uśmiechał się i machał, póki tłum nie zniknął im z oczu. Gdy w końcu dotarli do rezydencji Stamfordów, z trudem stłumił ziewnięcie.

- Chyba spożyję wieczerzę w swojej komnacie. Może nawet w łóżku. Pembroke, zechcesz zawiadomić o tym panią Thornton?

- Oczywiście, wasza królewska mość - odparł kamerdyner i pomógł mu wsiąść z powozu.

Król zerknął na Liata, śpiącego na kolanach Olivii.

- Widzę, że nie tylko mnie zamroczyło morskie powietrze.

Gdy zaczęła się podnosić, Quenton wyjął jej chłopca z ramion.

- Jest dla pani za ciężki. Sam zaniosę go do łóżka.

- Dziękuję - powiedziała i wyszła z powozu, opierając się na dłoni Pembroke'a.

Wraz z Quentonem, trzymającym chłopca w objęciach, weszła po schodach prowadzących do ich apartamentów. W sypialni odgarnęła kołdrę i odsunęła się, by Quenton położył Liata na prześcieradle, po czym lekko musnęła wargami policzek małego, okryła go, zdmuchnęła świecę stojącą w lichtarzu na nocnym stoliku i przeszła do drugiego pokoju.

Kiedy znalazła się w swoim apartamencie, Quenton przystanął na progu.

- Jeśli jest pani zbyt zmęczona, by wieczerzać w jadalni, każę służącemu przynieść kolację na górę.

- Nie. Nie jestem zmęczona, wasza lordowska mość. Morze raczej dodało mi sił.

- Zatem oczekuję pani na dole.

- Zaraz zejde, tylko się trochę odświeżę.

Gdy została sama, zdjęła prostą, białą koszulę i długą, ciemną spódnicę, umyła się, a potem, włożyła bladożółtą suknię i upięła włosy pozłacanymi grzebieniami.

Uświadomiła sobie, że ubiera się bardzo starannie jak kobieta strojąca się dla kochanka. Zatrzymała się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Boże drogi! Jej serce zaczęło bić szybciej.

Idąc do jadalni, przypomiwała sobie, co król Karol opowiadał o swym najstarszym i najdroższym przyjacielu. Może król po prostu odczuwał potrzebę zwierzeń? A może były inne powody, dla których postanowił zapoznać ją z historią Quentona?



Zresztą to nieważne. Taki człowiek nie skrzywdziłby żony ani brata w napadzie szału. Nie odmówiłby uznania własnego syna. Nie miała wątpliwości, że wszelkie plotki o lordzie Stamfordzie są fałszywe. Nie miała też wątpliwości, że najbardziej na świecie pragnie wyznać Quentonowi swe uczucie.

U podnóża schodów podszedł do niej Pembroke.

- Lord Stamford życzy sobie, by dołączyła pani do niego w bibliotece, panno St. John.

Idąc za kamerdynerem długim korytarzem, poczuła ukłucie zawodu. Quenton dawał jej wyraźny sygnał, że woli pracować, niż spędzać czas z nią. Wizja uroczego wieczora, jaką sobie stworzyła, zaczynała blaknąć. Chciała ofiarować ukochanemu swą miłość, lecz szansa na to została zaprzepaszczona.

Quenton wpatrywał się w rzędy liczb, aż oczy zaczęły zachodzić mu mgłą. Musiał doprowadzić do porządku finanse dziadka i wreszcie zakończyć tę pracę. Niestety, nie mógł się skupić, widział przed sobą tylko Oliwię i wyłączył o niej mózg myśleć. Rozpamiętywał, jak wyglądała na pokładzie „Utracjusza”, gdy wiatr rozwiewał jej włosy. Jak bardzo jej pragnął, gdy trzymał ją w ramionach i całował.

Co pocznie, jeśli Karol zabierze ją do Londynu? Uświadomił sobie teraz, że przed jej przybyciem Blackthorne było niczym zimne, ponure więzienie. A on był więźniem, na równi z Bennettem. Wraz z przyjazdem Olivii wszy-

stko się zmieniło. Nadal nie był pewien, w jaki sposób udało jej się to osiągnąć. Swoją niewinnością, zuchwałością i dobrym humorem podbiła wszystkich i wkroczyła w sam środek ich życia, wyciągnęła Bennetta z jego pokoju i kręgu cierpień, otworzyła okna tej zmurszałej starej fortecy, by wpuścić światło, słońce i świeże powietrze.

Zamknął rejestry i wpatrzył się w blat biurka. Blackthorne bez niej będzie nie do zniesienia. Nie może wiecznie żyć w mroku i rozpacz. Musi obmyślić jakiś plan, by ją tu zatrzymać.

Był pewien sposób. Mógłby wyznać, że żywi do niej miłość i mieć nadzieję, że ona to uczucie podziela. Ale tego właśnie zrobić mu nie wolno. Romansowanie z guwernantką, przez niego samego zatrudnioną, było nie do pogodzenia z jego zasadami. Nie ma prawa przekraczać granicy przyzwoitości. Może mile spędzać czas w jej towarzystwie, ale musi zachować właściwy dystans. Może sekretnie kochać Olivię, ale musi pozostać obyczajnym, uczciwym pracodawcą.

Pembroke zapukał, po czym otworzył drzwi do biblioteki i przepuścił Olivię przed sobą.

- Milordzie, przyszła panna St. John.

Quenton uniósł wzrok i wstrzymał oddech. Miała na sobie żółtą suknię, bardzo przypominającą tę, w której wedle swej opowieści wpadła w błoto. Od tej pory będzie myślał o niej jako o żółciutkiej stokrotce.

- Dziękuję, Pembroke - powiedział, po czym wstał i obszedł biurko.

Olivia wpatrywała się w Quentona przez długą chwilę. Ubrany był w czerń. Czarne spodnie wpuszczone w wysokie czarne buty, czarny żakiet i koszula. Jego przystojna twarz skryta była w półcieniu. Przyszło jej do głowy, że zawsze będzie go takim pamiętać. Dumny, wyniosły, groźny korsarz. Tajemniczy i imponujący mężczyzna. Dziwne połączenie światła i ciemności.

- Mam nadzieję, że to miejsce pani odpowiada. Pozwoliłem sobie kazać pani Thornton, by dziś nakryła tutaj, ponieważ tylko my będziemy wieczerzać.

- A Bennett?

- Świeże powietrze zmorzyło go, podobnie jak Liata i króla. Minerva poda mu posiłek w pokoju. - Nalał dwie szklanice lekkiego wina i wręczył jej jedną.

Pociągnęła łyk i rozejrzała się dookoła.

Na olbrzymim kominku płonął ogień. Po obu stronach paleniska trzymały straż rzeźbione lwy. Nad obramowaniem kominka widniał herb, przedstawiający parę rozwścieczonych lwów, miecz, tarczę i koronę, symbol bliższej przyjaźni, łączącej rodzinę Stamfordów ze Stuartami. Z jednej strony wisiały skrzyżowane miecze, o rękojeściach wysadzanych drogimi kamieniami, lśniącoymi w blasku ognia. Dwie ściany od sufitu do podłogi zastawione były półkami z książkami. Z wysokich, obramowanych rzeźbionymi framugami okien rozciągał się wspaniały widok na ogród, skały i dalej, na ocean.

- Podoba mi się ten pokój. Chyba pasuje do pana bardziej niż jakikolwiek inny w Blackthorne.

Rozejrzał się, próbując ujrzeć go jej oczami.

- A to dlaczego?

- Sama nie wiem. Może to sprawa książek. Słyszałam, że długo w noc pracuje pan nad rachunkami dziadka.

- Owszem. Zbyt długo. - W jego głosie słychać było nutkę znużenia.

Odwróciła się ku niemu.

- Przypuszczam, że umie się pan posługiwać tymi mieczami nad kominkiem.

Z powagą skinął głową.

- Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się z tego. Kapitan statku korsarskiego, który nie wie, co zrobić z bronią, to trup.

- Nie chciałam pana urazić, wasza lordowska mość. Po prostu stwierdzam fakt. - Wskazała na okna. - A stąd ma pan widok na morze, które pan tak kocha.

- Jest pani niezwykle spostrzegawcza, panno St. John.

Rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju weszła pani Thornton i kilku służących. Gospodyni natychmiast zaczęła im uragać.

- Wyładź ten obrus, ty kluchowaty klocu. Świece postaw na jednej stronie, ty gamoniu, żeby jego lordowska mość widział, co je. Nie. Nie. Nie piwo, ty wyskubany wypędku. Wino. - Twarz gospodyni pokryła się obfitym potem, który wycierała rąbkiem fartucha. - Czy zostawić któregoś z tych niemrawych leniów do obsługi, wasza lordowska mość?

- Dziękuję, nie, pani Thornton. Gdy będziemy chcieli wieczerzać, zawołam Pembroke'a.

- Tak, milordzie. - Chwyciła za ramię jedną ze służących i pociągnęła do wyjścia, wypychając też resztę.

Gdy drzwi się zamknęły, Olivia przygryzła wargi, by się nie roześmiać. Kiedy uniosła wzrok, ujrzała, że Quenton również z trudem powstrzymuje śmiech. Tego jej tylko brakowało. Wybuchnęła głośnym śmiechem, a Quenton poszedł jej śladem.

Prysnął cały sztywny ceremoniał.

- Sama chyba pani zdążyła się zorientować, że gospodyni, mimo ostrego języka, ma naprawdę dobre serce - rzekł.

- Wiem. Już się o tym przekonałam. Pozory często mylą. - Zaczęła przechadzać się po pokoju. - Na przykład tata często powtarzał, że najpiękniejsze jagody i nasiona często są niejadalne lub nawet szkodliwe. Swoim wyglądem kuszą dziecko, by je zjadło, a potem powodują ciężką chorobę.

- Czy i panią kiedyś skusiły? - Quenton podał jej napełnioną winem szklanice.

- Wiele razy. - Przyjmując od niego szklanice, poczuła ciepło jego dotyku.

- I chorowała pani potem?

- Nigdy nie zjadłam tak dużo, by zachorować, ale żeby się przekonać, czy rzeczywiście są gorzkie, jak mówił ojciec. W końcu jestem tylko człowiekiem.

- Naprawdę? Dobrze wiedzieć. Zaczynałem już sądzić, że... - Spojrzał jej w oczy i umilkł. Igrał z ogniem.

- Co pan zaczynał sądzić?

Chwytał kosmyk jej włosów i patrzył, jak przesuwa mu się przez pałce.

- Że nie można skusić kobiety pani klasy i inteligencji.
- A chciał mnie pan skusić?

Dojrzał iskierkę w jej oczach. Proszę, proszę. Flirtuje bezwstydnie. I w dodatku ma z tego świetną zabawę.

- Tak. Muszę jednak stwierdzić, że bez powodzenia.
- Może powinien pan zachować swój urok dla kogoś obdarzonego majątkiem i tytułem. Po co tracić czas na zwykłą guwernantkę...

Pociągnął ją lekko za włosy, coraz bardziej przybliżając ku sobie jej twarz. Ich wargi dzieliły już tylko milimetry.

- Nie ma pani w sobie niczego zwykłego, Olivio.
- Ależ jestem zwyczajna. Jednak tato mawiał, że liście ze zwykłej rośliny przynoszą największą ulgę.
- Nic nie ukoi płomienia w moim sercu. - Ujął jej rękę i przycisnął do swej piersi. - Widzi pani, w jaki stan mnie wprowadza?

Poczuła bicie jego serca. Uniosła wzrok.

- Więc co mamy robić?
- Nie znam na to żadnego lekarstwa, ale są sposoby, by spowolnić ten proces. - Uśmiechnął się krzywo. - Po pierwsze, proszę wypić jeszcze trochę wina.

Uniosła szklanicę do ust i wypijała. Gdy to uczyniła, zniemacka pocałował ją w kącik ust.

Muszę się pohamować, zanim zrobię coś, czego będę żałował, pomyślał.

Nie zdając sobie sprawy z wewnętrznej walki, jaką toczy ze sobą Quenton, Olivia przysunęła się do niego.

- A po drugie?
- Jedzenie.
- Jedzenie...? - spytała zdziwiona.

- Tak. - Zmusił się do uśmiechu, widząc jej oszołomioną minę. Chodziło mu o to, by przynajmniej jeszcze przez jakiś czas zachować dystans. Jeżeli choćby na moment przestanie trzymać się na wodzy, wszystko przepadnie. Widok Olivii, jej bliskość i dotyk niebezpiecznie działały mu na zmysły. Już drżała mu ręka.

Podszedł do drzwi.

- Chyba pora na wieczerzę, Pembroke.
- Słucham, milordzie.

Gdy kamerdyner wszedł do biblioteki, Quenton wysunął krzesło dla Olivii.

Na stole pojawiła się delikatna przepiórka w wiśniowej galarecie, faszerowana kasztanami. Podano ją na świeżych warzywach. Był też gorący, chrupiący chleb, prosto z pieca.

- Ciasteczka rumowe i tartę gruszkową postawiłem na kredensie, milordzie, tuż obok brandy. Czy jeszcze coś podać?

- Dziękuję, Pembroke. Wezwę cię, jeśli będę czegoś potrzebował.

Olivia zajęła się jedzeniem, zdecydowana zachować beztroską atmosferę.

- Świetnie się dzisiaj bawiłam z królem na morzu.
- Karol zawsze był przyjemnym towarzyszem.

- Jest czarujący. Nie wiedziałam, że byliście aż tak bliskimi przyjaciółmi.

- Nie lubię o tym mówić. Kiedy rozejdzie się wieść, że jestem w takiej komitywie z królem, niejeden z moich znajomych będzie chciał to wykorzystać dla własnych celów.

- Nie przyszłoby panu do głowy, żeby wykorzystywać przyjaźń z królem dla własnych zamierzeń, prawda, Quentonie? Król naprawdę pana kocha - dodała, gdy się nie odezwał.

- Skąd ta pewność?

- Gdy dziś o panu mówił, słyszałam miłość i szacunek w jego głosie.

- A kiedy to było?

- Kiedy przybiliśmy do brzegu.

Przypomniał sobie Karola i Olivię, siedzących obok siebie, z pochylonymi głowami, zatopionych w cichej, poważnej rozmowie.

- Opowiadał mi o pańskim dzieciństwie tu, w Blackthorne, i o surowym seniorze rodu.

- O, tak, dziadek był surowy, ale sprawiedliwy. I był kotwicą dla dwóch przestraszonych chłopców, zdanych na łaskę wzburzonego morza.

- Powiedział mi też o pańskiej lojalności wobec niego, gdy był pan kapitanem statku korsarskiego.

- Rzeczywiście?

Przytaknęła.

- To niesprawiedliwe, żeby taką rzecz utrzymywano



w tajemnicy. Gdy ryzykował pan życie za ojczyznę, niektórzy uważali, że jest pan człowiekiem godnym pogardy, lekkoduchem i łotrem.

- Gdybym wiedział, miła pani, że znajdę w tobie tak zażartego obrońcę, powiedziałbym ci to już dawno temu.

- Kpi pan sobie ze mnie. Jak można żartować z takich spraw? Czyż nie wie pan, że są ludzie, którzy rozgłaszają o panu kłamstwa i złośliwe plotki? Uważają, że jest pan łajdakiem bez serca.

- Sądzi pani, że to ma dla mnie znaczenie? - Odstawił krzesło i podszedł do kominka.

Podążyła za nim i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie przeszkadza panu to obrzucanie błotem?

- Nie obchodzi mnie, co inni mówią czy myślą na mój temat. - Odwrócił się i chwycił ją za ramiona, wpatrując się jej głęboko w oczy. - Liczy się tylko to, co pani myśli.

- Myślę... - Modliła się o odwagę. Tyle odwagi, ile wykazał on, rzucając jej to wyzwanie. - Myślę, że jest pan najdzielniejszym, najwspanialszym i najszlachetniejszym mężczyzną, jakiego znam.

Uśmiechnął się.

- Znowu czuję, że pan kpi sobie ze mnie.

- Nigdy bym się nie ośmielił. - Przyciągnął ją do siebie. - W tej chwili nie zajmuje mnie moja szlachetna dusza.

- W takim razie co?

Pochylił głowę, odnalazł ustami jej wargi i spadł na nie tak gwałtownie, że obojgu zaparło dech w piersiach.

- To. - Znowu rozgniał wargami jej usta, a ona poczuła gorący spazm napiętności. - Tylko to. Tylko o tym mogę myśleć. Mogę myśleć tylko o tobie.

Całe przepełniające go uczucie zawarł w tym jednym gorącym, napiętym pocałunku. Nie mógł się oderwać od Olivii, jakby popychała go ku niej i trzymała jakaś przemożna siła.

Odwzajemniła ten pocałunek z uniesieniem, które zadziwiło ich oboje. Śmiało objęła go i rozchyliła usta. Ogień, tłący się dotąd gdzieś w głębi, wybuchł w niej na dobre.

- Quentonie... Chcę... - Przycisnęła usta do jego warg, a po chwili szepnęła: - Chcę tego, czego i ty chcesz.

Znieruchomiał, a potem odsunął ją odrobinę i kilka razy głęboko odetchnął, aby się uspokoić i zapanować nad napiętnością, która nie pozwalała mu zachować przytomności umysłu. Oszłołomił go ogrom jej uczucia. Na myśl, że ma jej przyzwolenie i mógłby ją wziąć tu i teraz, zaczął rozpaczliwie ze sobą walczyć.

- Quentonie...

- Ciii. - Położył palec na jej wargach, ale szybko cofnął go, gdy poczuł ich żar. - Jeszcze chwilę, Olivio, muszę się zastanowić.

- Nie chcę się zastanawiać. - Uniosła ku niemu twarz i rozchyliła usta. - Dość się już zastanawiałam. Chcę odczuwać.

- Boże drogi. Czy ty wiesz, co mówisz?

Uśmiechnęła się i uniosła na palcach, by musnąć ustami jego wargi.

- Mówię, że chcę tego. Chcę ciebie.

Znów przylgnął do jej warg. Nie odrywając od nich ust wyszeptał:

- Powinienem być rozsądniejszy. Czyż nie walczyłem właśnie przeciw temu? Ale, Boże dopomóż, nie mam już ani siły, ani chęci, by się opierać.

Gdy Olivia uniosła twarz do kolejnego pocałunku, odsunął ją delikatnie.

- Nie teraz. Jeszcze nie. Jeżeli pocałuję cię jeszcze choć raz, nigdy nie dotrzemy na górę, do sypialni.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie. Pembroke, gawędzący z gospodynią, aż drgnął z wrażenia, gdy lord Stamford i panna St. John szybkim krokiem wyszli na korytarz.

- Skończyliśmy już, Pembroke. Pani Thornton, służąca może sprzątnąć ze stołu.

- Tak, milordzie. Czy jeszcze coś?

- Nie. Panna St. John i ja udajemy się już na spoczynek. Wy dwoje możecie zrobić to samo.

- Doskonale, milordzie. - Pembroke przez chwilę patrzył, jak idą po schodach, a potem wszedł do biblioteki, by dopilnować kominka. Tymczasem gospodyni podeszła do stołu.

- Dziwne - zauważyła. - Nic nie zjedli.

- Może było zimne.

Odkroiła kawałek przepiórki i spróbowała.

- Jest pyszna.

- Czy zauważyła pani, jakie policzki miała panna St. John?

- Jakie miała policzki...?

- Bardzo zaróżowione. A lord Stamford miał dzikie spojrzenie. Jak pantera szykująca się do skoku.

- Myśli pan, że doszło między nimi do wymiany zdań? Wie pan, jak szybko oboje tracą cierpliwość. Może przez to wplątali się w jakąś kabałę.

Potrząsnął głową.

- Może i wdali się w kabałę, ale założę się, że nie z powodu kłótni.

Gdy prawda zaświtała w głowie gospodyni, położyła rękę na sercu.

- O Boże! Lord Stamford i mała, kochana panna St. John?

Oczy Pembroke'a rozjaśniły się uśmiechem.

- Powiedziałbym, że pasują do siebie.

- W żadnym razie! Mówił pan, że lord miał w oczach coś dzikiego. Martwię się o panienkę...

- Niech pani nie kładzie krzyżyka na naszej małej guwernantce. Ma ostry języczek i bystry rozum. Pod pozorami delikatności kryje się silny charakter. Założę się, że da sobie radę z lordem Stamfordem. - Pembroke spojrzał na nietknięte jedzenie na talerzach i pełne szklanice. - Szkoda, żeby zmarnowały się tak wspaniałe potrawy. Może skorzystamy z tych dobrodziejstw, co, Gwynnith?

Pilnie uważając, by ich ciała się nie zetknęły, Quenton i Olivia szli po schodach i dalej mrocznym korytarzem. Choć starali się zachowywać beztrosko, ruchy mieli sztywne, niezgrabne. Gdy doszli do jej apartamentu, Oli-

via przystanąła, sądząc, że Quenton otworzy drzwi i poprowadzi ją do środka. Tymczasem on bez słowa chwycił ją w ramiona i ruszył korytarzem. Zatrzymał się dopiero przed własnymi drzwiami.

Zamknął je łokciem i postawił ją na ziemi.

Olivia poczuła przyływ paniki.

- Myślałam...

- Nie myśl. Po prostu słuchaj swego ciała.

Dotknął ustami jej warg. Było to leciutkie muśnięcie, lecz oboje ogarnął żar, od którego zakręciło im się w głowach.

Wiedziała, że ze względu na nią stara się być delikatny i kochała go za to.

- Jesteś taka miękka, taka cudowna - wyszeptał z wargami przy jej ustach.

- A ty tak silny, że mnie to przeraża.

- Nie bój się. - Objął dłońmi jej twarz i zajrzał głęboko w oczy. - Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy.

- Wiem o tym.

- Naprawdę? Czy wiesz, że umarłbym dla ciebie? Albo nawet zebrał i się płaszczyl. Ale nigdy bym cię nie skrzywdził.

Chwyciła go za nadgarstki. Oczy miała szeroko otwarte, głos poważny.

- Nie mów tak. Nawet w takiej chwili.

- Że umarłbym dla ciebie? To prawda.

Unióśł ręce, by wyjąć jej grzebienie z włosów.

- Czy wiesz, od jak dawna tego pragnąłem? - Patrzył,

jak ciężkie, ciemne fale opadają na ramiona. - Boże, jesteś taka piękna.

Zanurzył ręce w jej jedwabistych włosach i położył usta na wargach, napawając się całą ich słodyczą i niewinnością. Rozbudziło to w nim jeszcze większe pożądanie. Całował Olivię tak namiętnie, że zabrakło im tchu.

Odsunęła się, by zaczerpnąć powietrza.

- Byłam pewna, że wszystko dokładnie przemyślałam...

Obsypywał pocałunkami jej skroń, policzek, ucho.

- A teraz?

- Sama nie wiem. Nie mogę myśleć, kiedy mnie całujesz.

- To dobrze. Taki właśnie miałem plan: zawrócić ci w głowie.

Przesunął ustami po jej smukłej szyi. Czuł, jak gwałtownie bije puls. Napawał się miękkością jej ciała i bijącym od niej zapachem lawendy.

Olivia zadrżała, lecz gdy tylko oparła się o Quentona i uspokoiła, pochylił głowę do jej piersi, by je całować i pieścić. Poczowała, że sięga do guzików sukni. Usłyszała stłumione przekleństwo, gdy nie szło mu tak szybko, jak chciał.

Ochoczo uniosła ku niemu ręce.

- Pozwól, pomogę ci...

Materiał rozdarł się pod jego niecierpliwymi dłońmi.

- Quentonie, moja nowa suknia...

- Zamówię ci tuzin nowych. Dwa tuziny. - Patrzył, jak

tkanina opada na podłogę, rozkładając się wachlarzem u jej stóp.

Potem nagle jego ręce spadły na jej ciało, głaszcząc i pieszcząc, a po chwili poczuła na sobie jego usta i język.

Skórę miała delikatniejszą, niż sobie wyobrażał w najśmielszych marzeniach, a ciało tak białe, że w świetle ognia lśniło niczym alabaster. Drżała pod jego dotykiem, co wywoływało w nim dreszcz podniecenia.

Olivia zawsze myślała, że gdy po raz pierwszy stanie naga przed mężczyzną, ogarnie ją zażenowanie. Ale teraz, gdy ujrzała, jak oczy Quentona błyszczą z zachwytu, poczuła podniecenie zamiast wstydu.

- Olivio, jesteś taka piękna.

- Przedtem nigdy mi na tym nie zależało, ale chcę być piękna dla ciebie, Quentonie. Tylko dla ciebie. - Z jękiem przywarła wargami do jego szyi.

Cofnął się o krok, chcąc się jej przyjrzeć.

- Marzyłem, żeby cię taką zobaczyć. Takiej cię dotknąć. - Uniósł ręce do jej małych, jędrnych piersi, kciukami pocierał jej sutki, aż mało nie oszalała z rozkoszy. Ale to był dopiero początek. Gdy pochylił usta do jej piersi, a potem zaczął je całować i ssać, westchnęła, i wpiła mu palce we włosy. Nieprzytomna z pożądania chwyciła go za koszulę, pragnąc pieścić go tak, jak on ją pieścił.

Zdumiała ją własna siła, gdy uświadomiła sobie, że materiał rwie się jej w rękach. Kiedy koszula spadła, poczuła jego rozpalone ciało tuż przy swoim. Serce biło przy ser-



cu. Olivia stała się śmielsza, wiedząc, że to ona jest przyczyną podniecenia Quentona.

Gorączkowo usiłowała uwolnić go z ubrania. Z westchnieniem zniecierpliwienia wypuścił ją z objęć, by zrzucić buty i spodnie. Potem złączyli się w namiętym uścisku.

- Dotknij mnie, Olivio. Pragnę, byś mnie dotknęła.

Zaczęła przesuwając rękami po jego ciele. Początkowo ostrożnie, a potem, słysząc, jak jęczy z rozkoszy, coraz śmielej. Podniecały ją grzły mięśni na jego plecach i ramionach i płaski twardy brzuch. Na myśl o niewiarygodnej sile jego ramion przechodziły ją ciarki. A przecież obchodził się z nią tak delikatnie, jakby była z kruchego szkła.

Zupełnie przestała myśleć. Teraz powodowała nią wyłącznie dzika, pierwotna żądza, która zatykała jej płuca, rozpaliała ciało i drażniła do granic możliwości nerwy.

Cała zatraciła się w świecie mrocznej, upajającej rozkoszy.

Zbyt osłabli, by stać, toteż osunęli się na kolana, nadal złączeni w uścisku. Mruknęła cicho z niezadowoleniem, gdy oderwał usta od jej warg. Ale gdy ułożył ją pośród porzucanych ubrań i powoli zaczął przesuwając wargami po jej ciele, odkrywając coraz to nowe zakamarki, zaczęła wzdychać z rozkoszy.

Patrzyła nań spod na wpół przymkniętych powiek. Ciemne włosy, ciemne oczy rozpalone namiętnością. Same mięśnie i ścięgna, spalona słońcem skóra, błyszcząca od potu. Jej mroczny anioł.

Przepełniona nowymi doznaniem miała wrażenie, jakby unosiła się nad swym ciałem, patrząc i słuchając. Czy to ona wydaje te westchnienia i jęki? Czy to jej puls bije jak oszalały?

Na dworze nocny ptak krzyczał do księżyca, ocean ryczał, rozbijając się o postrzępione skały u podnóża urwiska, ale w pokoju słyhać było tylko syki i trzask ognia. A także westchnienia, okrzyki, niezrozumiałe słowa miłości. Świat poza tymi ścianami już się nie liczył. Ważny był tylko ten mężczyzna, ta kobieta, ta chwila.

A potem Olivia usłyszała jego urywaną, wymamrotaną pod nosem przysięgę. Czuła na sobie jego stwardniałe dłonie, które dawały jej niewiarygodną rozkosz.

Patrzył na jej twarz, gdy doprowadzał ją na pierwszy szczyt. Tak uroczo wyglądała. Te przepastne, wyraziste oczy, nieprzytomne ze zdziwienia i niedowierzania.

Nie pozostawił jej czasu, by doszła do siebie, lecz brał ją raz po raz w oszalamiającą podróż. Taką ją pragnął mieć: nie tylko mięką i uległą, lecz także dziką i oszalałą, wijącą się nieprzytomnie, niepomną na nic.

Czuł, że za chwilę postrada zmysły. A jednak nadal powstrzymywał się, nie doprowadzając do spełnienia. Chciał, musiał dać jej więcej. Pragnął, by zapamiętała tę chwilę na zawsze, tak jak do końca życia pozostanie ona również w jego pamięci.

Aż wreszcie, gdy wiedział, że musi ją wziąć, bo inaczej oszaleje, przesunął ustami po całym jej ciele, wrócił do warg, wszedł w nią i usłyszał jej gwałtowne westchnienie.

- Może boleć, ale tylko przez chwilę.

Cała się napięła, oczekując bólu, ale czuła tylko rozkosz, napływającą falą za falą. Myślała, że więcej nie jest już w stanie jej doznawać. Gdy zaczął się w niej poruszać, poruszała się wraz z nim, instynktownie wiedząc, jak się do niego dostroić.

Jest mój, pomyślała, przytulając go i wspinając się na kolejny szczyt. Należał do niej. Tylko do niej.

A potem opuściła ją wszelka myśl, gdyż wspinali się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie się uwolnili.

Leżeli, nadal złączeni, oddychając ciężko, ich serca biły głośno, a skóra była pokryta potem.

Quenton uniósł się na łokciu i spojrzał na Olivię. W oczach miała łzy. Łzy? Przyciągnął ją do siebie tak gwałtownie, jakby chciał ją zmiażdżyć w uścisku.

- Boże drogi, sprawiłem ci ból.

- Nie. Och, nie, Quentonie. To łzy szczęścia.

- Naprawdę? Jesteś pewna?

Skinęła głową.

- Tak.

- Wiesz, od jak dawna pragnąłem tak cię trzymać? Tak cię kochać?

- Od jak dawna? - Nawet tych parę słów trudno jej było wymówić, tak osłabła.

- Chyba od pierwszego wieczoru, gdy cię ujrzałem. Zadrzałaś, gdy cię przypadkiem dotknąłem.

- Miałaś taką surową minę.

Zaśmiała się.

- Wiedziałem, że muszę cię dotknąć, pogłaskać po włosach - szepnął, odgarniając jej wilgotne kosmyki z twarzy.

- Więc dlaczego zabrało ci to tyle czasu?

- O ile pamiętam, nie bardzo mi sprzyjałaś.

- Onieśmiałaś mnie.

- Wiem. Bardzo mnie to w tobie pociągało, ta twoja nieśmiałość.

- Naprawdę? Myślałam, że niezbyt mnie lubisz.

- Och, panno St. John, szalenie panią lubię. - Musnął jej usta wargami. - Szalenie. - Przewrócił się na bok i zamknął ją w ramionach. - I zamierzam ci to okazywać tak często, jak tylko zdołam. Och, Livvy, tyle chciałbym ci dać.

Zauważył, że znieruchomiała.

- O co chodzi? Powiedziałem coś nie tak?

- Nazwałeś mnie Livvy.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się i uspokojony dodał: - Pasuje do ciebie. Masz coś przeciw temu?

Potrząsnęła głową.

- Tak nazywali mnie rodzice.

- Widzisz? Miałem rację. Pasuje do ciebie. Ilekroć znajdziemy się sami, będę nazywał cię Livvy. Oczywiście w towarzystwie nadal zamierzam zwracać się do ciebie oficjalnie, „panno St. John”. Bardzo przyzwoita i dobrze wychowana Olivia St. John.

- Tak mnie widzisz? Przyzwoita i dobrze wychowana?

- Właśnie tak. A jak ty mnie widzisz?

- Jako niebezpiecznego korsarza - odparła bez wahania - który wypływa na egzotyczne morza i walczy z wrogami monarchii.

Uśmiechnął się i owinał jej lok dookoła palca.

- Tego groźnego korsarza możesz powalić jednym paluszkiem, moja panienko.

- Niech pan uważa, wasza lordowska mość. Gdy uwierzę, że mam taką moc, stanę się niebezpieczna. - Położyła mu rękę na piersi i poczuła jak zadrżał. Zadrżał pod jej dotykiem? Uśmiechnęła się szelmowsko i przesunęła rękę niżej.

Z jego ust wydobył się pomruk rozkoszy.

- Jeśli nie przestaniesz, moja pani, zaraz odkryjesz, jak wielką moc posiadasz.

- Czy to możliwe...? To znaczy, dałbyś radę...? Moglibyśmy? - Uśmiechnęła się. - Jeszcze raz?

Westchnął z udawaną niecierpliwością.

- W jednej chwili jesteś słodkim, niewinnym dziewczęciem, a zaraz potem stajesz się rozpustnicą.

- Tak to wygląda. - Usiadła, nie wstydząc się swej nagości. - Powiedziałeś, że chcesz mi coś dać.

- A ty chcesz to wszystko teraz, maleńka?

- Tak. - Przesunęła usta niżej, po jego muskularnej, owłosionej piersi, potem po płaskim brzuchu i usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze.

Oszołomiona swoją władzą, zaśmiała się radośnie.

Położył ją na sobie.

- Widzę, że nie mam wyboru. Muszę dać ci kolejną lekcję sztuki miłości.

- Tak, wasza lordowska mość.  
Jej śmiech stłumił gorący pocałunek.

Quenton i Olivia leżeli na łożu w wykwintnej pościeli. Pierwszy brzask rozjaśniał już horyzont. Przez całą noc kochali się, potem zasypiali i znowu budzili się, by na nowo obdarzać się miłością. Oboje byli zdumieni głębią swej namiętności. Czasem ich pieśszczoty stawały się gwałtowne, kiedy indziej znów były słodkie i łagodne, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

Quenton odgarnął jej z oka zabłąkany lok i uśmiechnął się. Kto tu tak naprawdę był nauczycielem? Żeglarz, który opłynął cały świat, czy nieśmiała guwernantka?

- O czym myślisz? - zapytała Olivia.

- O tym, jak przyjemnie jest budzić się przy twoim boku. Jak ja mogłem przeżyć tyle lat bez ciebie?

Myślała o tym samym. Przeciągnęła się i mocniej przytuliła do niego.

- Czuję się taka... - Urwała, zastanawiając się, na ile może sobie pozwolić.

- Jaka?

Chciała powiedzieć, że czuje się niczym najedzony kocur, lecz zakończyła po prostu:

- ...taka bezpieczna przy tobie, Quentonie.

- Bo jesteś, moja droga. Daję ci słowo, że nic złego cię przy mnie nie spotka - powiedział, oplatając ją ramionami i przyciągając do siebie.

- Mój zuchwały, dzielny korsarz. - Przesunęła palcem

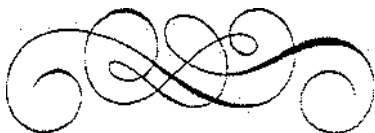
po jednej z wielu blizn, którymi poznaczone były jego ramiona i plecy. - Tak mi przykro z powodu tych blizn...

- To tylko blizny, moja królowo.

- Kiedyś były ranami. Nie mogę znieść myśli, że cierpiełaś.

- Ból już minął, najdroższa. Ty go scałowałaś. Chodź i pocałuj mnie znowu. Tej nocy poszedłem spać w Blackthorne - wyszeptał z ustami przy jej ustach - a obudziłem się w raju.

Cicho wzdychając i szepcząc słowa miłości, jeszcze raz odpłynęli do swego własnego zaczarowanego rajskiego ogrodu.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Wasza lordowska mość... - Stłumiony głos Edlyn i głośnie pukanie do drzwi sprawiły, że Quenton i Olivia usiedli, zaspani i skonsternowani, pośród skłębionej pościeli.

- To niemożliwe, żeby już był ranek - wyszeptała Olivia, przykrywając usta.

Ciężkie zasłony w oknach przesłaniały widok za oknem.

- Zdaje się, że jednak zaspaliśmy, kochanie - powiedział Quenton i rzucił jej szelmowski uśmiezek.

- Jak ja się teraz dostanę do sypialni? Moja suknia... - Spojrzała z przerażeniem na ubranie, które nadal leżało w nieładzie tam, gdzie je rzuciła. - Quentonie, dowiedzą się o tym wszyscy w Blackthorne.

Znowu rozległo się pukanie, po czym Edlyn zawołała jeszcze bardziej nagłaco:

- Wasza lordowska mość, pani Thornton przysłała mnie, bym rozpałiła ogień.

- Dziękuję, Edlyn. - Quenton spojrział na młodą kobietę u swego boku i dostrzegł na jej policzkach rumieniec zażenowania. Stłumił śmiech. - Sam się tym zajmę.



- A taca, wasza lordowska mość? Przyniosłam herbatę i biszkopty.

- Zostaw ją przed drzwiami. Sam po nią pójde, kiedy się ubiorę.

- Słucham, wasza lordowska mość - odpowiedziała służąca po chwili wahania.

Quenton odczekał, aż kroki za drzwiami umilkły, po czym opadł na poduszki i zaczął się głośno śmiać.

- Livvy, powinnaś zobaczyć swoją minę.

- Jak ja spojrzę w oczy służbie? I nieszczęsnemu Liatowi? Pewnie w każdym kącie szuka swojej zbłąkanej opiekunki. - Odwróciła się do niego: - Och, Quentonie, co teraz zrobimy?

- No cóż... - Przesunął palcem po jej dłoni i krągłym ramieniu, rad z jej wrażliwości na tę prostą pieśczęotę. - Ty możesz wnieść tacę, a ja rozpalę ogień. Zrobi się przyjemnie i ciepło, będziesz sączyć herbatę i pojadać biszkopty, a ja tymczasem... mogę spróbować czegoś innego.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Jak możesz leżeć sobie i żartować, podczas gdy ja się zamartwiam?

- Masz rację. To niesprawiedliwe. - Położył ją na sobie i zaczął muskać wargami jej szyję. - Skoro chcesz się zamartwiać, niech ci przynajmniej będzie wygodnie. - Przesuwał usta coraz niżej, do jej krągłych piersi. Usłyszał, jak westchnęła z rozkoszy, i uśmiechnął się. - Sama widzisz. Czy nie czujesz się lepiej?

Na końcu języka miała już kilka złośliwych odpowie-

dzi. Myślała też, czyby mu się nie wyrwać. Ale, jak zawsze, zatraciła się w jego bliskości.

Teraz chce się tylko cieszyć jego pieścizotami. Później powie, co o tym myśli. A co ma być, niech będzie.

- Ach! Lord Stamford, panna St. John. - Król uniósł głowę znad talerza, żeby przyrzeć się podchodzącej do stołu parze. Siedzieli już przy nim Bennett i Minerva, a także Liat.

Służba krzątała się, rzucając ukradkowe spojrzenia na świeżo przybyłych stołowników. Na twarzy Pembroke'a, który stał wyprostowany przy drzwiach, nie drgnął ani jeden mięsień. Pani Thornton, umęczona jak zwykle, wpadła do jadalni, gdy tylko usłyszała z ust króla słowa powitania, po czym pospiesznie wycofała się i zajęła przygotowywaniem tacy.

- Wspaniale dziś wyglądasz, stary przyjacielu. - Karol wskazał sąsiednie krzesło. - Niech pani tu usiądzie, panno St. John.

Olivia zajęła wskazane miejsce, a Quenton usadowił się obok niej.

- Muszę powiedzieć, panno St. John, że morskie powietrze świetnie pani robi. Cała pani promienieje. - Król spojrzał na swego przyjaciela. - Zgodzisz się ze mną, lordzie Stamford?

- Owszem, najjaśniejszy panie - odparł Quenton. Co też mu przyszło do głowy, by sprowadzać ją na dół, na śniadanie z królem? Powinien był po prostu zabarykado-

wać drzwi i zatrzymać ją dla siebie na cały dzień. Nawet teraz, siedząc koło Olivii, pragnął być z nią sam na sam.

- Czy spacerowaliście po ogrodzie?

- Po ogrodzie...? - Olivia spojrzała zdziwiona na króla. - Dlaczego najjaśniejszy pan pyta?

- Spotkałem Liata przed jego apartamentem. Powiedział, że na próżno szukał pani dzisiaj przez cały ranek, panno St. John. - Przesłał jej znaczący uśmiech. - Zapewniłem go, że z pewnością spaceruje pani z lordem Stamfordem. W końcu tu, w Blackthorne, nie mamy zbyt wielu kryjówek - uśmiechnął się jeszcze szerzej - ani sekretów.

Olivia najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Milczała, czerwona z zażenowania.

Litując się nad nią, gospodyni przystanąła z tyłu i powiedziała łagodnie:

- Proszę herbatę, panienko. I trochę grzanego wina z korzeniami. Podobno bardzo koi nerwy.

- Dziękuję, pani Thornton - odparła Olivia ze słabym uśmiechem.

Gdy pojawił się służący z tacą pełną mięsiv i chleba, nałożyła sobie bardzo niewiele, za to Quenton napełnił cały talerz.

- Wspaniale dopisuje ci dziś apetyt, przyjacielu. - Król opróżnił puchar i skinął z aprobatą głową, gdy dziewczka służebna napełniła go na nowo. - Nic tak jak dzień spędzony na morzu nie zaostrza... różnych apetytów.

Quenton dostrzegł w oczach króla iskierki wesołości. W innej sytuacji drwiny króla bawiłyby go do łez i potra-

fiłby na nie dowcipnie odpowiedzieć. Może nawet sam by się pochwalił, jaki to z niego niezrównany kochanek. Wiedział jednak, że Olivia jest straszliwie zakłopotana, i postanowił za wszelką cenę ją chronić. Ponieważ nie mogła opuścić jadalni wcześniej niż król, musiał jakimś sposobem ponaglić monarchę.

- Myślałem, że wasza królewska mość pragnie zwiedzić stajnie - rzucił od niechcienia.

- Widziałem konie przed dwoma dniami, kiedy jechaliśmy na polowanie.

- Tak, ale nie mieliśmy okazji się ścigać. - Widząc znudzoną minę króla, dodał: - Stawiam tysiąc fantów, że mój koń prześcignie wierzchowca najjaśniejszego pana.

Król rozjaśnił się.

- Przyjmuję zakład, bo wiesz, z jaką radością wezmę twoje złoto, ale teraz chciałbym przejść się po ogrodzie.

Podniósł się, a reszta biesiadników poszła w jego ślady.

Quenton pochylił się do Olivii i szepnął:

- Najlepiej będzie, jeśli zabierzesz Liata do jego pokoi i zaczniesz z nim lekcję.

- Dobrze - odparła z westchnieniem ulgi. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła umknąć przed bezlitosnymi docinkami króla.

Gdy wychodzili z jadalni, monarcha odwrócił się ku niej i powiedział:

- Będzie nam pani towarzyszyła, panno St. John. Liat

opowiadał nam, jak wiele pani wie o roślinach i owadach. Chciałbym sam się o tym przekonać.

Jęknęła w duchu, ale uśmiechnęła się do króla.

- Oczywiście, najjaśniejszy panie. Z najwyższą przyjemnością.

Na widok miny Quentona w oczach króla pojawił się szelmowski błysk.

- Czy chciałeś coś powiedzieć, stary druhu?

- Nie, najjaśniejszy panie. - Powie to później, gdy zostanie sam ze swym przyjacielem Mrozkiem.

- W takim razie chodźmy.

Wyszli na wspaniałe słońce i ruszyli spacerkiem po porośniętej trawą ścieżce. Skan Anula, przerobiła pona.

- Jeśli chcesz pobiec naprzód, chłopcze, i poszukać motyli, możesz to zrobić - powiedział król.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie. - Otrzymawszy królewskie pozwolenie, Liat natychmiast zбочzył ze ścieżki i zaczął buszować wśród różnych krzewów.

Reszta spacerowała wolniej, zatrzymując się, żeby podziwiać starannie utrzymane żywopłoty i napawać się wspaniałym aromatem róż, dzwonków i jaskrów, kołysanych podmuchami wiatru. Król kroczył z przodu, domagając się, by Olivia szła u jego boku, a Quenton z tyłu. Pochód zamykał Bennett, którego Minerva pchała na fotelu.

Król odwrócił głowę.

- Blackthorne może się pochwalić jednym z najpiękniejszych ogrodów, jakie zdarzyło mi się widzieć w życiu, lordzie Stamford.

- Dziękuję, wasza królewska mość. Przekażę królewskie pochwały naszym ogrodnikom.

Karol ujął rękę Olivii.

- A ty, moja droga, jesteś najpiękniejszym kwiatem.

Quenton zacisnął dłoń w pięść. Król doskonale wiedział, jak dopiec staremu przyjacielowi.

Widząc, że dziewczyna oblewa się rumieńcem, Karol rzekł:

- Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czyżby tak piękna kobieta nie zdawała sobie sprawy z własnej urody?

Quenton przytaknął, a jego wzrok złagodniał.

- Tak, najjaśniejszy panie. To rzadki skarb.

- Istotnie, bardzo rzadki.

Słyszając pełen podniecenia okrzyk Liata wszyscy unieśli wzrok. Idąc za jego głosem, ujrzeli, że wskazuje motyla, przycupniętego na bladoróżowym kwiecie.

- Proszę spojrzeć, wasza wysokość. To *Celastrina argiolus*. Panna St. John powiada, że te motyle niezwykle rzadko występują w Kornwalii.

- Jest przepiękny. - Król wziął chłopca za rękę i przysunął się bliżej, by dokładniej obejrzeć cenny okaz. - Widzisz te wspaniałe kolory?

Liat przytaknął.

- Panna St. John powiada, że przypominają okna katedry.

- Bardzo celny opis, Liacie. A jak wdzięcznie przelatuje z kwiatka na kwiatek!

Biegali po ogrodzie, żeby nie stracić z oczu motyla,

a reszta podążała ich śladem. Quenton chwycił Olivie za rękę, niby to pomagając jej przeskoczyć niewielki kamień.

- Chciałbym, żebyśmy byli sami - wyszeptał. - Chcę cię tulić, całować.

- Cicho, Quentonie, ktoś usłyszy.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Zatrzymał się przy kępie paproci i przesunął ręką po jej policzku. - Ucieknijmy.

- Dokąd mielibyśmy uciec?

- Nie wiem. Najlepiej na morze, na pokładzie „Utrajusza” - powiedział i uśmiechnął się do niej.

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Byłoby wspaniale, prawda?

- Ach, tu jesteście - rozległ się tuż za nimi głos króla.

- *Celastrina* pofrunęła na łakę.

Obrzucił Quentona i Olivie długim, znaczącym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się figlarnie i zwrócił do Liata:

- Rozejrzyj się uważnie, chłopcze, miejmy nadzieję, że znajdziesz następnego. Co za ranek. Dwie rzadkie piękności.

- Dwie? - Liat zrobił zdumioną minę.

- Ano tak. *Celastrina argiolus* i twoja guwernantka. - Zaśmiał się ze swego żarciku i ujął chłopca za rękę. - Pospacerujmy jeszcze, Liacie, może znajdziemy inne skarby.

- Odwrócił się i powiedział swoim najbardziej władczym tonem: - Lordzie Stamford, oczekuję, że razem z panną St. John dołączycie do nas. I mam nadzieję, że nigdzie się już nie zawieruszyacie.

- Lordzie Stamford, oszałamia mnie liczba motyli w twoim ogrodzie. - Król był w świetnym humorze po kilku godzinach spędzonych w towarzystwie Liata i Olivii. - A chłopiec jest doskonale wychowany. Nie mogę się dość nachwalić jego guwernantki. Ma znacznie większą wiedzę, niż się spodziewałem.

Słyszając te pochwały, Olivia znów się zaczerwieniła.

-- Musi mi pani powiedzieć coś więcej o naukach, jakie pani pobierała - powiedział Karol, gdy zbliżali się do dziedzińca.

- Uczył mnie mój ojciec, James St. John. Był cichym, skromnym nauczycielem botaniki w Oksfordzie.

Król przystanął i odwrócił się, by dokładniej się jej przyjrzeć.

- James St. John? To zdumiewające, panno St. John. Słyszałem o pani ojcu. Przeczytałem kilka jego artykułów, nawiązaliśmy nawet korespondencję. Jego szeroka wiedza i zakres zainteresowań zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Przesłał mi kilka okazów do mojej kolekcji. W zamian nadałem mu tytuł i bardzo hojne stałe wynagrodzenie.

- Tytuł i.., wynagrodzenie?

- Uznałem, że memu najnowszemu doradcy należy się tytuł lorda. A wraz z tytułem, również skromny majątek w Oksfordshire. - Przyjrzał się jej uważniej. - Moja droga panno St. John, wyglądasz na zdumioną. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

Przytaknęła, zbyt zaskoczona, by cokolwiek powiedzieć.



- Dlaczego rodzice ukrywali to przede mną? - wykrztusiła wreszcie

- Naprawdę o niczym pani nie wiedziała? - zapytał Quenton.

- Nie.

Ujął ją za rękę.

- Mówiła pani, że to skromni ludzie. Może myśleli, że gdy ogłoszą to, wyjdą na pyszałków.

- Możliwe. Ale czyżby nie chcieli dzielić takiego zaszczytu z własną córką? - Olivia była wyraźnie wstrząśnięta. - I co zrobili z majątkiem i pieniędzmi?

Quenton odwrócił się do króla.

- Najjaśniejszy pan powiada, że przekazał to ojcu panny St. John?

- Osobiście się z nim nie spotkałem. Podjęto decyzję na dworze, po czym wysłano posłańca, by go o tym zawiadomił.

Quenton odwrócił się do Olivii.

- Może już nie żyli, gdy nadeszła decyzja... - Ponownie zwrócił się do króla i wyjaśnił: - Rodzice Olivii zginęli niedawno, spadając w przepaść.

Król dotknął jej ramienia.

- Współczuję pani, moja droga. Ich śmierć wielce żuboczyła angielską naukę. Wiem, że dla pani to bolesna i niepowetowana strata.

- Tak, wasza królewska mość. - Wzruszyła ją ta szczerą troska. Straciwszy własnego ojca, Karola I, który został publicznie ścięty, król wiedział doskonale, co to ból i żałoba. - Dziękuję za słowa współczucia.

W drzwiach pojawił się Pembroke.

- Wasza królewska mość, lordzie Stamford. Nadjeżdża kilka powozów.

- To nasi goście z Londynu. - Oczy króla zapłonęły radością. - Droga pani, spotka panią wielką przyjemność. Pozna pani kilku spośród najmądrzejszych i najdowcipniejszych ludzi z całej Anglii. Mam rację, stary przyjacielu?

Quenton próbował wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu, ale wiedział, że spokój, który tak niedawno odnalazł w Blackthorne, powróci dopiero po wyjeździe gości. Zerknął na Liata, który, znużony, czepiał się kurczowo spódnicy Olivii. Najchętniej zaniósłby chłopca do łóżka, a potem, tak jak wczoraj, zaszył się wraz z Olivią we własnej sypialni. Wystarczył mu jednak rzut oka na królewskie oblicze, by zorientować się, że nic z tego. Ich życie prywatne zupełnie się teraz nie liczy. Odwrócił się do Olivii.

- Może położyłaby pani chłopca, żeby się trochę zdrzemnął. Pani i Liat powitacie gości wieczorem, podczas królewskiego balu.

Widząc jego zaciśnięte usta, odgadła, w jakim jest humorze. Jej nadzieja, że uda im się razem wymknąć, rozwiąła się.

- Tak, myślę, że wasza lordowska mość ma rację.

Nawet z tak wielkiej odległości słyszała, jak pani Thornton miota obelgi pod adresem służących, gdy powozy podjeżdżały na dziedziniec. Dziesiątkom gości, wraz z ich osobistymi służącymi, trzeba było wskazać pokoje.

Trzeba też było wnieść po kilku kondygnacjach schodów ich kufry, a potem je rozpakować. Przez kilka następnych godzin w Blackthorne będzie panował chaos. Choć Olivia tak bardzo pragnęła być z Quentonem, teraz cieszyła się, że może zamknąć się w swoich pokojach.

Gdy odchodziła, trzymając Liata za rękę, Quenton odprowadził ich wzrokiem.

- To piękna kobieta, przyjacielu. - Król poklepał go po ramieniu. Jego oczy błyszcząły złośliwym rozbawieniem. - Będzie uroczą damą dworu.

Quenton powiedział cicho:

- Gdy byliśmy chłopcami, Mrozku, zawsze starałeś się uzyskać nade mną przewagę, pamiętasz?

- Tak.

- I nigdy ci się to nie udało.

- To prawda. Dorośliśmy, i to ja jestem królem.

- Jeśli chcesz dożyć następnego roku panowania, nie mów ani słowa więcej o zabraniu mojej pani do Londynu.

- Twojej pani, tak? - Karol wyciągnął rękę. - To cię będzie kosztowało tysiąc funtów, przyjacielu.

Quenton zbyt późno zrozumiał, co właściwie wyznał.

- Dostaniesz swoje złoto.

Karol przystanął w pół kroku.

- Ustępujesz?

- Tak.

Król zamknął go w mocnym uścisku.

- Wiedziałem. Wiedziałem od chwili, gdy zobaczyłem was razem dziś rano.

- Poznałeś to po minach służących. Głowę dam, że wie już o tym całe Blackthorne.

- Tak. Tworzycie razem wspaniałą parę. Do diabła, Quentonie, trzeba to uczcić.

- Nic podobnego. Teraz chcę być sam, by cieszyć się moim szczęściem.

- Dobrze. Niech i tak będzie. Ciesz się spokojem.

Karol uśmiechnął się. - Na razie.

- Naprawdę? Zwalniasz mnie?

- Jeszcze nie zaraz, przyjacielu, ale wkrótce. Teraz chodźmy powitać naszych gości.

Uśmiechając się konspiracyjnie, obaj mężczyźni przeszli na dziedziniec, by stawić czoło zgiełkowi i zamieszaniu.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Olivia nuciła pod nosem, zawiązując wstążki u stanika sukni i przeglądając się w wysokim lustrze. Gdy Liat odpoczywał, wzięła kąpiel, umyła włosy i wyjęła prostą wełnianą suknię, zapinaną wysoko pod szyją, z wąskimi rękawami. To idealny strój dla guwernantki, która ma powitać utytułowanych gości, pomyślała.

Korytarze Blackthorne rozbrzmiewały pospiesznymi krokami, gdyż służba biegała tam i z powrotem, przynosząc wodę, pościel oraz pachnące mydła dla gości. Ze wsząd dochodził gwar, wysoki śmiech kobiet krzyżował się z głębokim barytonem mężczyzn.

Olivia wiedziała, że życzenie, by Quenton do niej przyszedł, jest samolubne. Ale tak bardzo tęskniła za dźwiękiem jego głosu i dotykiem rąk. Gdy usłyszała, że otwierają się zewnętrzne drzwi bawialni, jej puls uderzył mocniej, lecz nim się odwróciła, ujrzała za sobą w lustrze odbicie Quentona.

- Ach! Oto widok, który poprawi mi humor. - Podszedł do niej od tyłu, otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Quentonie... - Wpatrywała się w ich sylwetki w lu-

strze i zadrżała, gdy pochylił się, by obsypać pocałunkami jej kark. - Myślałam, że będziesz zajęty gośćmi.

- Byłem, ale musiałem cię zobaczyć.

- Słyszałam tyle kroków w korytarzu, jakby król zaprosił tu całe wojsko.

- To bardzo prawdopodobne. Każdy pokój w Blackthorne jest zajęty. Nieszczęsna pani Thornton odchodzi od zmysłów.

Odwróciła się ku niemu.

- A jak tam nasz gościnnie gospodarz? Też odchodzi od zmysłów?

- Pewnie bym je już postradał, gdybym jeszcze dłużej pozostał na dole. - Złożył na jej ustach długi, niespieszny pocałunek, po czym przycisnął wargi do jej skroni, szepcząc: - Och, Livvy, jakże mi tego było potrzeba.

Objęła go w pasie.

- W takim razie cieszę się, że mogłam zadowolić waszą lordowską mość.

- Zastanawiam się, co bym zrobił, gdybym cię nie spotkał. Chyba musiałbym cię wymyślić.

- Czy pańskie życie było aż tak ponure, wasza lordowska mość?

- Ponure i puste. I wlokło się niemiłosiernie, bez żadnej nadziei na lepszą przyszłość. A teraz... - ujął jej twarz w dłonie - ...teraz mam moją piękną, wspaniałą Livvy. Chodź ze mną do łóżka, kochanie.

- Jak to? - Zerknęła w kierunku zamkniętych drzwi.

Liat niebawem się obudzi. Będzie czekał, żebym się nim zajęła.

- Mamy mnóstwo czasu. Wykorzystamy go co do sekundy. Potrzebuję cię bardziej niż on.

Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie powody, dla których nie powinni robić tego w tej chwili, ale usta i ręce Quentona już zaczęły odprawiać swoje czary.

- Och, Quentonie, jakże mogę odmówić ci czegokolwiek?

- Ja tobie również nie, najdroższa. - Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, gdzie na tysiąc najprzeróżniejszych sposobów zaczął jej pokazywać, jak bardzo ją kocha.

- Quentonie, musisz się przygotować do wieczerzy z królem i twymi gośćmi. - Olivia wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

- Dlaczego muszę?

- Jesteś panem na Blackthorne.

- Tym bardziej mogę robić, co mi się żywnie podoba.

- Jesteś gospodarzem domu, w którym gości król Anglii i jego najbliżsi przyjaciele. Nie możesz ich urazić.

- Masz rację. Chyba powinienem zacząć wreszcie zachowywać się rozsądnie. - Odrzucił pościel, podszedł do miski i zaczął się nad nią myć.

Gdy się ubierał, Olivia włożyła suknię.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego wkładasz taką prostą suknię? - zdziwił się.

- Wasza lordowska mość, jestem tylko zwyczajną guwernantką.

- Nie ma w tobie niczego zwyczajnego, najdroższa. Na dzisiejszy wieczór powinnaś wybrać coś bardziej strojnego. - Podszedł do szafy i przerzucał jej nowe ubrania, aż natrafił na suknię z mieniącego się zielonego atłasu. - Chcę, żebyś to włożyła.

Zdumiona, przypatrywała mu się przez chwilę, i w końcu skinęła głową.

- Dobrze, jeśli sprawi ci to przyjemność.

Przyciagnął ją do siebie i musnął wargami jej usta.

- Ty samą sobą sprawiasz mi przyjemność, Livvy. Sprawiasz mi ogromną przyjemność.

Pod jego okiem zdjęła wełnianą suknię i włożyła atłasową. Gdy zapięła wszystkie guziki, z mimowolnym podziwem spojrzała na swoje odbicie w tetrze. Śmiały dekolt ukazywał wysokie, jędrne piersi. Rękawy, odsłaniające ramiona, przybrane były olbrzymimi falbanami, a obszerna spódnica tu i ówdzie zebrana była kokardami o podobnym odcieniu.

- Och, Livvy. - Quenton stanął za nią. - Jesteś bez wątpienia najpiękniejszą kobietą, jaka kiedykolwiek zaszczyliła swą obecnością Blackthorne.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dla ciebie. Patrzysz sercem, nie oczyma.

- Te oczy widzą tylko ciebie, najdroższa. Z każdym dniem stajesz się bardziej urocza i pociągająca. - Wyciągnął z kieszeni mały woreczek. - Przyniosłem ci coś.

- Prezent, Quentonie? Co to jest?



Uwielbiał ten wyraz podniecenia w jej oczach. Wyglądała niczym rozradowane i zaciekawione dziecko.

- To szmaragdy Stamfordów. Należały do mojej babki. Chcę, byś je dzisiaj włożyła.

Zaparło jej dech, gdy wyjęła z woreczka naszyjnik z błyszczących szmaragdów i diamentów.

- Och, nie, Quentonie. - Potrząsając głową, wyciągnęła do niego rękę z kosztownym cackiem. - Żadną miarą nie mogę ich włożyć.

Przykrył jej rękę swoją dłonią.

- Nalegam, najdroższa.

Wziął od niej naszyjnik i zapiął jej na szyi, po czym cofnął się o krok, by podziwiać efekt.

- Miałem rację. Żadna kobieta na świecie nie dorównuje ci urodą.

Oboje unieśli wzrok, gdy usłyszeli nieśmiałe pukanie do drzwi. To Liat, odświeżony drzemką, chciał porozmawiać ze swoją opiekunką. Gdy ją zobaczył, jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Wygląda pani jak królowa - powiedział.

- Uważaj, chłopcze. - W oczach Quentona igrały iskierki śmiechu. - Nie chciałbym, żeby królowi wpadły do głowy jakieś niewczesne pomysły. - A potem zadziwił Olivie i Liata, biorąc chłopca za rękę i mówiąc: - Chodź. My też musimy przebrać się na bal.

- Jak wyglądam, proszę pana? - Liat wszedł do bawialni i stanął przed Quentonem.

- Wyglądasz wspaniale. - Quenton uśmiechnął się z aprobatą na widok chłopca ubranego w brokatowy żakiet, niebieskie atłasowe spodnie i pończochy tej samej barwy. Na nogach miał miękkie buty z kozłej skóry. Pod żakiet włożył białą koszulę z żabotem u szyi. Krucze włosy szesał do tyłu. Jego ciemne oczy błyszczały z podniecenia.

W dłoni trzymał rulon pergaminu.

- A co to takiego? - zapytał Quenton.

- Prezent dla króla. Panna St. John powiedziała, że mogę mu go podarować przed wieczrą.

Skoro chłopiec najwyraźniej nie zamierzał pokazać swego daru, Quenton postanowił nie nalegać. Nawet dziecko ma prawo do własnych sekretów.

- Idziemy?

Liat skinał głową.

Gdy wyszli na korytarz, uderzył w nich gwar męskich głosów i dźwięczne kaskady kobiecego śmiechu, brzęk kryształu i stłumione kroki służących, poruszających się dyskretnie pomiędzy gośćmi.

Na szczycie schodów Quenton podał Olivii ramię, a ona położyła mu dłoń na rękawie. Liat ścisnął ją za drugą rękę i wszyscy razem ruszyli na dół.

Gdy doszli do wielkiej sali, wrzawa osiągnęła punkt kulminacyjny. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie.

Pembroke, trzymający straż przed drzwiami, zauważył ich i wsunął się do środka, by zaanonsować nowo przybyłych.

- Najjaśniejszy panie, goście honorowi - powiedział głośno. Tłum zamilkł i skupił całą uwagę na jego słowach,  
- Lord Quenton Stamford, panna Olivia St. John i młody panicz Liat.

Wśród zgromadzonych zapanowało dziwne milczenie. Olivia czuła, że skupili na sobie oczy wszystkich królewskich gości.

Król Karol stał na podium wzniesionym w końcu sali z oszalałamiąco piękną kobietą u boku. Przy nich siedział Bennett w fotelu na kółkach, mając za plecami Minervę.

Quenton prowadził Olivię i Liata przez tłum, ze wzrokiem utkwionym w króla. Nie przystoi witać się z kimkolwiek, dopóki nie złoży się wyrazów uszanowania monarsze.

Gdy mijali grapy gości, dochodziły do nich wypowiedziane szeptem uwagi:

- Kim jest to piękne stworzenie? Nie przypominam jej sobie z Londynu.

- Ja też nie. Dowiem się wszystkiego o niej, nim bal dobiegnie końca.

- Popatrz no. Czy ona ma na szyi te słynne szmaragdy Stamfordów?

- Rzeczywiście! Chyba nikt ich nie nosił od czasu, gdy babka Stamforda zeszła z tego świata.

- Powiadasz, że jego żona nigdy ich nie włożyła?

- Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w ogóle je widziała. Stary Stamford poprzysiągł, że za jego życia nikt nie przystroi się w rodowe szmaragdy.

- Starszy pan już dawno spoczywa w grobie, a jego życzenia odeszły wraz z nim. Niech żyje nowy pan na Blackthorne!

- A kim jest ten chłopak?

- Tego nikt nie wie. Powiadają, że to bękart Stamforda.

- Wiadomo coś o jego matce?

- To kobieta z Jamajki. Służący z Blackthorne szepnął mojemu służącemu, że podobno spotkał ją taki sam los jak Antonię.

Olivia czuła, że płoną jej policzki. Cieszyła się, że spod szerokiej spódnicy nie widać, jak drżą jej nogi. Liat ścisnęła jej rękę tak mocno, że straciła czucie w palcach. Ale mając oparcie w spokojnej sile Quentona, ani razu się nie potknęła.

Gdy doszli do podium, Karol wystąpił naprzód.

- Ach! Lord Stamford, panna St. John. Liat. - Jego dudniący głos słychać było w całej sali. - Jestem wdzięczny za tak gościnne przywitanie w twoim domu, przyjacielu.

- To honor i zaszczyt gościć cię w Blackthorne, najjaśniejszy panie. Zaręczam, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by wasza królewska mość jak najmilej spędziła czas pod moim skromnym dachem.

- Dziękuję, lordzie Stamford. Takie zobowiązanie bardzo wiele dla mnie znaczy. Podobnie jak twoja przyjaźń.

- Głosem tak cichym, że dochodził tylko do uszu Quentona, dodał: - Twój brat przybył punktualnie, a ty się spóźniłeś. Fatalne maniery, Q. Zlekceważyłeś protokół. Powinienem kazać cię wychłostać.

- Przepraszam, stary przyjacielu - równie cicho odparł Quenton. - Musiałem załatwić niezwykle pilne sprawy.

- Założę się, że mogło cię zatrzymać jedynie łóżko w pokoju tej damy. Doskonale to rozumiem. Jest najpiękniejszą kobietą na tej sali.

Quenton rzucił mu urażone spojrzenie.

- Kto teraz okazuje złe maniery, Mrozku?

- Nie uskarżam się na zły wzrok, przyjacielu. A sądząc z uwag, które padały, gdy tu szliście, każdy mężczyzna zauważył to samo. - Odwrócił się do Olivii i rzekł głośno: - Panno St. John, pani uroda oszałamia pani króla i jest najpiękniejszą ozdobą tej sali.

- Dziękuję, najjaśniejszy panie. - Olivia złożyła głęboki ukłon i odetchnęła z ulgą, rada, że nie skompromitowała się przed całym zgromadzeniem.

- Ach, witaj i ty, Liacie. Piękny dzień mieliśmy dzisiaj, prawda?

- Tak, najjaśniejszy panie. - Chłopiec ukłonił się, po czym podał królowi pergamin, który trzymał w ręku.

- Co to jest?

- Podarunek, najjaśniejszy panie. Panna St. John powiedziała, że mogę go wręczyć waszej królewskiej mości.

- Podarunek? Obejrzyjmy go. - Karol rozwinął pergamin i przyjrzał mu się uważnie, a potem z powagą skinął głową na znak, że mu się podoba. - Sam to narysowałeś, chłopcze?

- Tak, najjaśniejszy panie. To *Heodes alciphron*.

- Widzę. Doskonale go oddałeś. Panno St. John, czy chłopiec pobiera lekcje rysunku i kompozycji?

- Nie, wasza królewska mość. To wytwór wyłącznie jego talentu.

Nie godzi się, by monarcha pochylał się nad nikim, więc tłum gości oniemiał, kiedy król przykucnął, żeby łatwiej mu było rozmawiać z Liatem.

- Otrzymałeś rzadki dar. Mam nadzieję, że będziesz szlifował swe umiejętności pod kierunkiem mistrzów. I sędzę, że któregoś dnia znajdziesz się w ich gronie.

Chłopiec rozpromienił się, słysząc ten komplement.

- Dziękuję ci za ten podarunek, Liacie. Jest dla mnie niezwykle cenny. - Karol podniósł się i pokazał rysunek, by wszyscy mogli go podziwiać. Rozległy się uprzejme słowa zachwyty, a chłopiec stał, zarumieniony z radości.

- Chodź. Ludzie muszą zobaczyć twoje dzieło z takiej odległości jak ja, aby w pełni mogli docenić twój talent. - Karol wręczył pergamin swemu lokajowi, po czym ujął Liata za rękę i przeszedł z nim przez tłum.

Utytułowani goście nie szczędzili wyrazów zachwyty. Dla nieśmiałego chłopca, który nie stykał się dotąd z tak światowym towarzystwem, było to oszałamiające przeżycie. Gdy wrócili na podniesienie, Liat uśmiechał się od ucha do ucha.

Karol z uciechą grał rolę dobrodusznego monarchy. Trzymając chłopca za rękę, zwrócił się do Quentona i Olivii:

- Nie poznaliście jeszcze mojej towarzyszk... - Wy-

prowadził naprzód piękną młodą kobietę. - Przedstawiam wam Louise de Keroualle.

Quenton pocałował damę w rękę, a ona uśmiechnęła się do niego nieśmiało, po czym zwróciła się do Olivii:

- To pani synek?

Mówiła z wyraźnym francuskim akcentem.

- Bardzo bym pragnęła, żeby był mój. Jestem tylko jego guwernantką - wyjaśniła.

- Uczy go pani?

- Tak. Opiekuję się też nim i troszczę o jego wychowanie.

- Szlachetne przedsięwzięcie. Ma pani niezwykle szczęście - rzekła młoda kobieta łamaną angielszczyzną.

- Pozwól, moja droga. - Karol ujął Louise za rękę i posadził ją po swej lewej stronie. - Pani usiądzie po prawicy - rzekł, odwracając się do Olivii. - Liat zajmie miejsce z przodu, a Quenton obok pani.

Wszyscy posłusznie wypełnili życzenie monarchy.

- Pembroke! - zawołał król.

Kamerdyner natychmiast znalazł się przy nim.

- Możesz teraz zacząć przedstawianie.

- Słucham, wasza królewska mość - skłonił się służący.

Na dany sygnał tłum ruszył do przodu, ustawiając się w pary, które miały być zaprezentowane królowi. Najważniejszych poprowadzono na początek, innych poproszono, by cofnęli się i zrobili miejsce.

Płynęły monotonna nazwiska, a Olivia przez cały czas

ani na jotę nie uchybiła etykietce: uśmiechała się, kiwała głową i mówiła to, co należy.

Wdała się właśnie w uprzejmą rozmowę ze starszawym lordem, gdy wyczuła, że Quentona ogarnia nagłe napięcie. Nie powiedział niczego szczególnego, lecz wyraźnie zeszywniał, a jego ręce zacisnęły się w pięści.

- Lord Robert i lady Agata Lindsey oraz ich syn i córka - powiedział Pembroke.

Olivia uniosła wzrok i poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy. W uszach usłyszała dziwne dzwonięcie, gdy spojrzała w zimne, bazyliżkowe oczy ciotki i wuja oraz twarze stojących za nimi okrutnych kuzynów, Catherine i Wyatta.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Lordzie Stamford, siostrzenico. - Robert Lindsey krótko skinął im głową na powitanie. Wiedząc, że król patrzy i słucha, pilnował się, by nie powiedzieć ani nie zrobić niczego, co mogłoby urazić najlepszego przyjaciela króla lub siedzącą obok niego kobietę.

Agata była tak wściekła, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Oczy jej zabłyśły z zazdrości, gdy ujrzała Olivię na honorowym miejscu obok króla. Czuła się niezwykle dumna, że właśnie ją i jej rodzinę zaproszono na tę wizytę. Przybyła do Blackthorne w przeświadczeniu, że to właśnie ona i jej rodzina zostaną potraktowani jak honorowi goście, a jej siostrzenica i chłopak, którym miała się zajmować, nawet nie opuszczą swych nędznych pokoików. Nie przyszło jej do głowy, że Olivia znajdzie się obok monarchy, w dodatku przystrojona w klejnoty warte bająnskie pieniądze.

Stojąca obok niej Catherine mogła tylko zazdrościć. Jej ponure spojrzenie mówiło wszystko. Jakim cudem ta brzydka, niezdarna kuzynka z prowincji zmieniła się nagle w olśniewającą piękność? To takie niesprawiedliwe. To ją król powinien obsypywać łaskami. Czyż nie widzi, jak bardzo przewyższa ubogą krewną?

Z całej czwórki tylko Wyatt zdołał się opanować. Czekając cierpliwie w długim szeregu, miał czas, aby dokładnie się zastanowić, co ma powiedzieć i jak się zachować. Z przyjemnością myślał, jak bardzo Olivia będzie zaskoczona. Widząc, że wpatruje się w niego nieprzytomnym wzrokiem, a cała krew uchodzi jej z twarzy, zorientował się, że doznała większego wstrząsu niż on.

Obrzucił ją długim, taksującym spojrzeniem, od którego ścierpła jej skóra. Rad z jej zażenowania, uśmiechnął się lodowato i wziął ją za rękę.

- Z przyjemnością stwierdzam, że świetnie wyglądasz, kuzynko. Widać życie na wsi dobrze ci służy.

Muskając wargami grzbiet jej dłoni, poczuł, jak się przed nim kuli. A więc nadal się go boi.

- Och, to będzie niezwykle udana wizyta. Już się cieszę na nasze długie rozmowy sam na sam, kuzynko.

Gdy się przesunął, Quenton pochylił się ku Olivii.

- Kuzynko...? Jesteś spokrewniona z Lindseyami? - zapytał szeptem.

- Tak. - Słowa przechodziły jej przez gardło, jakby połknęła kamień, którego nie może wykrztusić. Poczuała przypływ takiego obrzydzenia, że zaczęła drżeć.

Wytarła rękę o spódnicę w nadziei, że zetrze w ten sposób dotyk Wyatta.

- Jego matka i moja były siostrami. Znasz Lindseyów?

- Nie. Tylko ich syna - głos Quentona był chłodny, pozbawiony wszelkich emocji - Wyatta.

Nim Olivia zdążyła zapytać, jak poznał jej kuzyna,

podeszły nowe pary, toteż wszelkie pytania musiała odłożyć na później.

Nareszcie uciążliwa ceremonia dobiegła końca i król skierował się ku podwyższeniu, z którego poddam mogli go lepiej widzieć. Na znak pani Thornton służąca przyniosła mu tacę z winem i piwem. Inni służący zaczęli krążyć wśród tłumu, napełniając kufle i puchary.

Mim i żongler demonstrowali swój kunszt, tłum, za przykładem króla, oklaskiwał ich entuzjastycznie. Sprowadzeni z wioski muzycy chwycili za instrumenty, a król poprowadził swą towarzyszkę, Louise, do tańca. Po chwili przyłączyła się do nich reszta zgromadzonych.

Quenton zerknął na Olivię. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną i wstrząśniętą. Tak bardzo chciał ją objąć.

- Chodź, najdroższa. Obowiązki wzywają. Powinniśmy zatańczyć.

- Będziemy tańczyć całą noc?

Widząc jej udręczoną minę, uśmiechnął się łagodnie.

- Nie. Tylko pierwszy taniec. Obiecuję ci, że gdy król pozwoli nam odejść, uciekniemy stąd.

Ucieczka. Musiała uciec przed złym spojrzeniem Wyatta i przed jego jadowitym językiem. Na samą myśl, że znajduje się z nim w jednym pomieszczeniu, zaczynała drżeć.

Gdy Quenton poprowadził ją na parkiet, z ulgą schroniła się w jego ramionach. Och, tego właśnie potrzebowała. Dopóki jest pewna jego miłości, jego spokojnej siły, dopóty nic złego jej nie spotka.

- Żal mi Bennetta - wyszeptała. - Widziałam, że wyprowadzono go z sali zaraz po powitaniu gości.

- Niestety. Cała ta ceremonia była zbyt długa i męcząca dla niego. Na szczęście jest z nim Minerva. Opowiedz mi teraz o tej swojej ciotce i wuju - przeszedł gładko do następnego tematu.

- Niewiele mam do powiedzenia. Poznałam ich dopiero na pogrzebie rodziców. Przybyli z Londynu i oznajmili, że zabierają ze sobą pozbawioną środków do życia siostrzenicę.

- Mówiłaś, zdaje się, że twój pobyt u nich był bardzo nieprzyjemny.

Przytaknęła.

- Powiedz mi, o co chodzi, najdroższa.

- Nie jestem w stanie o tym mówić. Dano mi po prostu do zrozumienia... że jestem niemile widziana w ich domu.

Quenton doszedł do wniosku, że skoro nawet nie mogła o tym mówić, musiało ją rzeczywiście spotkać coś bardzo złego. Wiedział, że Wyatt cieszy się reputacją kobieciarza. A fakt, że jego rodzice kazali się Olivii pakować w środku nocy, stanowił jeszcze jeden powód, by mmi pogardzać.

- Oboje sprawiacie wrażenie zbyt poważnych - usłyszeli nagle.

Gdy unieśli wzrok, ujrzeli obok siebie Karola i Louise.

- Droga pani. - Król ujął Olivię za rękę i znad jej ramienia puścił oko do Quentona. - Niebawem rozbawię

twoją panią, przyjacielu. A ty możesz zatańczyć z lady Louise. Jestem pewien, że i ona wywoła uśmiech na twojej twarzy.

Zaczął wirować z Olivią w ramionach. Dotrzymując słowa, wkrótce sprawił, że śmiała się serdecznie z jego uszczypliwych uwag na temat niektórych gości.

- Widzi pani lady Edwards?

Olivia zerknęła na pulchną kobietę, niemal uginającą się pod drogimi kamieniami.

- Wolałaby raczej jeść, niż tańczyć.

- Dlaczego najjaśniejszy pan tak sądzi?

- Dobrze się znamy. Niebawem schwyci ją ból w nodze albo zacznie jej dokuczać biodro. Ale potem, gdy tylko jej mąż dołączy do innych dżentelmenów zabawiających się kuflem piwa, pośle służącą po odrobinę baraniny, może kawałek herbatnika. - Wykrzywił się zabawnie, usiłując naśladować kobiecy głos: - „A tak przy okazji, możesz mi przynieść ze dwa kawałki tego ciasta nasączonego brandy”. - Roześmiał się wraz z Olivią. - I popije to wszystko kilkoma pucharami wina.

- Och, wasza królewska mość! Co powiedziałyby ta dama, gdyby teraz podsłuchiwała?

- Zaprzeczyłaby wszystkiemu. Chociaż pewnie miałaby z tym trudności, przeżuając jednocześnie te wszystkie potrawy.

Wskazał ruchem głowy księcia i księżnę Renfrew.

- Ta kobieta ma szczęście, że pochodzi z bogatej rodziny.

- Dlaczego? - spytała Olivia.

- Tylko z pomocą pieniędzy niewiasta z takim obliczem może usidlić mężczyznę. W przeciwnym razie do grobowej deski pozostałaby panna.

- Wasza królewska mość...

- A tu - wyszeptał jej do ucha - mamy do czynienia z niezwykle rzadkim przypadkiem.

- Cóż to za rzadki przypadek, najjaśniejszy panie?

- Prawdziwe małżeństwo z miłości. Oboje są urodziwi i każde miało wielu starających się. Jedno i drugie wniosło do małżeństwa bogactwo i miłość. Chodzą słuchy, że nadal się kochają.

- To widać w ich oczach, uśmiechach.

- Widzę to samo w twoich oczach, miła pani. - Obrzucił ją długim, uważnym spojrzeniem. - Cieszę się, że mój stary przyjaciel znalazł kogoś, kto przywróci mu radość życia i spokój ducha - powiedział król wzruszonym głosem. - Razem przechodziliśmy różne koleje losu. Może dlatego jest mi tak drogi. A teraz nawzajem cieszymy się naszymi sukcesami.

Oliwię zdumiała szczerść króla.

- Miła pani, za pozwoleniem, muszę teraz koniecznie zatańczyć z lady Edwards. Po prostu po to, żeby trochę ją podręczyć. Jeszcze przez parę chwil nie będzie miała dostępu do jedzenia.

Zatrzymał się przy dostojnej parze i porwał w tany lady Edwards, przekazując Oliwię starszawemu lordowi.

- Moja żona właśnie uskarżała się na ból w nodze -

zaczął lord Edwards. - Chyba będzie musiała pocierpieć jeszcze trochę, skoro sam król zaprosił ją do tańca.

- Tak, milordzie. - Olivia z trudem powstrzymywała śmiech. Widziała, jak król mruga do niej znad ramienia partnerki, i szybko zakasłała, by zdusić chichot. - Ośmielę się zauważyć, że obolała stopa to niewielka cena w zamian za możliwość zatańczenia z królem.

- Najzupełniej się z panią zgadzam.

Mimo tuszy poruszał się ze spokojną gracją, toteż Olivii przyjemnie się z nim tańczyło. Stary lord odwrócił się, gdy poczuł czyjaś rękę na swym ramieniu.

- Odbijany - powiedział męski głos.

Lord Edwards skłonił się i odszedł na bok, Olivia zaś uniosła wzrok, by spojrzeć na nowego partnera. Serce w niej zamarło.

- Widzę, że moja mała wiejska kuzyneczka jest bardzo sprytna. - Wyatt objął ją w talii i przyciągnął do siebie, uśmiechając się lodowato. - Kto mógłby przypuszczać, że zrobisz takie wrażenie na panu tych włości?

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Doprawdy? - Śmiało dotknął klejnotów na jej szyi i ze zdziwieniem zauważył, że gwałtownie się cofnęła. - Więc to tak. Nadal nie chcesz, bym cię dotykał. - Objął palcami jej szyję, jakby chciał wydusić z niej oddech. - Idę o zakład, że się nie opierałaś, gdy on się do ciebie dobiegał.

Próbowała odsunąć się od niego, lecz on nadal przyci-

skął kciuk do miękkiego zagłębienia w jej szyi i uśmiechał się, gdy usiłowała złapać oddech.

- Nie mam wątpliwości, że oddałaś mu się, moja droga, słodka Olivio. W przeciwnym razie nie obdarowałby cię tak szczodrze.

Dostrzegł, że Quenton im się przygląda, więc obrócił Olivie tak, by widziała tylko jego.

- Oczywiście nie jesteś pierwszą kobietą, którą kochanek zdobył dzięki złotym błyskotkom.

- Jak śmiesz...

Gdy usiłowała wyrwać się z jego objęć, zacieśnił uścisk i wyszeptał jej do ucha:

- Nie skończyłem jeszcze z tobą, kuzynko. - Chwycił ją pod brodę i zmusił, by spojrzała na roześmianą parę w drugim końcu sali. - Spójrz na tę młodziutką, śliczną lady Louise, wspartą na ramieniu króla. Czyż nie jest urocza?

Kiedy Olivia nie odpowiedziała, roześmiał się zimno, okrutnie.

- Czy wiesz, że to prezent od króla Francji?

- Prezent...?

- Tak. W miejsce... usług, które świadczyła Barbara, lady Castlemaine.

- Nie rozumiem.

- Chyba rozumiesz, kuzynko. Wiem, że brzmi to plu-gawo w uszach osóbkę tak słodkiej i niewinnej jak ty. Karol ma upodobanie do młodych kochanek. Wiedząc o tym, król Francji chciał zrobić mu przyjemność.



- Nie wierzę ci.

Wzruszył ramionami.

- Spytaj, kogo chcesz. Zapytaj lorda Stamforda. Jeśli jest prawdomówny, powie ci to samo.

- Czy ta młoda kobieta nie ma nic do powiedzenia w sprawie tego... układu?

Głos Wyatta był pełen sarkazmu.

- A dlaczego miałyby mieć coś przeciwko temu? Nie musisz okazywać jej współczucia. Jak wszystkie jej poprzedniczki, zostanie hojnie wynagrodzona za swe... starania - ściszył głos. - Przyjaciele lorda Stamforda bez wątpienia powiedzą to samo o tobie, gdy znudzą mu się twoje wdzięki.

- Mam już dość twoich uwag, Wyattcie. Puść mnie.

- Za chwilę, kuzynko. Okrążmy salę jeszcze raz, by wszyscy mogli się dobrze przyjrzeć szmaragdom Stamfordów na twojej szyi. Powszechnie się już o nich szeptce.

Gdy się rozejrzała, stwierdziła, że w jego słowach musi kryć się prawda, bo wszyscy się w nią wpatrywali.

Nagle podarunek, który wzruszył ją tak głęboko, zaczął jej ciążyć niczym graby łańcuch. Było jej też ciężko na sercu. Choć nie chciała wierzyć Wyattowi, jego słowa zapadły w jej umysł. Czy to możliwe, że i ona została nagrodzona za... starania? Może sama uspiła się fałszywym poczuciem bezpieczeństwa? W końcu została tu sprowadzona w jednym jedynym celu - żeby opiekować się chłopcem wątpliwego pochodzenia. I była za to dobrze opłacana.

Nie może jednak winić Quentona. Ostrzegał ją, że jest tylko mężczyzną o normalnych męskich potrzebach. Niczego jej nie obiecywał. Nie roztaczał przed nią żadnych widoków na przyszłość.

Na co ona liczyła? Nie była lepsza od tej młodej Francuzki, która tańczyła z królem. Ani od dziewczyny z jej rodzinnych stron, która oddała się mężczyźnie i powróciła do domu, nosząc w sobie nasienie tego nieprawego związku.

Muzyka przestała grać i Wyatt nisko się jej ukłonił.

- Dziękuję za taniec, kuzynko. - Spojrzał na Quentona, który zbliżał się do nich z nachmurzoną miną. - Twój kochanek chyba przychodzi po swoje. - Cofnął się i, najwyraźniej z siebie zadowolony, odszedł.

Quenton rzucił okiem na jej twarz, bladej jak płótno, i chwycił ją za ramię.

- Co się stało, Livvy? Co on ci zrobił?

- Nic. Po prostu... muszę na chwilę usiąść.

Zatroskany, zaprowadził ją do krzesła obok Liata, po czym dał znak służącemu. Po chwili wręczył jej szklanicę wina.

- Może to postawi cię na nogi.

Sączyła trunek, wiedząc, że nic jej nie pomoże. Była straszliwie przybita. A choć pragnęła zrzucić winę na Wyatta, musiała przyznać, że kuzyn uświadomił jej tylko rzeczy oczywiste. Zmusił ją, by ujrzała siebie taką, jaka naprawdę jest. Głupia gąska, beznadziejnie zakochana w mężczyźnie tak bardzo nad nią górują-

cym. Tak wielki pan jak Quenton Stamford nigdy jej nie poślubi.

Król był w doskonałym nastroju, więc tańce trwały aż do rana. Gdy w końcu życzył wszystkim dobrej nocy i wyszedł, z Louise de Keroualle wspartą na jego ramieniu, tłum zaczął się rozchodzić.

Olivia zerknęła na Liata, któremu oczy same się zamykały'.

- Biedactwo. Nie wiem, czy da radę wejść na schody.
- Ja go zaniosę. - Quenton wziął chłopca na ręce.

Na widok mężczyzny i dziecka jej serce wezbrało uczuciem. Dzięki jej obecności ci dwaj przynajmniej zbliżą się do siebie.

W pokoju Liata Quenton położył chłopca na łóżku.

Olivia rozebrała go, okryła kołdrą i pocałowała na dobranoc, po czym wyszła za Quentonem z pokoju. Przy drzwiach jej sypialni oboje przystanęli.

Quenton dotknął jej policzka.

- Król poprosił mnie o spotkanie.
- Teraz? Już prawie świta, a ty się nawet nie zdrzemałeś.

Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Karol powiada, że musi omówić ze mną parę spraw.
- Z przyjacielem? Czy z Q?
- Jednego nie można oddzielić od drugiego. Wie, że jako przyjaciel i lojalny poddany zrobię wszystko, o co mnie poprosi.

Wyczytał rozczarowanie w jej oczach. On też rozpaczliwie pragnął się z nią kochać, lecz wzywał go obowiązek.

- Przyjdę do ciebie, gdy załatwimy z królem wszystkie pilne sprawy. - Musnął wargami jej usta i poczuł przypływ pożądania. - Śpij, najdroższa, póki nie wrócę. Kiedy znajdę się przy tobie, żadne z nas nie zaśnie ani na chwilę.

Patrzyła, jak odchodzi, po czym weszła do pokoju i zaczęła się przygotowywać do snu. Choć przykro jej było przyznać, że Wyatt miał rację, będzie czekać na powrót Quentona.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

~ Jego królewska mość oczekuje pana. - Królewski lokaj otworzył drzwi do komnat monarchy i poprowadził Quentona do urządzonego z przepychem salonu, gdzie ogień buzował na palenisku. - Powiadomię najjaśniejszego pana o pańskim przybyciu.

Zniknął w sypialni, skąd powrócił po paru minutach, a za nim kroczył Karol z zadowoloną miną, obwiązując szarfą długi szlafrok ze szkarłatnego aksamitu.

- Przynieś nam wina - polecił Karol lokajowi i usadowił się przed kominkiem, wskazując Quentonowi fotel naprzeciwko.

Lokaj napełnił dwie szklance, które umieścił na tacy.

- Czy najjaśniejszy pan życzy sobie coś jeszcze?

- Nie. Możesz odejść.

Król zaczekał, aż zostaną sami, po czym wychylił do dna swoją szklanicę. Quenton uczynił to samo.

- Wydaje się, że moich hojnych dobroczyńców poruszyło zaproszenie do Blackthorne, przyjacielu. Pragnąc zrobić wrażenie na królu, złożyli mi jeszcze korzystniejszą propozycję.

- Na ile korzystniejszą?

- Chcą podarować mi dwieście tysięcy funtów, co pokryje deficyt skarbu.

- Dwieście tysięcy. - Oczy Quentona zwięzły się. - Skąd mają tyle pieniędzy?

- Nie pytałem. Ale to znacznie ułatwi mi panowanie. Parlament nie podważy mojej władzy, gdy będę miał do dyspozycji taki kapitał.

- Nie ofiarują ci takiej fortuny bez jakichś przywilejów czy ustępstw z twojej strony.

- Niewątpliwie. - Karol uniósł dłoń. - Bez obawy, przyjacielu. Cóż znaczy kilka tytułów czy majątków wobec tak olbrzymiej zapłaty? I co to szkodzi, jeżeli będę musiał podzielić się z nimi paroma państwowymi tajemnicami? Wiele osobistości z mojego dworu je zna, a żadna z nich nie może zaoferować mi takich sum.

- Zatem zdecydowałeś się przyjąć ich propozycję?

- Jeszcze nie. Tu właśnie zaczyna się twoja rola. Potrzebuję mojego starego przyjaciela Q.

Quenton skinął głową, rad, że król nie działa pochopnie.

- Podaj mi ich nazwiska. Dowiem się wszystkiego o tych lojalnych poddanych.

- Ale tylko do twojej wiadomości.

- To oczywiste.

- Moimi hojnymi dobrodziejami są lord i lady Lindsey. Oraz ich syn, Wyatt.

Agata Lindsey, niezwykle podniecona, nerwowo prze-

mierzała salonik syna i gwałtownie uniosła wzrok, gdy wreszcie wynurzył się z sypialni.

- Co cię tak długo zatrzymywało? Przed godziną przesłałeś mi wiadomość, że musisz zamienić ze mną słowo.

- Byłem zajęty. Bardzo... smakowitą dziewczką.

Syknęła z niesmakiem.

- Przestajesz już panować nad swoimi żądzami. Staraj się pohamować, póki nie znajdziesz się bezpiecznie w swoim łóżku. Więc co takiego ważnego się wydarzyło, że musiałeś mnie budzić o tej godzinie?

- Mój szpieg doniósł mi, że lord Stamford wysłał jeźdźca do Londynu.

- Co to ma wspólnego z nami?

- Jego doradcy finansowi urzędują w Londynie. Podobnie jak nasi.

- Myślisz, że coś podejrzewa?

- Sądzę - powiedział, wpatrując się w ogień - że musimy działać szybciej, niż zamierzaliśmy.

- Bezsprzecznie - odparła głosem zduszonym wściekłością. - I bardzo dobrze. Czuję się osobiście urażona, widząc, jak córka mojej siostry ostentacyjnie obnosi się ze swą nową pozycją kochanki najbliższego przyjaciela króla.

- Bez obawy. Mam swoje zamiary wobec kuzyneczki i lorda Stamforda. Gdy skończę z tą parką, powitają śmierć jak uścisk kochanka.

Olivię znowu nawiedził dawny koszmar. Przygważdżały ją silne ręce, podczas gdy ona ze wszystkich sił starała

się im wyrwać. Zimne oczy wpatrywały się w nią, a okrutny śmiech szydził z jej bezsilności. Pragnąc za wszelką cenę umknąć tej przerażającej scenie, starała się wybić ze snu. Gwałtownie usiadła na łóżku.

- Livvy, Livvy. - Quenton objął ją, przytulił i pogłaskał po głowie. - Obudź się, kochanie. Miałaś zły sen.

- Tak. - Dyszała ciężko. Na długą chwilę przylgnęła do niego, póki jej oddech się nie uspokoił. Przesunęła ręką po włosach. - Już mi przeszło. Wystarczy, że mnie przytulisz, a demony pierzchają.

Rozejrzała się po pokoju. Paliły się świece. Quenton był całkowicie ubrany.

- Nie idziesz do łóżka?

- Muszę zejść na dół.

- Teraz?

- Przykro mi, najdroższa. Sądzę, że odpowiedzi na najpilniejsze pytania kryją się w księgach rachunkowych mego dziadka. Im szybciej je znajdę, tym prędzej będę mógł pomóc królowi. - Widząc jej minę, dodał szybko: - Jeśli mi się powiedzie, niebawem znajdę to, czego szukam, i będziemy mieli dość czasu dla siebie. - Pocałował ją mocno. - To nam musi wystarczyć do mojego powrotu.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Olivia wyslizgnęła się z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. Wołała raczej spacerować do rana, niż znowu śnić ten sen. Rzeczywistość nie była lepsza. Powód wszystkich jej obaw znajduje się pod tym samym dachem.



Poczuj się pewnie dopiero po powrocie Quentona albo rankiem, po wyjeździe gości. A tymczasem będzie patrzeć i czekać. Nie wolno jej tracić głowy.

- Dzień dobry, panienko. - Do pokoju weszła Minerva i przystanąła przy drzwiach.

Olivia, która właśnie czesała Liata, uniosła ku niej wzrok.

- Panicz Bennett prosi, aby panienka wraz z chłopcem zechciała zjeść z nim śniadanie przed pożegnaniem króla i jego gości.

- Bennett nie będzie z nami?

- Kiepsko się czuje.

- Zaraz do niego przyjdziemy.

Olivia wzięła Liata za rękę i wyszła z nim na korytarz. Tuż przed drzwiami Bennetta ujrzeli Quentona z Thorem u nogi, zdążającego w ich stronę. Policzki lorda Stamforda pokrywał ciemny zarost, wokół oczu miał czerwone obwódki, a włosy były potargane. Podwinął rękawy koszuli i rozpiął ją pod szyją.

Olivia przesunęła ręką po jego kłującym zarostcie.

- W ogóle się nie kładłeś?

- Ano nie. - Pochwyił jej dłoń i podniósł ją do ust. - A ty, kochanie? Zdrzemnęłaś się, gdy wyszedłem?

Potrząsnęła głową.

- Bałam się, że znowu powrócą demony. Wezwał nas tu Bennett. Podobno marnie się czuje.

Gdy weszli, Bennett siedział przy oknie, wpatrując się

w urwisko. Służąca Edlyn zdejmowała potrawy z ciężkiej srebrnej tacy i ustawiała je na stole przed kominkiem.

Olivia zadrżała, gdy napotkała ponure wejrzenie Benneita. Tak właśnie wyglądał, gdy przybyła do Blackthorne. Zagubiony w więzieniu własnego umysłu. To nagłe osłabienie było o tyle zaskakujące, że ostatnio jego stan uległ znacznej poprawie.

- To miło, że zaprosiłeś nas na śniadanie, Bennecie.

Położyła mu rękę na ramieniu, a on przykrył ją swoją dłonią i przytrzymał.

- Co się stało? Dlaczego tak nagle ci się pogorszyło? Minerva utykała choremu koc pod kolanami.

- Panicz Bennett chyba ostatnio zbyt szafował swymi siłami - stwierdziła.

- Pewnie tak. - Quenton poklepał brata po plecach. - Dzisiaj odpoczywaj i korzystaj ze słońca w ogrodzie.

W drugim końcu pokoju Edlyn nalewała herbatę i nakładała konfiturę na talerzyki.

- Dziękuję, Edlyn - rzekła Minerva. - Sama zajmę się śniadaniem panicza Benneita.

Służąca nachmurzyła się jeszcze bardziej niż zwykle.

- Pani Thornton powiedziała, że mam tu zostać i podawać do stołu.

- Sami się obsłużymy. - Olivia przeszła przez pokój i otworzyła drzwi, nie pozostawiając wyboru ponurej dziewczce.

- Pani Thornton na pewno przyda się twoja pomoc na dole.

Gdy zostali sami, Minerva westchnęła z wdzięcznością.

- Dziękuję, panienko. Bez polecenia panienki nigdy by nie wyszła. - Zniżyła głos: - Ta kobieta wtyka nos we wszystkie sprawy.

- To prawda - przytaknęła Olivia. - I opowiada o nich każdemu, kto tylko nadstawi ucha - dodała, przypominając sobie pierwszą noc, spędzoną pod tym dachem.

Gdy rozpoczęli posiłek, Quenton raz po raz rzucał zaniepokojone spojrzenia na bladą twarz brata, który, mimo czułych zachęt Minery, zjadł zaledwie połowę biszkopta i odmówił wypicia nawet łyka herbaty. Wychyliwszy gorące, zaprawione korzeniami wino, Quenton wstał od stołu i dotknął ręki Bennetta. Była zimna i bezwładna.

- Spróbuj coś przełknąć. Jeśli nie dbasz o własne zdrowie, zrób to dla nas, dla Minery. A teraz, Olivio i Liacie, pora na was. Macie dołączyć do króla i jego towarzystwa, ja zaś muszę doprowadzić się do porządku.

Gdy ruszył do drzwi, z zadowoleniem ujrzał, że Bennett unosi filiżankę z herbatą i pociąga łyk. Dobre i to na początek.

- A oto i moja śliczna kuzyneczka...

Wyatt promieniał. Wraz z całą rodziną zasiadał przy królewskim stole. Agata i jej córka Catherine uśmiechały się z wyższością, rade, że skupione są na nich wszystkie oczy. Od Roberta i Wyatta biła pewność siebie. Siedzieli jednak po bokach Karola i jego kochanki, co dowodnie świadczyło, że ich pozycja wzrosła.

- Chodź, moja droga! - zawołał król. - Właśnie o pani rozmawialiśmy. Nie miałem pojęcia, że jest pani spokrewniona z tymi uroczymi ludźmi.

Olivia mocniej ścisnęła Liata za rękę, gdy uświadomiła sobie, że będzie musiała usiąść obok Wyatta.

Zjawiała się gospodyni.

- Herbaty, panno St. John?

- Nie, dziękuję. Właśnie wypiliśmy herbatę z Bennettem.

- Podobno nie najlepiej się czuje. - Król nałożył sobie pieczyście. - Jak go pani znalazła, panno St. John?

- Wydaje się dość słaby, ale może po dniu odpoczynku odzyska siły.

- Po prostu smuci się z powodu mojego wyjazdu. - Król rozejrzał się. - A gdzie jest jego brat?

- Lord Stamford niebawem zejdzie, najjaśniejszy panie. Prosił, bym zapewniła waszą królewską mość, że oświadczy się pani. - Prosił, bym zapewniła waszą królewską mość, że oświadczy się pani. - Prosił, bym zapewniła waszą królewską mość, że oświadczy się pani. - Prosił, bym zapewniła waszą królewską mość, że oświadczy się pani.

Wyatt sączył gorące wino zaprawione korzeniami, obdarzając Olivie najbardziej czarującym ze swych uśmiechów.

- Skoro lorda Stamforda nie ma w pobliżu, skorzystamy z okazji, by pogawędzić z naszą ukochaną Olivią. - Przykrył ręką jej dłoń. - Opowiedz o wszystkim, co robiłaś, odkąd opuściłaś nasz londyński dom.

- Niewiele tu do opowiadania. - Wiedząc, że król się jej przypatruje, musiała ciągnąć tę maskaradę. Dotyk kuzyna był dla niej tak odrażający, że wyciągnęła dłoń spod

jego ręki i zacisnęła ją w pięść. - Jestem bardzo zadowolona z tej posady.

- Nie wątpię. Niczego innego nie spodziewałabym się po dziecku mojej siostry. - Agata rozciągnęła usta w uśmiechu, lecz jej oczy pozostały zimne. Obrzuciła młodą kobietę chytrym spojrzeniem, po czym zwróciła się do króla: - Wpoiliśmy naszym dzieciom poczucie honoru i obowiązku wobec ojczyzny. Miłość i lojalność, które Olivia żywi wobec lorda Stamforda, równają się miłości i lojalności, jakie my żywimy w stosunku do waszej królewskiej mości.

Ta deklaracja wzruszyła Karola.

- Wasz król bardzo sobie to ceni i nie zapomni o nagrodzie. - Rozejrzał się po biesiadnikach. - Żałuję, że spędziliśmy wspólnie tak mało czasu, ale kiedy tylko znajdziemy się w Londynie, dopilnuję, by tak oddaną monarchii rodzinę często zapraszano na dwór.

Agata uśmiechnęła się i spojrzała z góry na wszystkich utytułowanych gości, którzy spoglądali na nią z niżej ustawionych stołów. Całe życie czekała na tę chwilę. To jej najśłodsze zwycięstwo.

- Gdy tylko wrócę do swej londyńskiej rezydencji, wydam dla najjaśniejszego pana uroczystą wieczerzę.

- Ach, dzięki, łaskawa pani. Będę twoim dłużnikiem.  
- Karol uniósł jej rękę do ust, a ona omal nie zemdląła z wrażenia.

- Chodźmy. - Król podniósł się i całe towarzystwo poszło w jego ślady. - Musimy przygotować się do odjazdu.

Gdy Olivia wstała, Wyatt objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Mam nadzieję, kuzynko, że masz dość szlachetne serce, by zapomnieć o przeszłości i od nowa nawiązać z nami stosunki.

Wzdrygnęła się i poczuła do siebie złość za tak gwałtowną reakcję. Za późno, by próbować ukryć uczucia. Widział, jak cała drży.

- Niełatwo zapomnieć o okrucieństwie, Wyatcie.

Przytrzymał ją jeszcze przez chwilę i z satysfakcją patrzył, jak się przed nim wzdraga.

- To, co uważasz za okrucieństwo, inni uznaliby za śmiałość. Wybacz mi śmiałe zachowanie, kuzynko. Miej litość dla mężczyzny, któremu po prostu... zawróciła w głowie twoja uroda.

Wyrwała się Wyattowi i spojrzała mu prosto w twarz.

- Uroda? O ile dobrze pamiętam, nazwałeś mnie szarą myszką.

Przesłał jej wystudiowany uśmiech.

- To wyraz czułości, kuzynko. Musiałbym być ślepy, żeby nie dostrzec twoich wdzięków.

Aż świerzbiała ją ręka, by wymierzyć mu policzek. Ale zacisnęła tylko palce, wiedząc, że przygląda jej się król i jego świta.

- Nigdy ci tego nie zapomnę, Wyatcie, ani nie wybaczę  
- wyszeptła.

Spodziewała się wybuchu gniewu, ale tym razem ją zaskoczył. Ujął Liata za rękę ze słowami:

- Masz prześliczną guwernantkę, chłopcze. Szczególnie uroczo wygląda, gdy różowieją jej policzki.

- To prawda, proszę pana. - Liat uniósł ku niej zachwycone oczy. - Jest nawet ładniejsza niż motyl.

- Tak ci powiedział lord Stamford?

- Nie, proszę pana. Lord Stamford powiedział, że jest wyjątkową piękną.

Olivia oblała się rumieńcem, gdy Wyatt i pozostali roześmieli się znacząco.

Kiedy wyszli na dziedziniec, napotkali tam Quentona, wyświeżonego i gładko wygolonego.

- Tu jesteś, stary druhu.

Quenton z uśmiechem zwrócił się do króla:

- Przykro mi, że nie mogłem dziś śniadać z waszą królewską mością. Ale zdążę przynajmniej pożegnać wasz majestat i naszych gości.

Dziedziniec zapełnił się wozami, furami i podwodami; jedne wyładowane były kuframi, inne obsiadły rozświetlone pokojówki. Każdą parę gości po raz ostatni zaprezentowano królowi. Panie robiły głęboki dyg, mężczyźni kłaniali się w pas, po czym, z pomocą służby, wsiadali do eleganckich karet.

Agata i Robert Lindsey oraz ich syn i córka jako ostatni pożegnali się z królem. Obie damy, wciąż promieniejące z powodu spotkania z monarchą, wraz z Robertem wsiadły do powozu.

Olivia jeszcze przez chwilę drżała ze strachu i upokorzenia, ale widząc, jak Wyatt dosiada rączego rumaka, za-

częła odzyskiwać spokój. Drzwi powozu zatrzasnęły się, woźnica uniósł bat i konie ruszyły.

Odetchnęła z ulgą. Teraz, gdy ci nienawistni ludzie opuścili Blackthorne i zniknęli z jej życia, nareszcie poczuła się całkowicie bezpieczna.

- Czy pani płacze? - zapytał Liat, chwycił ją za rękę i wpatrzył się w jej oczy, zalane łzami.

- To łązy radości, Liacie.

- Rozumiem. Płacze pani, bo spotkała pani króla.

- Właśnie. - Otarła policzki, mając nadzieję, że to małe kłamstewko zostanie jej wybaczone.

Stali razem, przypatrując się barwnemu widowisku, w jakie przerodził się odjazd króla. Powozy, wyładowane kuframi i wszelkimi sprzętami domowego użytku, toczyły się już po długim, krętym podjeździe, pod eskortą królewskiej gwardii. Po raz ostatni na trawniku zebrała się cała służba Blackthorne, której przewodził Pembroke i pani Thornton.

Karol odjeżdżał z takim samym wdziękiem, z jakim przybył. Osobiście podziękował Kucharci, służbie, stajennym, parobkom. Mężczyźni na równi z kobietami ocierali łzy wzruszenia, gdyż król znalazł chwilę dla każdego.

Kiedy stanął przed Liatem, wyciągnął z zanadrza starannie zwinięty rysunek chłopca.

- Zamierzam dołączyć go do mojej kolekcji. Gdy odwiedzisz mój pałac, osobiście pokażę ci królewski zbiór motyli.



- Dziękuję, wasza królewska mość.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, Liat przytulił się do króla i mocno go uściskała. Na moment wszyscy zgromadzeni wstrzymali oddech. Król, trzymając chłopca w objęciach, zwrócił się do Olivii:

- Panno St. John, wspaniale wychowała pani tego chłopca. Proszę przyjąć królewskie podziękowanie za przysporzenie mi tak lojalnego i kochającego poddanego.

Z braku słów wykonała tylko głęboki dyg.

Karol postawił Liata na ziemi, po czym zwrócił się do gospodarza:

- Lordzie Stamford, najgoręcej dziękuję za gościnne przyjęcie. Piękno i spokój Blackthorne przywróciły mi dobry nastrój.

Quenton skłonił się.

- Nic nie mogłoby sprawić mi większej radości, wasza królewska mość.

Król przysunął się bliżej i zniżył głos.

- Pożegnałem się z Bennettem. Martwi mnie jego stan.

- Mnie również.

- Całkiem zapomniał o naszym małym zakładzie.

- O naszym zakładzie?

- Nie udawaj, że i ty nie wiesz, o co chodzi. Obaj winicie mi po tysiąc funtów. Chyba że chcecie, by służąca Bennetta i guwernantka Liata towarzyszyły mi do Londynu.

Quenton wręczył królowi mieszek wypchany monetami.

- Dwa tysiące funtów, Mrozku. Mam nadzieję, że sro-  
dze ci będą ciążyły w drodze powrotnej.

Karol roześmiał się radośnie.

- Trzymaj się, stary druhu. I jak najszybciej prześlij mi  
raport... w wiadomej sprawie.

- Tak jest.

Król odwrócił się i z pomocą służby wsiadł do powozu.  
Gdy karetka ruszyła, rozległy się okrzyki i wiwaty całej  
służby Blackthorne.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Spacerując z Liatem po ogrodzie, Olivia natknęła się na Quentona, który przechadzał się, głęboko zamyślony.

- Najmocniej przepraszam, wasza lordowska mość. Nie chcieliśmy zakłócać panu spokoju.

Odwróciła się, lecz Quenton zatrzymał ją.

- Proszę zostać.

Przysiadła na kamiennej ławce, a Liat puścił się pędem po ścieżce.

- Miałam nadzieję, że zobaczę tu z tobą Benneita.

- Martwię się o brata. Boję się, że znowu zamyka się w sobie. Nie wiem, jak do niego dotrzeć.

Olivia nakryła ręką jego dłoń.

- Raz dotarłeś do niego przez miłość. Możesz to zrobić ponownie.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Och, moja miła. Chciałbym mieć twoją wiarę.

Oboje unieśli wzrok, gdy ujrzeli Pembroke'a, prowadzącego wyrostka w zakurzonej opończy.

- Wiadomość dla waszej lordowskiej mości - oznajmił kamerdyner.

Posłaniec wręczył Quentonowi zwitek papieru. Lord

Stamford przeczytał go, po czym zwrócił się do kamerdynera:

- Niech pani Thornton da chłopakowi coś do jedzenia.

I każ natychmiast osiodłać mojego konia.

- Słucham, wasza lordowska mość.

Quenton ujął rękę Olivii.

- Wybacz mi. Muszę jechać do wioski.

Niebawem usłyszała tętent kopyt. Quenton odjeżdżał galopem.

Siedziała w słońcu, wsłuchując się w ciszę, która zapadła nad Blackthorne. Goście odjechali, pana domu nie było, toteż służba, łącznie z Kucharcią, panią Thornton i kamerdynerem udała się na dobrze zasłużony odpoczynek.

- Jest pan pewien tych liczb? - zapytał Quenton. Stał w małej salce wiejskiej gospody i zaglądał przez ramię siwowłosemu doradcy z londyńskiego biura.

- O, tak, wasza lordowska mość. Osobiście sprawdzałem każdą kolumnę w tym rejestrze. Gwarantuję, że bilans się zgadza.

- Zdaje pan sobie sprawę, o czym to świadczy?

Starszy dżentelmen przytaknął. Miał posępną minę.

- Powinniśmy byli już wcześniej wykryć te błędy, ale złodziej był bardzo sprytny. Oczywiście firma wynagrodzi wszelkie straty. Znajdziemy łajdaka, który się tego dopuścił. Zapłaci za to.

- O, tak. Zapłaci. - Quenton uściśnął mu dłoń i poszedł do stajni po swego konia.

Marzył o wygodnym łożu czekającym na niego w Blackthorne. Napisze raport dla króla i wreszcie smacznie zaśnie. Karol dostanie ataku wściekłości, gdy otrzyma tę wiadomość.

Spojrzał na parobka, nalewającego wodę z wiadra.

- Osiodłaj mi konia, chłopcze. Dostaniesz dodatkowy napiwek, jeśli to szybko zrobisz.

- Słucham, wasza lordowska mość.

Quenton schował raport do skórzanego mieszka, który wsunął za opończę. Słyszając szelest stóp, odwrócił się, spodziewając się ujrzeć stajennego, ale zobaczył tylko uniesioną rękę, trzymającą kij.

Brak snu opóźnił jego refleks. Uchylił się, by uniknąć ciosu, lecz kij spadł mu na ramię. Zwalił się na ziemię, potoczył i uniesionymi stopami uderzył zaskoczonego napastnika, powalając go na kolana. Wtedy doskoczył do nich trzeci mężczyzna, wymachując nożem.

- Przytrzymaj go, głupcze, a wykończę drania!

Quenton uderzył go pięścią w twarz i z satysfakcją usłyszał gruchot kości, a potem wściekły ryk, gdy napastnik osuwał się na ziemię. Zanim jednak zdołał odwrócić się do drugiego zbira, ten zaatakował go nożem od tyłu. Coś ciepłego i lepkiego pociekło mu po plecach, a potem przeszył go ostry ból. Ugięły się pod nim kolana i powoli osunął się na ziemię. Gdy tak leżał bezwładnie, z trudem chwytając oddech, czyjaś ręka sięgnęła mu za opończę i wyrwała mieszek. Usłyszał znajomy, lecz dochodzący jakby z bardzo daleka głos:

- Sprawdź, czy na pewno nie żyje.  
- Niczego nie będziemy sprawdzać. Zabieramy się stąd. Jeśli nawet teraz jeszcze żyje, niedługo pociągnie. Wbiłem mu nóż aż po rękojeść. No dalej. Zrobiliśmy swoje. Dawaj forszę.

- Macie i znikajcie mi z oczu. Jeżeli zobaczą wasze gęby w Kornwalii czy w Londynie, będzie po was.

- Proszę się o nas nie martwić, wasza lordowska mość. Nie mamy zamia...

Głos urwał się gwałtownie, rozległ się cichy jęk i coś ciężkiego upadło na ziemię.

Powoli tracąc przytomność, Quenton usłyszał nerwowy chichot. Potem rozległ się tętent galopujących końskich kopyt. A później zapadła ciemność.

Olivia i Liat spędzili kilka miłych godzin w ogrodzie na szukaniu motyli. Gdy w końcu opadli na trawę, Liat stłumił ziewnięcie.

Olivia uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem.

- Chyba czas na drzemkę.

- Tak, proszę pani. - Ujął ją za rękę i poszli razem w kierunku domu. - Myśli pani, że lord Stamford zdąży wrócić, nim się obudzę?

- Mam taką nadzieję. - Widząc jego zasmuconą minę, dodała szybko: - Nie denerwuj się, Liacie. Na pewno niebawem tu będzie.

- Na pewno - powtórzył uspokojony i obdarzył ją uśmiechem.

Na górze Olivia zdjęła chłopcu buciki i pomogła wejść do łóżka, a potem pocałowała go w policzek.

- Teraz śpij. Zjrę do Benneita i za chwilę tu wrócę.

Z Thorem u nogi wyszła na korytarz. Panująca w domu cisza podziałała na nią jak balsam po bezustannej gorączce minionych dni. Zatrzymała się przed drzwiami Bennetta, zastukała, po czym weszła. Młodzieniec siedział przy oknie, wpatrując się ponuro w urwisko.

- Jak się czujesz?

Nawet nie spojrzał w jej stronę. Zapytała wzrokiem Minervę, która ze smutkiem pokręciła głową. Podeszła do Bennetta i łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Może Minerva przesunie cię do drugiego okna, skąd miałbyś widok na ogród? Czy to nie przyjemniejsze niż wpatrywanie się w skały?

Poczuła, że zadrżał.

- O co chodzi? Czego nie możesz nam powiedzieć?

Oczy miał tak ponure, tak pełne bólu, że musiała odwrócić wzrok. Wstała i pocałowała go w policzek.

- Będę u siebie, gdybyś mnie potrzebował.

Za drzwiami rozejrzała się, zdumiona zniknięciem Thora. Kucharcia obedrze go ze skóry, jeżeli będzie graszować po kuchni w poszukiwaniu kości. Kiedy szła korytarzem, nagle znowu zaczęło jej się wydawać, że ktoś ją śledzi. Odwróciła głowę, czując się zarazem głupio i nieswojo. Przecież niebezpieczeństwo już minęło. Wokół nikogo nie było. W korytarzu nie słyszała odgłosów niczyich kroków z wyjątkiem własnych.

Besztając się za nerwowość, weszła do swojego pokoju. Panował w nim chłód, zauważyła, że drewno wypaliło się na popiół. Dorzuciła polano i patrzyła, jak płomienie zaczynają lizać korę.

Ciągle zziębnięta, weszła do sypialni po szal. Gdy przekraczała próg, na środku łóżka ujrzała zwitek pergaminu. Zdumiona, rozwinęła go i przeczytała:

*Uprzedzałem cię, kuzynko, że pewnego dnia będziesz musiała zapłacić. Dzień ten nadszedł. Natychmiast podpisz ten dokument i zanieś go na urwisko. Przyjdź sama. Jeżeli mnie nie usłuchasz, śmierć Liata obciąży twoje sumienie.*

Liat! Boże drogi! Z krzykiem wbiegła do jego pokoju. Łóżko było puste, pościel rozrzucona.

Na podłodze, obok łóżka, widniało kilka kropelek krwi.

Z sercem w gardle podniosła gęsie pióro i podpisała dokument, zauważając bezwiednie, że wystawiono go w dniu śmierci jej rodziców. Nieważne. Nic się teraz nie liczyło prócz Liata.

Nikt nie mógł jej pomóc. Żołnierze królewscy byli już daleko. Quenton wyjechał. Nawet cała służba gdzieś zniknęła.

Strach ścisnął ją za gardło, gdy pędziła w dół po schodach i biegła przez wrzosowisko, modląc się rozpaczliwie, by nie przybyła za późno.



Okrwawioną ręką Quenton otarł oczy. Dwóch drabów, którzy go napadli, leżało trupem. Rozpoznał głos człowieka, który ich zabił. Nie dziwił się, że Wyatt Lindsey nie chciał mieć świadków.

Podciągnął się na kolanach i potrząsnął głową, by rozjaśnić myśli. Świat wokół wirował w oszłamiającym tempie, aż zrobiło mu się niedobrze. Był wściekły na siebie. Powinien to przewidzieć. Tak się zatracił w poszukiwaniu dowodów winy Wyatta, że zlekceważył niebezpieczeństwo. A teraz zostawił wszystkich na łaskę i niełaskę tego szaleńca.

Olivia. Boże drogi! Jej przede wszystkim grozi zguba.

Zacisnął szczęki i mimo bólu podniósł się na nogi, kurczowo trzymając się przegrody w stajni. Nie miał pojęcia, jak zdołał wciągnąć się na siodło, ale siedział na nim. Pochylając się nisko nad końską grzywą, trącił zwierzę piętą i skłonił do truchtu.

Choć ból był prawie nie do wytrzymania, podtrzymywała go jedna myśl - Olivia znajduje się w rękach tego szaleńca, Wyatta Lindseya.

Bennett siedział skulony w fotelu, wpatrując się w odległe urwisko. Kątem oka ujrzał biegnącą kobietę, której włosy i suknię targał wiatr. Na chwilę ból wspomnień stał się tak dojmujący, że musiał przymknąć powieki. To wszystko dzieje się znowu. Wracają demony, by go prześladować i dręczyć. Ale... Otworzył oczy. Nie śnił. Na pewno nie. Widział to na jawie. Tę wydętą spódnicę. Długie włosy rozwiane wiatrem.

Włosy. Coś tu się nie zgadzało. Antonia nie miała włosów barwy kasztanów. To nie ona mknie ku urwisku, ku pewnej śmierci.

To jeszcze gorsze niż nocna zmora. Znacznie gorsze. To się dzieje naprawdę. Boże drogi, jeszcze raz wszystko przewija mu się przed oczyma. Tym razem chodzi o Olivię.

W panice rozejrzał się, szukając Minery. Co takiego mu powiedziała? Co wyszeptała, nim wyszła z pokoju? Coś, że idzie na dół po herbatę i biszkopty. Tak, poszła sobie. Był sam. Całkiem sam. I nie mógł powstrzymać Olivii przed taką samą straszliwą śmiercią, jaką zginęła Antonia.

W rozpaczy trzasnął ręką w znienawidzony fotel. Przesunął się o parę centymetrów. Serce podskoczyło mu w piersi. Znowu uderzył i fotel znowu się przesunął. Powoli, z wielkim wysiłkiem, popychał fotel przez pokój, na korytarz.

Na szczycie schodów otworzył usta, rozpaczliwie pragnąc wykrzyknąć ostrzeżenie. Ale ani słowo nie wydobyło się z jego ust. Wpatrywał się w szerokie, wypolerowane schody, zastanawiając się, ile kości połamie, nim dotrze na dół. Nieważne. Teraz chodzi tylko o to, by przestrzec kogoś, kogokolwiek, przed tragedią, która ma nastąpić.

Zaciskając zęby ze strachu przed bólem, przed którym na pewno nie umknie, wychylił się z fotela i rozpaczliwie rzucił się w dół schodów.

Choć wiatr zwiewał Olivii włosy na oczy, wysoko na urwisku dostrzegła Wyatta, mocno ściskającego rękę chłopca.

Gdy zbliżyła się na tyle, by widzieć ich wyraźniej, zobaczyła, że Liat szeroko otwiera przerażone oczy, a Wyatt się śmieje.

- Podpisałaś? - zawołał, przekrzykując ryk przypływu i wiatru.

- Tak. - Uniosła dokument. Podmuch powietrza omal nie wyrwał go jej z ręki.

- Ostrożnie, kuzynko. Jeśli go wypuścisz, mogę puścić chłopca, a wtedy wiatr bez wątpienia zepchnie małego z urwiska.

- Nie... - Ledwo zdołała wydobyć głos ze ściśniętego trwożą gardła. - Proszę. Nie rób mu więcej krzywdy ponad to, co już zrobiłeś.

- Co to ma znaczyć?

- Proszę. Widziałam krew.

- Ten mały drań mnie ugryzł.

Olivia poczuła się bardzo dumna z odwagi Liata.

- Podejdz bliżej - skinął na nią Wyatt i zrobił kilka niepewnych kroków po skałach. Zbryzgane wodnym pyłem kamienie były śliskie.

- Widziałam, jak odjeżdżałeś z rodziną, Wyatcie. Dlaczego wróciłeś?

- Mówiłem już: nie dokończone interesy. Gdy dostałem list, w którym prosisz o rozliczenie twego majątku, uświadomiłem sobie, że haniebnie cię nie doceniałem.

- Mój list? - Wyglądała, jakby w nią piorun strzelił.
- Przecież go nie wysłałam. Skąd mogłeś wiedzieć...?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Mam zaufanych ludzi.

Pokiwała głową. Czyż nie zdawała sobie z tego sprawy przez cały czas?

- Edlyn. Jak ją namówiłeś, by dla ciebie szpiegowała?

- Nie miałem z tym najmniejszego kłopotu. Nienawidzi Quentona Stamforda za zabicie jej ukochanej pani, Antonii. - Wybuchnął śmiechem.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- Bo skierowała swoją nienawiść na niewłaściwą osobę. Quenton nie zabił Antonii. - Zaśmiał się znowu obłąkanym, histerycznym śmiechem, mrozącym krew w żyłach. - Ja to zrobiłem.

Quenton zmusił siebie i swego wierzchowca do najwyższego wysiłku. Zdawał sobie sprawę, że teraz, gdy Wyatt nie miał nic do stracenia, stał się jeszcze bardziej niebezpieczny. Zdesperowani ludzie chwytają się ostatecznych środków.

Gdy dotarł do Blackthorne, zsunął się z konia i dopadł schodów. Wewnątrz przywitała go złowieszcza cisza. Pospiesznie zajrząwszy do wszystkich sypialni, przekonał się, że są puste. Podbiegł do okna i wyjrzał na ogród. I tam nikogo nie było. Zdziwiony, już miał się odwrócić, gdy zauważył jakieś poruszenie na urwisku.

Serce zamarło mu w piersi. Nawet z tej odległości roz-

poznał Olivię i Liata. I swoją najgorszą zmoreę, Wyatta Lindseya.

Kipiąc głuchym, wściekłym gniewem, zbiegł po schodach na dwór, kierując się ku urwisku. Nie miał broni ani żadnego planu. Zbrojny tylko rozpaczliwym pragnieniem uratowania dwojga ukochanych ludzi, pędził ku miejscu tragedii.

- Och, lordzie Stamford, Bogu dzięki! - Minerva, która miała ręce omdlałe od pchania fotela Bennetta po skalistym podłożu, upadła na kolana. - Panicz Bennett oszalał! - wykrzyknęła przerażona.

- Wracaj, Minervo. Zabierz panicza Bennetta z powrotem do domu.

- Wasza lordowska mość, proszę na niego spojrzeć.

Quenton spojrział i był wstrząśnięty. Krew, płynąca z rozciętego czoła Bennetta mieszała się z krwią z jego rozbitego nosa. Cały gors koszuli nią przesiąkł.

- Czy to Wyatt? Ten potwór cię uderzył?

Bennett potrząsnął głową, gestykulując szaleńczo.

- Wasza lordowska mość, panicz rzucił się ze schodów, by zwrócić moją uwagę. A kiedy w końcu zrozumiałam, że chce iść na urwisko, nie mogłam mu odmówić, choć wydawało się to niemożliwe.

- Ach, więc to tak. - Quenton zacisnął dłoń na ramieniu brata. - Rozumiem. Zostań tu, Bennetcie. Uratuję ją. Albo zginę.'

Olivia przysunęła się, wyciągając dokument niczym przynętę.

- Weź to, Wyatcie. To papier, na którym ci zależy. Mnie nie jest potrzebny.

- Zorientowałaś się, o co w nim chodzi? Masz zdumiewająco bystry umysł, mała myszko.

- Nie zrozumiałam wszystkiego. Ale sądząc z tego, że tak rozpaczliwie pragniesz przejąć mój majątek, wcale nie jestem biedna jak mysz kościelna.

- W żadnym wypadku, kuzynko. Gdy zatrudniłem się w biurze twojego doradcy finansowego, zrobiłem wszystko, by jak najwięcej się o tobie dowiedzieć. Gdy moją firmę poproszono, by przekazała twemu ojcu stałe wynagrodzenie oraz tytuł lorda, zgłosiłem się jako posłaniec.

- Ale dlaczego? Po co ci drugi tytuł, Wyatcie? A wynagrodzenie mogło wynosić najwyżej kilkaset funtów.

- Do tego dochodził jeszcze uroczy domek w Oxfordshire. Twoi drodzy rodzice przepisali to wszystko na mnie, zanim... runęli w przepaść.

Gdy potworność jego słów zaczęła do niej docierać, skurczyła się i cofnęła.

- Zabiłeś ich? Zabiłeś moich rodziców dla marnych paru funtów?

- Ależ te wszystkie funty składają się na ładną fortunę, kuzynko. Nie wiedziałaś, że jestem jednym z najbogatszych ludzi w Anglii? A niebawem, dzięki naszemu dość ubogiemu, a będącemu w potrzebie królowi, stanę się także jednym z najpotężniejszych.

Spojrzał ponad jej głową i zobaczył pędzącego ku nim Quentona. Dalej z tyłu, Minerva z trudem popychała fotel z Bennettem.

- Czyż to nie urocze? Wszyscy gracze są już na miejscu.

- Gracze? - Quenton przystanął, by złapać oddech. Najpierw spojrzał na Oliwię, chcąc się upewnić, czy nic się jej nie stało, a potem na Liata, przytrzymywanego mocno za oba nadgarstki. - Uważasz to wszystko za grę, Wyattcie?

- Ma się rozumieć. Całe życie jest grą. Nauczyłem się tego na kolanach matki. Człowiek, który zgromadzi największą fortunę, gra, a reszta żyje tylko po to, by mu służyć. - Rzucił Quentonowi triumfujące spojrzenie. - Chłopiec posłużył mi do tego, bym dostał, czego chcę.

- A czego chcesz, Wyattcie? - Quenton widział szaleństwo w jego oczach, słyszał je w jego głosie.

- Wszystkiego, co masz, lordzie Stamford. Wszystkiego.

Quenton przypomniał sobie starą wróżkę z Jamajki, która przepowiedziała mu: „Jest ktoś, kto pragnie wszystkiego, co jest dla ciebie drogie”. Śmiał się wtedy. Teraz zrozumiał to proroctwo z przerażającą jasnością.

- Zacznę od chłopca - wyrwał go z zamyślenia głos Wyatta.

- Zaczekaj! - zawołał Quenton, gdy Wyatt ciągnął Liata na skraj przepaści. - Powinieneś o czymś wiedzieć.

Wyatt przystanął.

- A o co chodzi?
- Nie musisz robić mu krzywdy. Nie jest mój.
- To nie twój bękart? W takim razie czyj?

Choć Quenton wzdragał się przed wyjawieniem tamtemu prawdy, musiał to zrobić, by uratować chłopca.

- Jest twoim synem, Wyattcie. Gdy jego matka umierała, błagała mnie, bym się nim zaopiekował.

Przez chwilę Wyatt był tak zdumiony, że stał jak oniemiały. Potem zdumienie powoli zaczęło przeradzać się w gniew.

- Ta jamajska ladacznica, Mai, znaczyła dla mnie tyle co moment przyjemności. Nie możesz się spodziewać, że uznam jej pomiot za własny.

Olivia była przerażona.

- Błagam cię, Wyattcie. Jeżeli Quenton mówi prawdę, zabijesz własne dziecko.

- To dla mnie nic nie znaczy.

- Więc spójrz na to w inny sposób. Jeśli to prawda, Liat jest również moim kuzynem. Jeżeli nie oszczędzisz go dlatego, że jest moim kuzynem, daruj mu życie, bo podbił moje serce. Zrobiłabym dla niego wszystko.

Oczy błyszczały mu szaleństwem.

- Wszystko?

Olivia przytaknęła.

Uśmiechnął się diabolicznie.

- W takim razie podejdź tu do mnie i zajmij miejsce chłopca.

- Nie rób tego, Livvy - ostrzegł Quenton. - Dobrze



wiesz, co ci zrobi. Za bardzo cię kocham. Nie przeżyłbym tego.

Wyatt wybuchnął wysokim, ostrym śmiechem.

- Och, cóż to za słodki dylemat. Będziesz patrzyła, jak strącam chłopca, czy też raczej wymienisz swoje życie na jego, a Quenton Stamford nigdy już nie zazna szczęścia?

Olivia odwróciła się do Quentona.

- Zrozum mnie, proszę. Kocham cię bardziej niż samo życie, ale nie mogę stać spokojnie i patrzeć, jak krzywdzi Liata.

Gdy podchodziła do kuzyna, Wyatt odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

- A więc, lordzie Stamford, będę miał w końcu wszystko, co było ci drogie. Teraz także Olivię. Tak jak przedtem Antonię.

- Antonię...?

- Naprawdę nie wiedziałeś? - zapytał Wyatt, widząc zdziwienie na twarzy Quentona. - Byłem tu wtedy.

- Tu?

- Myślałem, że wiesz, lordzie Stamford. Jestem właścicielem Duncan Hall. Właśnie tutaj, w Kornwalii.

- To niemożliwe. Ta posiadłość należy do hrabiego Lismore.

- Owszem, kiedyś należała. Uzyskałem ten majątek po jego... przedwczesnej śmierci. A gdy ty przeprowadzałeś inspekcję swoich ziem, ja z zapalem uwodziłem twą śliczną, niewinną młodą żonę.

Quenton stał nieruchomo, ale jego spojrzenie było przerażające.

- Zabrało mi to dużo czasu i cierpliwości. Była... niechętna. Ale gdy osiągnąłem cel, nękały ją takie wyrzuty sumienia, że wprost musiałem ją... uciszyć, zanim przybiegłaby do ciebie z wyznaniem swego grzechu. - Uśmiechał się teraz, jakby mówił o interesach. - Oczywiście młody Bennett musiał pomieszać mi szyki. Ujrzał nas tu i usiłował przyjść jej z pomocą. - Wyatt potrząsnął głową. - Nie wiem, jakim cudem przeżył. Ale chyba lepiej by było, gdyby umarł. Gdybym miał takiego brata, już dawno pomógłbym mu zakończyć nieszczęsny żywot. - Puścił Liata i mocno objął Oliwię w pasie. - A teraz mam wszystko. Nikt nie uwierzy w waszą opowieść. Przecież jeszcze dziś machałem tłumom, jadąc w orszaku królewskim do Londynu. Poświadczą to setki ludzi. A moja rodzina poprzysięgnie, że byłem z nimi, gdy doszło do tej małej tragedii.

Quenton chciał jakoś uspokoić Liata, ale nie miał na to czasu. Kazał chłopcu stanąć za sobą, po czym zwrócił się do Wyatta. Zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z szaleńcem.

- Zapominasz o jednym: ja wiem i nie spocznę, dopóki nie zapłacisz za te wszystkie zbrodnie.

- Ty... - Oczy Waytta pociemniały. Zniknął uśmiech, a w jego miejsce pojawił się grymas nienawiści. - Powiniennem być się upewnić w wiosce, czy na pewno nie żyjesz. Nie spoduję ponownie. Gdy skończę z twoją pa-

nią... - wyciągnął lśniący pistolet - pozwolę ci do niej dołączyć na skałach tam w dole. Razem z tą służącą i kalekim bratem.

- Więc zrób to teraz! - Quenton postąpił parę kroków do przodu, zdecydowany oddać życie za Olivię.

Kątem oka ujrzał, jak Bennett podrywa się ze swojego fotela, i przez ułamek sekundy lękał się, że i brat znajdzie śmierć na dole urwiska. Potem całą uwagę skupił na Olivii. Usłyszał, jak krzyknęła, ogłuszająco huknął pistolet, i ołowiana kula przeszła mu ramię. Po chwili rozległ się skrzek, dziwnie podobny do krzyków Bennetta w nocy. I zaraz potem doszło do niego zdumione westchnienie Wyatta, który zeszytniał, po czym stoczył się z urwiska.

Z jego piersi wystawała rękojeść noża Bennetta.

Quenton i Olivia odwrócili się w samą porę, by ujrzeć, jak Bennett stoi jeszcze ze wzniesionymi rękoma. Potem, gdy dopełnił się cud, którego był sprawcą, z wolna osunął się na kolana i padł na ziemię.

Quenton wziął Olivię i Liata w ramiona. Wyrwał mu się szloch, gdy szeptał:

- Bogu dzięki. Och, Bogu dzięki.

A potem, śladem brata, zwałił się na kamienie. Olivia krzyknęła z rozpacz, gdy uświadomiła sobie, że tył jego koszuli, spodnie i buty przesiąknięte są krwią.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Pani Thornton... - Pembroke podszedł do gospodyni skulonej w fotelu w bibliotece. - No, już dobrze. Co się stało?

- Nic. - Hałaśliwie wytarła nos, wsunęła chusteczkę do kieszeni i odwróciła głowę.

- A te łzy? - Ukłakł przed nią.

- Jakie łzy? Coś mi wpadło do oka. - Zamrugowała gwałtownie.

- Dobrze, dobrze. Niech się pani porządnie wypłacze. Zasługuje pani na to po tym wszystkim, co pani ostatnio przeszła. Dzielnie pomagała pani panie St. John pielęgnować lorda Stamforda.

- Ano tak. Byłam pewna, że wyzionie ducha, skoro dostał nożem w plecy i kulę w ramię. A teraz? Spójrzcie no tylko na niego.

- Prawda - przytaknął Pembroke. - Pomagała też pani Minervie uczyć Benneita na nowo chodzić i mówić.

Gospodyni skinęła głową.

- Ta dziewczyna jest zdumiewająca. Tyle cierpliwości. Tyle miłości. A panicz Bennett robi takie postępy.

- Tak. A teraz król i jego świta wrócili i ma pani na głowie przyjęcia weselne. To dla pani zbyt wiele.

Potrząsnęła głową.

- Wszyscy starają się, jak mogą. Zwłaszcza Edlyn. Odkąd poznała prawdę o tym łajdaku Wyatcie i dowiedziała się, że przez tyle lat ją okłamywał, jest inną kobietą.

- To prawda. Cała służba powtarza, że lord Stamford postąpił niezwykle szlachetnie, pozwalając jej zostać, choć tyle lat go szpiegowała za pieniądze Lindseya. Przyznała się nawet, że zwabiła biednego starego Thora do komórki, dając mu kość na przynętę. Ale nie знаła zbrodniczych zamiarów lorda Lindseya.

Kamerdyner potrząsnął głową.

- Skąd miała wiedzieć, komu wierzyć? Lady Antonia była zrozpaczona i zwierzyła się jej, że musi wyznać mężowi coś strasznego, co przyprawi go o wielki ból. Edlyn miała prawo przypuszczać, że lord Stamford wpadł we wściekłość i zabił swoją młodą żonę.

- Ano tak. Zwłaszcza że ten pokrecony, zbzikowany łotr, lord Lindsey, podsycił jej nienawiść przez całe lata.

- Pani Thornton westchnęła. - Cieszę się, że te złe czasy już minęły i w Blackthorne znowu zapanuje szczęście.

Pembroke wstał i podał jej rękę.

- Więc dlaczego pani płacze?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba jestem po prostu rozklekotaną, rozchwierutaną beczką łez. Na ślubach zawsze się rozklejam. Ale pewnie znowu za dużo gadam...

Kamerdyner nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Lubię to twoje gadanie, Gwynnith.

- Naprawdę? Nic nie mogę na nie poradzić. Po prostu słowa same wylatują mi z ust.

- To prawda. - Odchrząknął. - Jestem jak najdalszy od tego, by doprowadzać cię do łez. Myślałam, że może... że mogłabyś... że my oboje...

Klepnęła go w ramię.

- Daj spokój, człowieku. Przestań dziamgolić, głądzić i bajdurzyć. Powiedz, o co ci chodzi.

Te słowa znowu wywołały uśmiech na twarzy Pembroke'a, zaraz jednak spoważniał, poruszył grdyką i spróbował ponownie:

- Gwynnith, byłbym zaszczycony, gdybyś zgodziła się zostać moją żoną.

Przez całą minutę siedziała jak oniemiała. Jej twarz stopniowo bladła, aż przybrała odcień fartucha. Nie spodziewała się, że to od niego usłyszy. Och, miała swoje marzenia, jak każda kobieta. I wszystkie kręciły się wokół tego niezwykłego mężczyzny. Ale wydawały się zupełnie nie-realne. A teraz ten mężczyzna mówi tę jedyną rzecz, którą zawsze pragnęła usłyszeć.

- Przepraszam, Gwynnith. Przeze mnie znowu płaczesz.

- Tak. Jeszcze jak - wyjąkała wśród łez, po czym rzucała mu się w ramiona.

- Cóż, stary druhu. - Król Karol siedział w małej sal-

ce, przylegającej do kaplicy w Blackthorne, i patrzył, jak Quenton przemierza ją tam i z powrotem. - Kto by przypuścił, że Q ujawni tyle mrocznych, głęboko ukrytych sekretów. Jak się czujesz jako jeden z najbogatszych ludzi w Anglii?

Quenton potrząsnął głową.

- Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłem. Wiedziałem, że dziadek posiadał ogromne włości. Nie miałem jednak pojęcia, że prowadził tak rozległe interesy. Herbata w Indiach. Diamenty w Afryce. Miał nawet powiązania handlowe z Nowym Amsterdamem, które najwyraźniej są w kwitującym stanie.

Król zachichotał.

- Robisz bardzo mądrze, żeniąc się z tą małą guwernantką, zanim reszta zdatnych do małżeństwa kawalerów dowie się, jaka jest posażna. Gdy kobieta odznacza się tak wielką urodą, a do tego ma przyzwoite wiano, zwykle oblegana jest przez konkurentów.

Quenton przystanął i uśmiechnął się.

- Nie oddam jej nikomu. Zbyt zaciekle musiałem o nią walczyć,

Karol przeciągnął się, szeroko rozkładając ramiona.

- Dobrze jest wrócić do Kornwalii. Poza tym uwielbiam śluby. Szkoda tylko, że nie pozwoliłeś mi przywieźć z Londynu arcybiskupa.

- Obaj z Bennettem wolimy starego księdza z wioski. Czy wiesz, że dawał ślub jeszcze naszym rodzicom?

- Wspominałeś już o tym ze trzy razy. - Karol uśmie-

chnął się, gdy Quenton zmienił kurs i zaczął kroczyć po salce w odwrotną stronę. - Nerwy cię trochę ponoszą, co, stary druhu?

- Nie. Po prostu chcę to już mieć za sobą. Mam wrażenie, że wszystkie wioski i hrabstwa w Kornwalii wyludniły się i ich mieszkańcy tłoczą się teraz w kościele, mając nadzieję, że się potknę albo przynajmniej zapomnę, jak się nazywam.

- Dobrze ci to zrobi, poznasz życie, które ja prowadzę przez cały czas. - Karol uniósł dwa puchary wina i podał jeden Quentonowi. - Wypij. Ile wina w brzuchu, tyle siły w duchu - rzekł sentencjonalnie.

Dwaj przyjaciele wychylili trunek w milczeniu.

- Bennett wyraźnie wraca do zdrowia. Z dnia na dzień wygląda lepiej.

- O, tak - uśmiechnął się Quenton. - Postanowił samodzielnie poprowadzić narzeczoną do ołtarza. Może będzie musiał czasem wesprzeć się na jej ramieniu, ale myślę, że chyba sobie poradzi.

- A mowa?

- Powraca mu z wolna. Na pewno wypowie przysięgę małżeńską.

- Cieszę się ze względu na niego. Na was obu.

- Nie możesz być ani w połowie rad tak jak ja. Odzyskałem brata i kobietę, którą uwielbiam. Gdy groziła mi utrata Olivii, zrozumiałem, że nie mam po co żyć. Bez mej nic nie ma znaczenia.

- Zatem znalazłeś coś, czego ja jeszcze muszę szukać,



Q. Nie jestem pewien, czy mi się powiedzie. Zazdroszczę ci, przyjacielu.

Obaj mężczyźni unieśli wzrok, gdy drzwi się otworzyły i weszła Olivia, trzymając Liata za rękę.

- Wasza królewska mość. - Zrobiła dyg, po czym podeszła do Karola, który wyciągnął do niej obie dłonie.

- O pani. - Odsunął ją nieco, by przyrzeć się jej sukni, uszytej z tkaniny cienkiej jak pajęczyna, poprzetykanej złotem. Na szyi Olivii lśniły słynne brylanty Stamfordów.

- Cóż za wspaniały widok.

Uśmiechnęła się, aż w policzkach zrobiły się jej dołeczki.

- Dziękuję, wasza królewska mość. A co najjaśniejszy pan sądzi o Liacie?

Chłopiec, ubrany w białe zakieci, spodnie i pończochy, wyglądał na równie zdenerwowanego jak Quenton.

- Wyglądasz wspaniale, chłopcze. Masz obrączki?

- Tak, wasza królewska mość.

- I wiesz, która należy do narzeczonej Quentona, a która Bennetta?

Chłopiec poklepał się po kieszeniach.

- Tę w tej kieszeni dostanie ciocia Minerva, a tę mama.

- Mama? Czuję, że za chwilę nazwiesz mnie wujkiem Karolem.

- A dlaczego nie? - wtrącił z uśmiechem Quenton. - Mam nadzieję, że zgodzisz się być jego ojcem chrzestnym. Już czas, żeby chłopiec przyjął wiarę swego króla.

- Będę zaszczycony. Życzę sobie, abyście przyjechali do Londynu, by ceremonię odprawił arcybiskup Canterbury.

Olivia zwróciła się do Quentona:

- Och, najdroższy, czy miałbyś coś przeciw temu?

- Dałbym ci wszystko, o co poprosisz. Chcesz księżyc, najdroższa? Jest twój. Gwiazdy? Bierz wszystkie. Polecę w przestworza i zbiorę je dla ciebie.

Karol odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był niezmiernie rad, że jego stary druh jest tak szczęśliwy.

Słyszając muzykę, mruknął:

- Chyba muszę się teraz pokazać. - Przyciągnął Olivię do siebie i ucałował ją w oba policzki. Potem wyciągnął obie ręce do Quentona i obaj mężczyźni uścisnęli się serdecznie.

- Przyjacielu, bądź szczęśliwy za nas obu.

Pokleпали się po plecach.

- Chodź, Liacie. - Król ujął chłopca za rękę. - Przygotuj się do przejścia przez nawę.

Gdy wyszli, Olivia odwróciła się do Quentona.

- Przyniosłam ci podarunek od panny młodej.

- Już dałaś mi tak dużo.

Potrząsnęła głową.

- To bardzo szczególny prezent. - Podniosła małą, haftowaną narzutę.

- To twój szal?

- Nie, narzuta. Mama wyhaftowała ją dla ojca, gdy się pobrali. Przykrywali się nią każdej nocy.

- Zatem będę troskliwie się z nią obchodził. - Przycis-

nał usta do miękkiego materiału, a potem do jej rąk. - Mam nadzieję, że przyniesie nam tyle miłości, ile dała im.

Stał nieruchomo, wpatrując się w przyszłą żonę z dziwną miną.

- O co chodzi, wasza lordowska mość? Czy coś się stało?

- Nic się nie stało, Livvy. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Uśmiechnęła się.

- Słysząc muzykę, Quentionie. Bennett i Minerva za chwilę podejną do ołtarza. Musimy iść.

- Za chwilę. Chodź tutaj.

Podeszła do niego i objęła go w pasie.

- Czyżby wasza lordowska mość zaczęła mieć wątpliwości...?

- Wątpliwości? Och, Livvy. - Pocałował jej włosy, wdychając zapach lawendy. - Nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien. Po prostu muszę cię na chwilę objąć.

Stali, słuchając zgodnego bicia swych serc.

- Pomyślałem, że moglibyśmy się wybrać w podróż poślubną na pokładzie „Utracjusza”. Dzięki temu Bennett i Minerva będą mieli chwilę czasu dla siebie w Blackthorne. A i służba trochę wypocznie. Uciekniemy przed nadchodzącą zimą, a Liat ponownie odwiedzi swoją wyspę.

- Jamajkę? - Odsunęła się nieco, zdziwiona. - Chcesz płynąć na Jamajkę?

- Spodoba ci się tam, Livvy. Tropikalna przyroda, powietrze rajskie, a ludzie przyjaźni.

- Nie musisz mnie namawiać, kochanie. Pojadę, dokąd zechcesz, na tak długo, jak zechcesz. W razie gdybyś zapomniał, jestem zwykłą wiejską dziewczyną, która nigdy nie opuszczała Anglii. Chętnie wyruszę na poszukiwanie przygód, byleby z tobą.

- Och, Livvy. Jak ja dotąd żyłem bez ciebie?

- Nieżyły był z ciebie gagatek. Czarny charakter Kornwalii. Rozpacz dla gospodyni, utrapienie kamerdynera i...

- Zauważyła błysk w jego oku i ujęła go za rękę. - Chodź, mój korsarzu. Czas, by cię ktoś poskromił.